

MEG ROSOFF



A GDYBYM  
ZNIKNEŁA?

YMI

**Meg Rosoff**

**A GDYBYM ZNIKNEŁA?**

Przełożyła Berenika Janczarska



Pierwsza Mila była psem. Psem rasy bedlington terrier. Nie zaszkodzi o tym wiedzieć. Nie mam żalu, że nadano mi imię po psie. Potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to się odbyło. „Mila – powiedział pewnie ojciec – to takie ładne imię”. Nie pamiętał, gdzie je usłyszał. Wtedy mama przypomniała sobie psa Milę i spytała, czy jest absolutnie pewien, a gdy nie odpowiadał, westchnęła: „No dobrze, niech będzie Mila”. Potem spojrzała na mnie i powtórzyła w myślach: „Mila, moja Mila”.

Nie wierzę w reinkarnację. To mało prawdopodobne, bym odziedziczyła duszę psa należącego do mojego dziadka, który umarł dawno temu. Mimo to, zważywszy na zbieżność pewnych cech, miewam czasem wątpliwości. Czy to zupełny przypadek, że imię Mila przyszło tacie na myśl właśnie w chwili moich narodzin? Spojrzał na córkę, która urodziła się minutę wcześniej, i pierwsze, o czym pomyślał, to pies Mila. Dlaczego?

Szykujemy się z tatą do podróży do Nowego Jorku, by odwiedzić jego najlepszego przyjaciela. Wczoraj jednak nastąpiły pewne komplikacje. Zadzwoiła jego żona, by nas poinformować, że wyszedł z domu i nie wrócił.

– Wyszedł z domu i nie wrócił? – pyta Gil. – Co masz na myśli?

– Zniknął – odpowiada. – Nie zostawił listu ani wiadomości. Niczego.

Gil wygląda na zdezorientowanego.

– Niczego?

– Przyjedziesz mimo wszystko? – pyta kobieta i gdy tata przez chwilę się zastanawia, dodaje: – Proszę.

– Tak, oczywiście – rzuca Gil i powoli odkłada słuchawkę na widełki.

– Wróci – zwraca się Gil do Marieki. – Po prostu potrzebował coś sobie przemyśleć w samotności. Wiesz, jaki jest.

– Ale dlaczego właśnie teraz? – dziwi się mama. – Przecież wiedział, że przyjeżdżasz. To dziwne, że wybrał akurat ten moment.

Gil wzrusza ramionami.

– Jutro o tej porze będzie już z powrotem. Jestem pewien, że właśnie tak to się skończy.

Marieka wydaje z siebie powątpiewające westchnienie, ale z miejsca, gdzie siedzę, nie widzę wyrazu jej twarzy.

– A co z Milą? – pyta.

Tytułem wyjaśnienia: jest przerwa wielkanocna i nie chodzę do szkoły. Mama wyjeżdża na tydzień do Holandii, do pracy, a ja nie mogę zostać w domu sama. Tata ma słaby kontakt z rzeczywistością i lepiej, by podczas podróży ktoś mu towarzyszył, ktoś, kto w razie potrzeby przywoła go do porządku. Bilety zostały kupione dwa miesiące wcześniej.

Jedziemy oboje i koniec.

Lubię spędzać czas z tatą. Stanowimy zgrany tandem. Tak jak moja imienniczka, suczka Mila, zawsze skupiam uwagę na tym, gdzie jestem i co robię. Nie bujam w obłokach, pod względem zawziętości dorównuję terierowi. Jeśli jest coś, co zasługuje na uwagę, dostrzegę to pierwsza.

Łamigłówki to moja specjalność.

Kończę się pakować, gdy wchodzi Marieka, by mi oznajmić, że uzgodnili z tatą, że pojedę. Już biorę pod lupę tropy, analizuję możliwości, szukam teorii.

Przyjaciela taty spotkałam dawno temu, ale go nie pamiętam. W naszej rodzinie jest

owiany legendą, bo uratował tacie życie. Gdyby nie Matthew, nie byłoby mnie na świecie. Chciałabym mu za to podziękować, ale nigdy dotąd nie miałam okazji.

Wydaje się, że minęło tyle czasu, od kiedy ostatni raz wyjeżdżaliśmy z Londynu. Byłam jeszcze dzieckiem.

Formalnie rzecz biorąc, wciąż nim jestem.

O suczce Mili wiem niewiele. Należała do mojego dziadka, gdy wychowywał się w Lancashire, gdzie psy tej rasy trzymano nie jako zwierzątka domowe, ale po to, by łapały szczury. Znalazłam jej wyblakłą fotografię w starym albumie taty, zawierającym głównie zdjęcia nieznanymi mi ludzi. Przedstawia psa w półprzysiadzie, jakby szykował się do skoku. Okropnie jestem ciekawa, kto je zrobił. Może mój dziadek, który bardzo Milę lubił. Dzisiaj wszyscy fotografują swoich pupilów, ale w tamtych czasach? Pies patrzy prosto przed siebie. Skoro należał do dziadka, dlaczego nie obrócił łba w stronę właściciela?

Gdy patrzę na to zdjęcie, czuję dojmującą tęsknotę. *Saudade*, jak określiłby to Gil. Po portugalsku. Nostalgia za czymś drogim i utraconym, co odeszło lub jest nieosiągalne.

Nie potrafię wytłumaczyć smutku, który mnie wtedy nachodzi. Mila nie żyje od osiemdziesięciu lat.

Wszyscy nazywają mojego tatę Gil. Tak więc Matthew, jego przyjaciel z dzieciństwa, wyszedł z domu, zostawiwszy żonę i małe dziecko. Nikt nie wie, dokąd i po co. Jego żona zadzwoniła do Gila, bo może będzie chciał zmienić plany. Albo może o czymś wie.

Nie wie o niczym. Jeszcze nie.

Pojedziemy pociągiem na lotnisko; musimy pamiętać, by wziąć paszporty. Marieka każe mi na siebie uważać i daje mi na pożegnanie buziaka. Uśmiecha się i pyta, czy będę grzeczna, a ja potwierdzam skinieniem głowy. Bo będę. Zerka na Gila i dodaje, że mam mieć tatę na oku. Wie, że będę się nim opiekować najlepiej, jak potrafię. Wiek nie zawsze przesądza o kompetencjach.

Drzwi pociągu się zamykają i machamy sobie na pożegnanie. Siadam przy tacie i wdycham zapach jego marynarki. Pachnie książkami, atramentem, starą kawą zepchniętą na brzeg biurka i wełną, a także wodą kolońską, którą kupiła mu kiedyś Marieka; nie używał jej od lat. Woń jego skóry jest zbyt znajoma, by ją opisać. Zdziwiłam się, gdy się dowiedziałam, że nie każdy potrafi rozpoznać ludzi po zapachu. Zdaniem Marieki oznacza to, że co najmniej w połowie mam psią naturę.

Widziałam, jak psy obwąchują na ulicy inne psy lub swoich właścicieli, gdy ci wracają do domu. Na podstawie przesłanek próbują stworzyć spójny obraz rzeczywistości: gdzie byłeś? Czy były tam koty? Jadłeś mięso? Ach, więc tak... Ognisko w lesie. Błoto. Cytryny.

Gdybym była psem, nie wiem, czy z zapachu książek, kawy i atramentu, którym przesycona jest wełniana marynarka, wywnioskowałabym, że Gil jest tłumaczem, ale tym właśnie zajmuje się mój ojciec.

Zawsze się dziwiłam, dlaczego na świecie jest tyle języków. To bardzo komplikuje sprawy. „Dzięki temu jest dużo ciekawiej” – twierdzi Gil.

Jedziemy dziś do Ameryki, gdzie obędziemy się bez znajomości języków obcych. Gil bezwiednie czochra mi dłonią włosy. Jest zatopiony w lekturze książki, którą przetłumaczył jego znajomy. Od czasu do czasu kiwa głową.

Mama jest skrzypaczką w orkiestrze. Szuru-buru, szuru-buru, mówi, gdy idzie poćwiczyć, i zamyka za sobą drzwi. Jutro wyjeżdża do Holandii.

Mrużę oczy i skupiam wzrok na wybranym punkcie w oddali. Jestem bystra, zwinna i lojalna. Sprawdziłabym się w polowaniu na szczury.

*Saudade*. Zastanawiam się, czy właśnie to czuje Gil z powodu zaginionego przyjaciela.

Marieka pochodzi ze Szwecji. Matka Gila była pół Portugalką, pół Francuzką. Musiałam to wszystko rozpisać na wykresie, by się nie pogubić w narodowościach członków naszej rodziny, ale dobrze mi z tym. Mieszkańce są sprytnie i zdrowe, nie chorują na zwyrodnienia stawów ani na zapalenie spojówek.

Gdy się urodziłam, moi rodzice byli już po czterdziestce, ale nie uważam ich za starych zgreków, a oni nie traktują mnie jak siusiumajtki. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i już.

To, że przyjaciel Gila opuścił dom tuż przed naszą wizytą, jest dość osobliwe. Policja wątpi, by został porwany czy zamordowany. Mogę sobie wyobrazić, że Gil wyjdzie z domu na jakiś czas i zapomni, że ma wrócić, ale więź, jaka łączy go z mamą i ze mną, przyciągnie go z powrotem. Być może Matthew nie jest tak bardzo zżyty ze swoją rodziną.

Choć Gil i Matthew są najlepszymi przyjaciółmi, nie widzieli się od ośmiu lat, co sprawia, że okoliczności zniknięcia Matthew są jeszcze dziwniejsze. A przynajmniej byłoby z jego strony dużym nietaktem, gdyby właśnie teraz postanowił udać się na odosobnienie.

Nie mogę się doczekać spotkania z jego żoną. Liczę, że wiele nam wyjaśni. Być może właśnie dlatego Gil postanowił wziąć mnie ze sobą. Wspominałam już, że jestem dobra w rozwiązywaniu łamigłówek?

Nie ma potrzeby sprawdzać, czy wzięliśmy paszporty; są w wewnętrznej kieszeni mojej torby, bezpieczne, gotowe do okazania przy odprawie. Gil odłożył książkę i patrzy gdzieś nieobecny wzrokiem.

– Jak myślisz, dokąd pojechał Matthew? – pytam.

Spogląda na mnie dopiero po kilku sekundach. Wzdycha i kładzie mi dłoń na kolanie.

– Nie wiem, skarbie.

– Myślisz, że go znajdziemy?

– Lubił się włóczyć jeszcze jako mały chłopiec – odpowiada Gil z zatroskanym wyrazem twarzy.

Czekam, aż powie coś więcej na temat swojego przyjaciela, ale milczy. To znaczy mówi, tylko że w myślach. Przed oczami przebiegają mu całe zdania. Nie potrafię ich rozszyfrować.

– Co...

– Co co? – pyta z uśmiechem.

– Co ci teraz chodzi po głowie?

– Nic ważnego. Myślę o dzieciństwie. Zналиśmy się z Matthew jak łyse konie. Wciąż mam przed oczami obraz chłopca, choć teraz to już starszy facet.

– Ma tyle samo lat co ty, tato – rzucam nieco urażonym głosem.

– No tak – śmieje się i przyciąga mnie do siebie.

Oto historia z ich młodości:

Mają z Matthew po dwadzieścia dwa lata, podróżują autostopem do Francji, na pace ciężarówki, bez grosza przy duszy. Potem przez Francję do Szwajcarii, żeby zdobyć Lauteraarhorn. Z nich dwóch tylko Matthew ma jakiegokolwiek pojęcie o wspinaczce. Wszystko przebiega zgodnie z planem do chwili, gdy drugiego dnia temperatura zaczyna rosnać. Zagrożenie lawinowe. Widzą, jak wokół osuwają się bryły śniegu i lodu. Wieczorem mgła spowija górę niczym peleryna. Kulą się w niej, licząc, że pogoda się zmieni. Około północy wiatr przybiera na sile, a deszcz przechodzi w śnieg.

Setki razy próbowałam sobie wyobrazić tę scenę. Po pierwsze, brak schronienia, po drugie, wysokość. Nieprzenikniona ciemność, zimno, śnieżycą. Matthew zauważa u przyjaciela

pierwsze objawy choroby i nalega, by zawrócili. Gil odmawia. Mijają godziny. Huczy, kręci mu się w głowie, traci rozum, krzyczy, odpycha od siebie Matthew. W końcu, wycieńczony wysiłkiem i rozrzedzonym powietrzem, opada z sił – chce już tylko osunąć się na śnieg i zasnąć. Umrzeć.

Przez następne jedenaście godzin Matthew nie pozwala mu spać, namawia go do zejścia, mobilizuje, ściąga na dół. Na okrągło powtarza, że nie pozwoli mu leżeć w śniegu. Musisz iść, bez względu na wszystko.

Docierają na miejsce bezpiecznie i Gil poprzysięga sobie, że nigdy więcej nie wyruszy w góry.

– A Matthew?

– Był zachwycony – mówi Gil.

– Uratował ci życie.

Gil potakuje skinieniem głowy.

Oboje przez chwilę milczymy. „No, ale” – mówię sobie w duchu.

No, ale... Ale gdyby nie Matthew, nie trzeba by było ratować nikomu życia.

Kaskader i kamikadze.

Gdy rozmyślam o tej wycieczce, przychodzi mi do głowy, że być może zostaliśmy wezwani Matthew na odsiecz, by zgodziło się jakieś kosmiczne rozliczenie, że tym razem to my mamy mu pomóc, człowiekowi, który nigdy wcześniej nie potrzebował pomocy.

Być może naszą rolą jest przywrócenie energetycznej równowagi we wszechświecie. Docieramy na lotnisko. Gil bierze nasze torby i wysiadamy z pociągu. Gdy wjeżdżamy po ruchomych schodach, dostaje wiadomość.

Mój tata nie ma wprawy w obsłudze telefonu, więc przekazuje go mnie. „Nadal żadnej wieści” – odczytuję. Podpisano „Suzanne”, to żona Matthew.

Spoglądamy po sobie.

– Chodź – mówi, ładując bagaże na wózek.

Gnamy w kierunku terminala, który wydaje się oddalony o kilometry.

Przy odprawie proszę o miejsce przy oknie. Tacie jest wszystko jedno. Odpowiadamy na pytania o bombach i ostrych przedmiotach, wygrzebujemy z toreb płyny, wyjmujemy karty pokładowe i dołączamy do długiego ogonka wijącego się do bramek lotów międzynarodowych. Z nudów gapię się na ludzi i próbuję zgadnąć, jakiej są narodowości i co ich ze sobą łączy. Twarze Amerykanów wyglądają na szczerze. Czy to sprawia, że są bardziej kontaktowi? Trudno powiedzieć.

W sklepie bezcłowym Gil kupuje gazetę i butelkę whisky, po czym kierujemy się do naszej bramki. Wchodząc do samolotu, wciąż myślę o tamtej nocy na górze. Jak to jest na wpół ciągnąć, na wpół nieść oglupiałego człowieka wagi Gila, godzinę za godziną, przez lodowaty śnieg i ciemność?

Pewnie ma jakieś wady, ten przyjaciel Gila, ale na pewno nie brak mu determinacji.

Suzanne czeka na nas na lotnisku w Nowym Jorku. Jesteśmy zmęczeni i wymięci. Dostrzega Gila, który akurat gmera przy telefonie. Szturчам go i pokazuję na nią palcem. Nie jest stara, ale wygląda mizernie, jak kwiat, którego nikt nie podlewa. Prowadzi przed sobą wózek. W wózku, mimo całego tego hałasu i rozgardiaszu, śpi dziecko. Ręce wystające z ocieplanego kombinezonu rozłożyło na boki. Na głowie ma niebieską prążkowaną czapkę.

Gil całuje Suzanne na powitanie.

– Kopę lat! – woła i zerka na chłopczyka. – Witaj, maleńki.

– Nazywa się Gabriel – informuje nas Suzanne.

– Witaj, Gabrielu – mówi Gil.

Gabriel porusza powiekami, ale się nie budzi.

– Miła – Suzanne zwraca się do mnie. – Ależ wyrosłaś.

Ma na myśli to, że urosłam od czasu, gdy miałam cztery lata, bo wtedy widziała mnie po raz ostatni. Wtedy też poznałam starszego brata Gabriela, Owena. Miał siedem lat. Prawie go nie pamiętam, choć na jednym ze zdjęć, które zrobił nam Gil, trzymamy się za ręce.

Gdy muskam piąstkę Gabriela, chłopczyk ją rozwiera i zaciska na moim palcu. Mocno.

– Przykro mi, że tak wyszło – mówi Suzanne i potrząsa głową. – Średnia to dla was atrakcja. – Zwraca się do Gila. – Chodź. Porozmawiamy w samochodzie.

Silnik samochodu pracuje głośno, a Gil i Suzanne rozmawiają przyciszonymi głosami, więc większości z tego, co mówią, nie rozumiem. Gabriel śpi obok mnie w foteliku samochodowym. Od czasu do czasu otwiera oczy, wyprostowuje rękę lub kopie nogą, ale się nie wybudza. Pozwalam mu się znowu złapać za palec.

Słyszę głos Suzanne:

– No cóż, mam nadzieję, że podjąłeś właściwą decyzję.

Wypowiada to takim tonem, jakby decyzja bynajmniej nie była właściwa, i jestem pewna, że mowa jest o pomysle, by wziąć mnie ze sobą.

Zaczyna padać.

W końcu zasypiam przy rytmicznych poskrzypywaniach wycieraczek i cichym szmerze rozmowy Gila i Suzanne. W normalnych okolicznościach starałabym się śledzić, co mówią, ale jestem na to zbyt zmęczona. Gabriel wciąż ściska mnie za palec.

Gdy się budzę, jest już ciemno. Droga jest wąska, spokojna i prawie pusta; przestało padać. Nic nie mówię, tylko patrzę przez szybę w las, z nadzieją, że zobaczę oczy jakiegoś jelonka czy niedźwiedzia. Gil i Suzanne przestali już rozmawiać i samochód wypełniają teraz ich osobiste niewypowiedziane myśli. Te Suzanne są zadziwiająco klarowne. Te Gila – przytłumione i ciche. Gil najprawdopodobniej myśli o Matthew. Dla niego to nie lada łamigłówka. Tak samo jak dla mnie i dla Suzanne. Dokąd pojechał? I dlaczego?

Myśli Suzanne są jak zacięta płyta. „Cholera, cholera, cholera, cholera”. Wiem tylko tyle, że Matthew i Suzanne uczą na uniwersytecie. Matthew zniknął pięć dni temu, osiem miesięcy po rozpoczęciu roku akademickiego i czternaście miesięcy po narodzinach Gabriela. Nic ze sobą nie wziął, ani ubrań na zmianę, ani paszportu, ani pieniędzy. Po prostu wyszedł rano do pracy, pożegnał się jak zwykle i nikt go odtąd nie widział.

Sam fakt, że człowiek się ulatnia, szczególnie mnie nie dziwi. Większość pozostaje w jednym miejscu za sprawą pewnej siły dośrodkowej. Gdyby z jakiegoś powodu przestała działać, wyorbitowalibyśmy w różnych kierunkach. Ale żeby nie wrócić? Rozłąka jest przerażająca i bolesna. I kto normalny porzuciłby dziecko? Jest to niewyobrażalne nawet dla



mnie, to zaprzeczenie miłości.

Myślę intensywnie. W jakich okolicznościach zniknięcie byłoby jedynym możliwym wyjściem?

Oto, co mi przychodzi do głowy:

a) desperacja (z jakiego powodu?),

b) strach (przed czym?),

c) złość (na co?).

O Matthew i Suzanne nie wiem prawie nic. Postaram się zorientować, jak się sprawy mają, gdy dotrzemy na miejsce. Na wszystko zawsze jest jakaś odpowiedź. Czasem tą właściwą okazuje się:

d) wszystkie powyższe możliwości.

Gdy Gil mi powiedział, że Matthew i Suzanne mieszkają w drewnianym domu w północnej części stanu Nowy Jork, oczami wyobraźni widziałam staroświecką chatę z bali, ze smużką dymu unoszącą się z komina, bujanym fotelem na werandzie i kurami przechadzającymi się po podwórku. Ale ich dom jest zupełnie inny. W niczym nie przypomina ani chałupy z bali, ani żadnego innego typowego obiektu mieszkalnego. Wyobraźcie sobie wielki sześcian, którego każda ściana podzielona jest na cztery przeszklone kwadraty. Dach też jest dużym kwadratem, tyle że z drewna, i opada pod niewielkim kątem, by umożliwić odpływ wody deszczowej.

Położony jest między drzewami, na uboczu. Suzanne, wychodząc, zostawiła włączone światło. Parkujemy. Dom wygląda jak piękny statek kosmiczny, który dopiero co wylądował na polance. Połyskuje w głębokiej nocy. Nigdy w życiu nie widziałam ładniejszego domu. Moją pierwszą myślą, po tym jak Suzanne gasi silnik, jest to, że ja bym stąd nie uciekła.

Suzanne otwiera drzwi wejściowe. Na podłodze na środku pokoju leży duży biały owczarek alzacki. Na nasz widok podnosi łeb. Suzanne się z nim nie wita. Mija go, jakby w ogóle go tam nie było. Zwierzę wydaje się do tego przyzwyczajone i wstaje, by zejść jej z drogi. Podchodzę do psa, który okazuje się suką. Gdy przyklękam, by ją pogłaskać, stoi nieruchomo. Ma piękne, brązowe oczy. Biję od niej samotność.

A więc to pies Matthew. Na adresówce widnieje imię Honey.

Większość ścian zastawiona jest regałami z książkami. Jest tam także olbrzymi piec z przeszklonym frontem, oznakowany nalepką ECO BURNER.

– Spala także dym – informuje mnie Suzanne.

Ciekawe, jak to robi.

Na wszystkich regałach, ścianach i sufitach zamontowane są maleńkie światełka, co sprawia, że cały dom zdaje się migotać.

– Przepiękny dom – zwracam się do Suzanne, która zdejmuje Gabrielowi ocieplany kombinezon. Chłopczyk jest już rozbudzony i patrzy jak mała sówka. Macha ręką do Honey, która pośpiesznie przygląda się całej scenie. Suzanne wskazuje na drzwi.

– Wynocha! – rzuca.

Honey wychodzi.

– Zbudował go architekt, który cienko przędł – oznajmia Suzanne. – Ale dzięki temu projektowi zdobył sławę i teraz wybudował podobny, tylko że większy, dla siebie. Nazwał go Pudełkiem.

Zwiedzam dom, zapamiętuję jego kolejne odsłony, jakbym pstrykała zdjęcia. Nie bardzo pamiętam, jak wygląda Matthew, a w domu nie ma żadnych jego fotografii. Ani ślubnej z Suzanne, ani z Gabrielem. Ani samego Matthew.

Pstryk.

Rzucają mi się w oczy także inne szczegóły: para ubłoconych butów. Stos rachunków. Potłuczona szyba w oknie. Stos ubrań. Deskorolka. Pies. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Pierwsze wrażenie? W tym domu nie mieszka szczęście.

Moja najlepsza przyjaciółka z Londynu nazywa się Catlin. Ma słomiane włosy, patykowane nogi i ręce. Od kiedy skończyłyśmy siedem czy osiem lat, chodziłyśmy po szkole do niej do domu, częściowo dlatego, że znajdował się po drodze do mojego, a częściowo dlatego, że na najwyższym piętrze, pod dachem, miał tajemny korytarz, do którego wchodziło się przez drzwi ukryte za starym kredensem. Idealne miejsce na klub.

Zaprojektowałyśmy księgi szyfrów, a pod deskami podłogowymi chowałyśmy nasze kieszonkowe, robiąc plany, że właśnie tu się ukrywamy, gdy wróg napadnie na Camden. Catlin ma rozwinięty zmysł logistyczny, więc całymi dniami rysowałyśmy mapy tuneli metra rozgałęziających się pod Londynem, łączących kanały ściekowe i stacje widma.

Wszystkich znanych nam ludzi ocenialiśmy pod względem potencjalnego zagrożenia, jakie będą stanowić, gdyby sprawy potoczyły się źle. Ja i Cat, z najwyższymi certyfikatami bezpieczeństwa, byłyśmy odpowiednio głową państwa i szefem służb bezpieczeństwa. Gil z czterogwiazdkowym certyfikatem był starszym szyfrantem, a Marieka – szefową zarządu operacyjnego. Pięć gwiazdek.

Rodzice Catlin stanowili poważny problem. Jej tata dużo krzychał, ale na szczęście większość czasu spędzał w pracy. Gdy akurat był w domu, najlepsze, co można było zrobić, to omijać go. Rzadko rozmawiał z mamą Catlin. Obwołałyśmy ich urzędnikami do spraw protokołu, enigmatyczna ranga z zaledwie trzygwiazdkowym certyfikatem bezpieczeństwa. Bałam się, że Cat poczuje się urażona tym, że jej rodzice są niżej na liście od moich, ale najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało.

Pewnego razu w drodze do szkoły Catlin rzuciła beztroskim tonem:

- Moi starzy się nie znoszą. – Spojrzała na mnie, wyczekując mojej reakcji.
- Wielu rodziców się nie lubi – odparłam, nie chcąc sprawić jej przykrości.
- Prawdopodobnie się rozwiodą – dodała tak dziwnym głosem, że pomyślałam, że zaraz się rozplacze. Ale gdy odwróciłam się w jej stronę, zobaczyłam, że przykuca z wariackim uśmiechem, a potem wybija w powietrze jak na sprężynie, krzycząc przy tym niemal radośnie: – Nienawidzę ich!

Jak na takie chucherko ma bardzo donośny głos.

Krzyk najwyraźniej poprawił jej samopoczucie, choć wątpię, by naprawdę wierzyła w to, co mówi. Większość ludzi nie czuje nienawiści do swoich rodziców, nawet jeśli są oni okropni. A przynajmniej matka Cat okropna nie jest. Zawsze przynosiła nam na najwyższe piętro, gdzie robiłyśmy plany na wypadek inwazji, herbatniki i napoje na tacy. Nigdy nie pukała. Po prostu bezgłośnie stawiała ją obok drzwi za kredensem. Polubiłam ją za to, choć często sprawiała wrażenie, jakby lunatykowała. Cały dom wydawał się ponuro bury, jakby ktoś za pomocą słomki wysłał z niego wszystkie kolory. Zastanawiałam się, czy Catlin widzi, że różni się od innych domów, czy może wydaje się jej zupełnie normalny.

Od początku chodziłyśmy z Catlin do jednej klasy. Ale w tym roku Catlin stała się jakaś dzika i hałaśliwa – zaczęła podciągać wyżej szkolną spódniczkę i zadawać się ze starszymi chłopakami, którzy przeklinają i palą papierosy, budząc zgrozę wśród starsuszków w środkach komunikacji miejskiej. Dziwnie się czułam, wracając samotnie do domu, ale w końcu przywykłam. Czasami, przechodząc obok jej domu, musiałam się powstrzymać, by odruchowo do niej nie skręcić.

Nie chodzi o to, że z premedytacją się unikałyśmy. Nie mogę też powiedzieć, że za nią tęskniłam – wydawało mi się, że stała się kimś, kogo już nie znam. Ale każdego dnia brakowało

mi osoby, która kiedyś była moją przyjaciółką. Najgorzej było wtedy, gdy przypadkowo nasze oczy się spotykały, a Catlin odwracała wzrok.

I właśnie wtedy, ostatniego dnia wiosennego semestru, podbiegła do mnie od tyłu z okrzykiem „Buch!”, jak to miała w zwyczaju dawniej. Wróciłyśmy tego dnia ze szkoły razem, udając, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Rany! – powiedziała Catlin, wybałuszając oczy. – Widziałaś, jak panna Evans przebrała się za wielkanocnego króliczka?

Panna Evans jest naszą nauczycielką wychowania fizycznego. To absolutna wariatka, nigdy nie przepuści okazji, by przebrać się za Świętego Mikołaja, Karola Marksa albo Harry’ego Pottera.

– *Très* dziwaczne – stwierdzam.

– *Très, très* dziwaczne! – Tańczyła wokół mnie, wymachując rękoma jak jakaś baletnica.

Znowu się zakolegowałyśmy.

– Będziesz w domu przez Wielkanoc? – spytała jakby nigdy nic, z głową wetkniętą w tornister, w którym szukała szminki.

Pytanie mnie zaskoczyło, bo co z paczką jej nowych „fajowskich” znajomych?

– Jadę do Nowego Jorku – odparłam. – W odwiedziny do przyjaciela taty.

Ponieważ nie odpowiedziała, poczułam się winna, że wyjeżdżam, choć to absurdalne, bo przecież przez ostatnie parę miesięcy prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy.

Gdy doszłyśmy do jej domu, bez słowa odwróciła się na pięcie i pobiegła, jakby była rozgniewana. Zastanawiałam się, czy to dlatego, że ja wyjeżdżam, a ona nie, czy dlatego, że zapragnęła, byśmy znowu były przyjaciółkami, w chwili, która nie była dla mnie najodpowiedniejsza.

– Ej, Cat! – zawołałam za nią. – Opowiem ci, jaka jest ta Ameryka!

Ale Cat zniknęła za progiem, nawet się nie odwróciwszy.

Patrzyłam, jak z trzaskiem zamykają się za nią drzwi, i już miałam odejść, gdy zobaczyłam ją w oknie, wodzącą za mną wzrokiem. Potem jej dłonie wpełzły po szybie, jakby należały do kogoś innego, Cat wykrzywiła się i zaczęła udawać, że się dusi – wywaliła język, zrobiła zeza i jej twarz jakby spłynęła po szybie.

– Pa! – zawołałam i pomachałam jej.

Minutę później przysłała mi esemesa: „Przywieź mi amerykańską pisanekę”.

Odpowiedziałam: „Zachowaj dla mnie londyńską”.

Odpisała: „OK”.

Ja na to: „OK”.

Ona: „Tylko dużą”.

Ja: „*Ditto*”.

I obie poczułyśmy się lepiej.

Z powodu zmiany strefy czasowej kręci mi się w głowie i mam lekkie mdłości. Suzanne prowadzi mnie do małego pokoiku za gabinetem, z wbudowanym łóżkiem. Z jednej jego strony znajduje się przeszklona ściana z widokiem na las. Suzanne pokazuje mi, jak zamknąć żaluzje, ale wolę odsłonięte okno. Jestem tak zmęczona, że nie wiem, kiedy zapadam w sen, a gdy się budzę, jest już południe następnego dnia. Słońce prześwituje między konarami drzew; niebo ponad nimi jest niebieskie i czyste. Nic tu nie przypomina widoku, który roztacza się z mojego londyńskiego okna, wychodzącego na inne domy.

Gil przynosi mi do łóżka kawę z mlekiem. Uśmiecha się, ale sprawia wrażenie rozkojarzonego. Teraz, gdy jestem w pełni obudzona, rozglądam się po pokoju z zaciekawieniem – małe biurko, obrotowe metalowe krzesło, dwie pary tenisówek równiutko ustawione w kącie. Na półce *Księga rekordów Guinnessa* – wydanie sprzed kilku lat, wojskowy podręcznik survivalu, wiekowy egzemplarz *Wyspy skarbów* w zniszczonej skórzanej okładce, wysoki stos szkolnych zeszytów i pism o tematyce sportowej. Tuż nad tą półką jest następna, na której wyeksponowano srebrne puchary zdobyte w zawodach pływackich, jeden przy drugim. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że to pokój Owena. Dostrzegam zdjęcie w srebrnej ramce, na którym stoi obok Suzanne. Otacza ją ramieniem. Jest od niej wyższy o kilka centymetrów. Pokój jest posprzątany i odkurzony, ale na komodzie leżą klucze, kartka urodzinowa i stoi miseczka z monetami, jakby ktoś mógł po nie w każdej chwili wrócić.

Gil śledzi mój wzrok.

– Przyjdź na śniadanie, jak będziesz gotowa – mówi. – Wyspałaś się?

Przytakuję skinieniem głowy.

– A ty?

Wzrusza ramionami. Zza rogu niczym zjawa wyłania się Honey. Podaję jej dłoń do polizania.

– Żadnych wieści? – pytam.

W odpowiedzi Gil przecząco kręci głową.

– Będziemy go szukać?

– Muszę się zastanowić – mówi. – Możliwe, że tak.

Mam ochotę spytać: „A co, jeśli go zamordowano? A jeśli rzucił się pod pociąg?”. Ale nie robię tego. Gil na pewno już rozważył i wykluczył taką ewentualność. Możliwe, że tylko udaje, że wierzy, iż jego przyjaciel żyje, żeby mnie nie martwić, ale wątpię. Wadą mojego ojca jest bezgraniczna szczerość. No i oczywiście roztargnienie.

– Jak sądzisz, dokąd pojechał? A co, jeśli nie uda nam się go znaleźć? Czy da nam znak życia?

– Ech, perguntadorko.

Tata wymawia to słowo z lekkim uśmiechem. *Perguntador* po portugalsku oznacza kogoś, kto zadaje za dużo pytań. Tata mnie tak przezywa, od kiedy sięgam pamięcią.

– Po kolei. Najpierw kawa. Potem prysznic. Ubierz się. I zjedź na śniadanie. – Zerka na zegarek. – A raczej na lunch. Pogadamy z Suzanne i obmyślimy jakiś plan, okej?

Okej. Wyjmuję z walizki czyste ubrania i biorę ręcznik wyłożony obok łóżka. Honey patrzy na mnie w skupieniu. Wygląda na zagubioną, tylko że to nie ona się zgubiła.

Wyjmuję telefon, robię zdjęcie i wysyłam je do Catlin wraz z wiadomością: „Dużo mają drzew w tym Nowym Jorku”.

Cat odpisuje: „Myślałam, że wieżowców. Może wylądowałaś w jakimś innym miejscu?”.

„To na północy stanu” – informuję ją.

Cisza. Po chwili kolejne „Piib”.

„Kupiłaś mi już pisanek?”

„Jeszcze nie”.

„OK”.

Odkładam telefon na półeczkę w łazience. Łazienka wyłożona jest czarnymi płytkami – ściany, sufit, podłoga. Jak tylko odgadnę, jak się obsługuje prysznic, spędzę pod nim chyba cały dzień. Mydło, które zostawiła mi Suzanne, też jest czarne. Pachnie kokosem. Robię mnóstwo piany i przyglądam się, jak znika w odpływie. Gdy zakręcę wodę, jest tak gęsto od pary, że mam wrażenie, jakbym stała w chmurze. Owijam się ciemnozielonym ręcznikiem, w kolorze sosny, takim samym jak drzewa na zewnątrz. Pomimo powagi naszej misji w tej chwili czuję się zupełnie zadowolona.

Na śniadanie jest tost. Suzanne nie widać. Gil mówi, że poszła na godzinę do pracy i że do jej powrotu mamy czuć się jak u siebie w domu. Opiekunka Gabriela zabrała go na plac zabaw.

– O czym myślisz? – pyta Gil, patrząc na mnie uważnie.

Czasem przyglądam się sytuacjom, których nie potrafię zinterpretować. Na przykład wtedy, gdy dwoje ludzi uśmiecha się do siebie i trzyma za ręce, choć tak naprawdę się nienawidzą. Nie mogę się w tym połapać. Gil mówi, że to dlatego, iż rzeczywiście trudno się w tym połapać. Tak samo jak w przypadku tłumaczenia. Niektórych rzeczy po prostu nie da się przełożyć, bo w drugim języku brakuje odpowiednich słów albo ich znaczenie jest na tyle ograniczone do danego miejsca i kontekstu, że nie można znaleźć dla nich odpowiednika.

Ale czasami są jakieś wskazówki.

– Piękny dom – rzucam ostrożnie.

– Ale?

Biorę głęboki oddech.

– Suzanne jest taka porządna. Wszystkie rzeczy jej i Gabriela są pochowane. Ale *jego* rzeczy nie tknęła. Sam zobacz...

Gil patrzy.

– Na podłodze zmiętoszony sweter. Ubłocone buty rzucone w kąt. Na stole kupka listów. To prawie jakby...

Gil spogląda na mnie z wyczekiwaniem.

– ...jakby mieszkali w dwóch osobnych domach, które nie mają ze sobą części wspólnej. Na przykład... tylko jedno z nich jest wegetarianinem – mówię, wskazując półkę z książkami kucharskimi.

– To akurat dość częste.

Patrzę na niego i nie wiem, czy to częste, czy nie. Wiem tylko, jak wygląda rodzina, w której ludzie dobrze się razem czują. Przedmioty jakby tracą kontury i na siebie zachodzą. W tym domu dostrzegam granice. Suzanne odgradza swoje rzeczy tak, by nie stykały się z rzeczami Matthew. Nawet dziecko wydaje się tylko jej – jego zabawki, ubranka i przybory są ładnie ułożone na jej poletku.

No i to, że nie znosi psa.

Nie mówię tego na głos, ale wyczuwam jeszcze inne rzeczy. Na przykład Owena. Czuję go w całym domu. Udają, że go nie ma, ale on jest wszechobecny jak duch, który nie może zaznać spokoju.

Jest ktoś jeszcze. Palacz. Suzanne ma przyjaciela, który pali papierosy. Na jej ubraniach i we włosach osiadła woń tytoniu. Czuję go też w niektórych częściach domu, co oznacza, że ta

osoba tu bywa. I zdecydowanie jest płci męskiej. Kobiety, nawet jeśli nie używają perfum, zawsze pachną czymś dodatkowym – kosmetykami do pielęgnacji włosów, szamponami, mydłem.

– Matthew pali? – pytam.

– Nigdy – odpowiada Gil ze zdezorientowaną miną. – Nie znosi papierosów. Dlaczego pytasz?

Wzruszam ramionami.

Gil popija kawę.

– Suzanne powiedziała, że Matthew ma leśniczówkę w pobliżu granicy z Kanadą.

Orientując się po mojej minie, że nie rozumiem, wyjaśnia:

– Mały domek. Jakby chatkę.

Matthew ma leśniczówkę. A nie: mamy leśniczówkę.

– Zastanawiam się, czy nie pojechał właśnie tam. – Gil spogląda na mnie znad filiżanki. – Stoi na uboczu. W lesie. Coś w rodzaju myśliwskiej bazy.

– Myśliwskiej?

Gil uśmiecha się.

– Matthew nie poluje. Ale może powinniśmy się tam przejechać. Gdyby miał się gdzieś zaszyć, to właśnie tam. Suzanne mówi, że zostanie z Gabrielem, w razie gdyby Matthew się tu pojawił.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Czy to normalne, że ludzie tak po prostu znikają? – pytam.

– Normalne? – Gil unosi brew. – Niezupełnie. Ale nie ma czegoś takiego jak normalność, perguntadorko.

Nie ma czegoś takiego jak normalność. Ulubiona sentencja Gila. Dojadam tost i spoglądam na drzewa, na których dopiero pojawiają się listki. Dowiedziałam się, że słowo „normalność” nie ma w naszym języku żadnego przypisanego znaczenia, ale czasami zastanawiam się, jak by to było, gdyby było „normalnie”.

– Która jest teraz godzina w Holandii? – pytam. – Możemy zadzwonić do Marieki?

– Tak – odpowiada Gil.

Tak też robimy, ale Marieki nie ma, więc zostawiamy jej wiadomość. Opadam na wygodną sofę i na dłuższą chwilę przymykam oczy. Gdy je otwieram, Honey stoi obok mnie i patrzy proszącym wzrokiem. Wzdycham. Wstaję, znajduję jej smycz i idziemy na spacer po lasku za domem. Nie oddalam się za bardzo, bo nie chcę się zgubić. Suka Matthew to obserwatorka. Zupełnie jak ja. W jej oczach jest niemal ludzki smutek. Chce się dowiedzieć, kim jestem. Chodzi za mną i nadstawia uszu, gdy mówię. Może liczy, że wytłumaczę jej, o co chodzi, gdzie jest Matthew i kiedy wróci, ale przecież nie znam odpowiedzi, a poza tym nie mówię po psiemu.

Honey jest wierna i inteligentna.

Zastanawiam się, jak to możliwe, że Suzanne jej nie znosi.

Nikt by nie podejrzewał, że zostaniemy z Catlin przyjaciółkami. Catlin jest hałaśliwa, chuda jak szczapa i zdrowo stuknięta. Ja – cicha, rzetelna, rezolutna. Cat w gorącej wodzie kąpana. Ja ostrożna. Ale podoba mi się, że jest bystra i śmiała jak spadająca gwiazda. Inna od wszystkich. Czasami się zastanawiam, dlaczego w ogóle się ze mną przyjaźni.

Kiedyś zaciągnęła mnie do naszego klubu na poddaszu i kazała zajrzeć do tekturowego pudła. W środku były dwa szczury.

Wbiłam w nią osłupiały wzrok.

Tydzień wcześniej ze szkolnego laboratorium biologicznego zniknęły dwa szczury. W szkole zapanowała powszechna histeria. Niektórzy odmawiali nawet korzystania z toalet z obawy, że gryzonie wyskoczą z sedesu, co zresztą naprawdę się zdarza.

– Ukradłaś szczury? – spytałam oburzona. – Jak ci się udało wynieść je ze szkoły?

Cat, szczerząc zęby w uśmiechu, pokazała na swoje stopy.

– Co takiego? Wepchnęłaś je do butów?

– Bingo. No prawie.

Sięgnęła po jednego szczura i razem z dłonią wsunęła go do skarpety, wyjęła rękę i luźno związała skarpetę na końcu. I *voilà*, nosidełko na szczury pierwsza klasa. Ponieważ były to szczury klasowe, często przekazywane z rąk do rąk, przekarmione, ospałe i łagodne, w ciemnej skarpecie po prostu zwinęły się w kłębek i zasnęły.

– Gdzie się nauczyłaś tej sztuczki?

– Wymyśliłam ją.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Większość rzeczy, które Cat mi opowiada, jest zmyślona, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jej wyjaśnienia są dużo bardziej zajmujące niż prawdziwe wersje wydarzeń.

Cat miała plan, że wytresujemy szczury, by przynosiły wiadomości kanałami ściekowymi – choć nie wiedziałyśmy jeszcze, jakie wiadomości ani dla kogo przeznaczone.

Nie wolno nam nadawać im imion, powiedziała, bo wtedy się do nich przywiążemy, a to wyjątkowo nieprofesjonalne. Tak więc zostały Szczurem nr 1 i Szczurem nr 2. Gdy pierwszy raz wzięłam do ręki Szczura nr 1, wbiegł mi po ramieniu i schował się pod bluzką. Kiedy nazajutrz na lekcji biologii dwie dziewczyny podskoczyły na krzesłach, wrzeszcząc, że widziały szczura, nawet nie chciało mi się odwracać, bo wiedziałam, że żadnego szczura tam nie ma. Wszyscy spojrzeli na mnie podejrzliwie, myśląc sobie: „Skąd wiedziała?”

Tak czy inaczej, we wtorek nakarmiłyśmy szczury serem i herbatnikami, a także odrobiną kiełbasy i trawą, ale w środę, zanim wróciłyśmy ze szkoły, zdążyły przegryźć pudełko i uciec.

Nigdy więcej ich nie widziałyśmy. Mama Catlin ciągle narzekała, że nocami z kredensu dobiegają odgłosy gryzienia, ale tata Catlin ją ofuknął: „Nie bądź głupia, znowu sobie coś roisz”. Najwyraźniej były u nich z tego powodu wielkie awantury. Ale w tej rodzinie zawsze były wielkie awantury. Cat powiedziała, że szczury okazały się kroplą, która przepełniła czarę – zniszczyły małżeństwo jej rodziców na zawsze. Nie słuchała mnie, gdy przekonywałam ją, że to nieprawda, że dla każdego, kto choćby raz widział jej rodziców razem, było jasne, że się nie lubią i że prędzej czy później się rozwidą, ze szczurami czy bez.

Świadomość, że pochodzi się od dwójki ludzi, którzy nigdy nie powinni byli się ze sobą związać, musi być straszna.

Po incydencie ze szczurami zaczęłyśmy spędzać więcej czasu u mnie, gdzie wszyscy byli dla siebie mili i nikt na nikogo nie krzyczał. Teraz, z perspektywy czasu, zastanawiam się, czy to



między innymi nie dlatego Catlin przestała się ze mną przyjaźnić.

Pewnego razu poszliśmy po szkole do Cat. Jej mamy nie było w domu, ale wszystko idealnie wysprzątno, a okna szczelnie pozamykano, choć był piękny wiosenny dzień. W środku było zimno i ponuro, jakby nikt nie poinformował domowników, że zima się skończyła, na dworze drzewa obsypane są kwiatami, a ptaki wyśpiewują trele.

Zabrałyśmy z „klubu” nasze książki szyfrów, choć zabawa w szpiegów dawno nam się już znudziła, i nie zajrzałyśmy nawet do lodówki. Chciałyśmy po prostu jak najszybciej się stamtąd wydostać.

– Mama nie słyszy już szurów – powiedziała Cat. – Uciekły od nas jak z tonącego okrętu.

Ponieważ wyglądała na przybitą, zapiszczałam:

– Naprzód, załoga! Do stu tysięcy beczek zjełczałego tranu!

Trzasnęłyśmy drzwiami i pobiegłyśmy prosto do mnie, całą drogę wznosząc pirackie okrzyki. Gdy dotarłyśmy na miejsce, Gil rzucił nam „cześć” ze swojego gabinetu, a Marieka pojawiła się z pęczkami szparagów. W powietrzu unosił się zapach hiacyntów rosnących za oknem. Myślałam, że to miłe, ale może Cat czuła się okropnie.

Rok później, gdy już ze sobą nie rozmawiałyśmy, pomyślałam, że jej nowa osobowość ma sens – że całowanie się z chłopakami, palenie trawy, trzaskanie drzwiami do klasy, pyskowanie nauczycielom i w ogóle zachowywanie się sto razy hałaśliwiej i niegrzeczniej, niż potrzeba, jest dobrą strategią, by nie myśleć o tym, że czeka cię powrót do smutnego, szarego domu.

Tłumaczenie książek to osobliwy sposób zarabiania na życie. Zazwyczaj tłumaczy się z języka obcego na ojczysty, ale wśród licznych kolegów taty po fachu można spotkać wszelkie możliwe kombinacje.

Gil tłumaczy z portugalskiego na angielski. Większość tłumaczy posługuje się biegle dwoma lub trzema językami, ale niektórzy znają jakąś absurdalną ich liczbę – słyszałam kiedyś o dwunastu. Podobno po przyswojeniu pierwszych trzech czy czterech jest już z górki.

Mój niepokój wzbudzają natomiast ci pozbawieni języka ojczystego. Kolega Gila, Nicholas, miał matkę Francuzkę i ojca Holendra. W domu mówił po francusku, niderlandzku i angielsku, a potem wychowywał się w Szwajcarii, gdzie w szkole posługiwano się włoskim i niemieckim. Gdy go spytałam, w jakim języku myśli, odpowiedział, że to zależy od tego o czym.

Myśl, że można nie mieć języka ojczystego, napawa mnie lękiem. Czy człowiek czuje się wtedy we własnej głowie jak nomada? Nie wyobrażam sobie, by nie mieć słów, w których byłabym zadomowiona. To jak bycie językowym sierotą.

Wbrew pozorom nie jest to dla mnie problem z księżycą wzięty – Marieka w dzieciństwie najpierw mówiła po szwedzku, potem po angielsku, a Gil nauczył się portugalskiego, francuskiego i angielskiego, i to jeszcze w dzieciństwie. Rozumiem, gdy ludzie rozmawiają w większości z tych języków, ale poprawnie mówię tylko we własnym.

Marieka przewraca oczami, gdy przy śniadaniu Gil próbuje nam wytłumaczyć semiotykę syntaktyczną albo opowiada o teorii typologii. Jego dziadek był górnikiem, ojciec został nauczycielem, ale robiąc doktorat z lingwistyki stosowanej, Gil przebił ich wszystkich. „Nie zapominaj o swoich korzeniach” – mówi mama i prycha. Semiotyka! Też coś!

Uwielbiam słuchać, jak Gil mówi, ale nie zawsze zwracam uwagę na to, co mówi. A nawet gdy zwracam uwagę, rzadko rozumiem, o co mu chodzi. Żadnemu z nas to jednak nie przeszkadza. Czasem dziwię się, że jest moim tatą, zważywszy na to, jak odmiennie pracują nasze mózgi. Może podmieniono mnie po urodzeniu, a moim prawdziwym ojcem jest Herkules Poirot.

Matka Marieki była Szwedko-Sudanką i choć Marieka ma jasną skórę po ojcu, to jej włosy są złościście rude niczym płonący krzak. Gil mówi, że to właśnie one przykuły jego uwagę, a dopiero później jej gra. Było to na koncercie, na który zaciągnął go przyjaciel. Pierwsze pół godziny tata spędził, myśląc o artykule, nad którym pracował, i dopiero po przerwie podniósł wzrok na skrzypaczkę z burzą niesfornych loków.

Marieka nie spodziewała się, że ktokolwiek przejmie się muzyką, a w dodatku przyjdzie za kulisy. Teraz do tego przywykła, ale wtedy myślała, że Gil jest ekscentrykiem, kto wie, może nawet szaleńcem.

Gdy kiedyś spytałam rodziców, dlaczego nie zamieszkali ze sobą przez pierwsze osiem lat ich związku, Gil odpowiedział tylko, że było im dobrze tak, jak było.

Mówi, że po tym, jak poznał Mariekę, nigdy nie pomyślał o innej kobiecie, ani razu, a potem na jednym wydechu dodaje: „Myślisz, że w Genewie przyda mi się szary garnitur?”. Marieka odpowiada z uśmiechem: „Tak, kochanie, przyda ci się na pewno”.

Marieka postrzega świat na sposób, jak to określa, skandynawski, czyli bez nadmiernego dramatyzmu. Ja z kolei jestem wyczulona na każdą emocję, każdą aluzję, każdy podtekst. Jeśli ktoś jest zły, smutny lub rozczarowany, odczytuję to, jakby miał to wytatuowane na czole. Nie wiem dlaczego. Po prostu tak mam. Przez długi czas myślałam, że wszyscy mają podobnie.

„Biedaczysko – mówiłam, a Marieka spoglądała na mnie z dezorientacją. – Patrz! – mówiłam. – Patrz, jak on stoi, usta wykrzywione, oczy rozbiegane. Patrz na ramiona, jak opina go marynarka, jak kurczowo ściska książkę. Spójrz na buty. Jak oblizuje usta”.

Dla mnie wszystko było jasne – otoczenie pełne jest znaków – nie mogłam się nadziwić, że Marieka tego nie dostrzega. Ale Gil twierdzi, że ludzkie talenty są różnorodne i nieskończone. On na przykład nie rozumie, jak ludzie mogą znać tylko jeden język. Marieka z kolei wdryga się, słysząc niektóre kombinacje akordów. Ja zaś mam wgląd w ludzkie dusze.

Oczywiście, większość ludzi nie ma tak wyostrojonej uwagi. Będą zadawać pytania, choć odpowiedzi są widoczne jak na dłoni.

Na przykład: „Gdzie jest Marieka?” – typowa zagwozdzka Gila. Patrzę na niego i pytam: „Jaki mamy dziś dzień? Które skrzypce zabrała? Które buty włożyła?”.

Skojarzenie tych trzech prostych faktów pozwala mi natychmiast wydedukować, dokąd poszła Marieka i jak długo jej nie będzie. Ale Gil zawsze pyta. Buty na płaskim obcasie z powodu schodów. Sala, w której Marieka ćwiczy kwartety, znajduje się na piątym piętrze. Kiedy indziej prawie zawsze zakłada buty na obcasach, bo lubi być wysoka. A jeśli nawet przegapi się buty, to pozostaje jeszcze brak barokowych skrzypiec.

Czasami chodzę z Marięką na próby. Ćwiczą w małym mieszkanku skrzypaczki, mieszczącym się na ostatnim piętrze starej kamienicy w Covent Garden, z wysokimi oknami z widokiem na Londyn. Gdy położę się na podłodze i oprę brodę na rękach, mój wzrok sięga tylko do wąskiej listwy przypodłogowej i mogę wtedy udawać, że znajduję się w balonie unoszącym się nad Covent Garden. Przyprowadziłam tu kiedyś Catlin, ale nie potrafiła zachować ciszy.

Gdy usłyszeliśmy, że Matthew zniknął, Marieka i Gil długo się naradzali, co zrobić.

– A jeśli to bardziej skomplikowane, niż się wydaje? – spytała Marieka.

Gil coś wymamrotał, ale nie zrozumiałam.

– Nie chcę, żeby Mila zadawała się z tą coścą coścą rodziną i wiesz, co blabląbla o Suzanne – odparła Marieka.

Tak się składa, że wiem, co „wyblabląbla” na temat Suzanne. Nie przepada za nią, choć przyznaje, że rozumie, iż trudno być sympatyczną osobą, gdy spotkało cię tak wielkie nieszczęście. Ale Marieka znała Suzanne jeszcze przed śmiercią Owena i twierdzi, że nawet wtedy Suzanne nigdy nie mówiła prawdy. Zastanawiam się, dlaczego nie widziałam Suzanne, od kiedy skończyłam cztery lata. Gil mówi, że są z Matthew jak bracia, ale kiedy ostatni raz się spotkali? Czy są jak bracia, których drogi życiowe się rozeszły?

– Co myślisz? – pyta Marieka.

Nie słyszę odpowiedzi, ale wystarczająco dobrze znam tatę, by sobie wyobrazić, co odrzekł: Matthew czasami tak się zachowuje. To pewnie nic poważnego. Polecimy tam tak, jak zaplanowane. Gdy dotrzemy na miejsce, pewnie będzie już w domu. To mój przyjaciel z młodości. Zbyt długo już się nie widzieliśmy. Może blabląbla, szuszuszu.

Słyszałam opowieści, jak to, będąc chłopakami, bawili się na cmentarzu za szkołą, rozmawiali o dziewczynach i upijali się cydrem do nieprzytomności. Widziałam zdjęcia zrobione na długo, zanim Gil poznał Mariękę, na których opaleni na brąz szczerzą się w uśmiechu w Hiszpanii, Szkocji, w Alpach. Są młodzi i przystojni, ich przyjaźń wystawiona została tylko na drobną próbę w postaci dziewczyny, w której obaj byli zakochani. Na jednej z fotografii obaj otaczają ją ramieniem, ale ona patrzy tylko na Matthew, spoglądającego prosto w obiektyw. Uśmiecha się do niego. Twarz Gila jest w cieniu.

Gdy matka Matthew zachorowała, mieszkał z rodziną Gila przez cały rok. Dzielili z Gilem pokój i do późnej nocy czytali komiksy, które Matthew ukradł w okolicznym sklepie.

*Ukradł.*

– Matthew – mówi Gil – nie ja.

– Co się stało z jego matką?

– Zmarła, perguntadorko. Miał wtedy piętnaście lat.

Chciałabym ich znać takimi, jakimi byli w tamtych czasach, choć podejrzewam, że młody Gil niespecjalnie różnił się od Gila nie tak bardzo młodego. Słyszałam opowieści o tym, jak siedzieli obok siebie na egzaminach – Matthew dobry z historii, Gil z języków, obaj dostali się do Cambridge.

Dwóch chłopców ze szkoły podstawowej z najdalszego zakątka Preston. „W dniu, w którym przyszła wiadomość, czuliśmy się jak bogowie!”.

Gil podczas letnich wakacji studiował i pisał. Matthew objeżdżał autostopem Morze Czarne, zdobywał Annapurnę, uczył angielskiego w Afryce Wschodniej.

Oddzwania Marieka. Rozmawia się z nią tak jak to zawsze przez telefon.

– Hmm – kwituje moją opowieść o słodkim Gabrielu i Honey, i odczuciach, jakie budzi we mnie ten piękny dom ze szkła.

Wzdycha i mówi:

– Proszę, bądź ostrożna, kochanie, czasem sprawy rodzinne są bardzo pogmatwane.

Obiecuję, że będę ostrożna, i przypominam, że ją kocham, a potem przekazuję słuchawkę Gilowi. Gdy rozmawia z Marieką, ożywia mu się całe ciało.

Przez chwilę chce mi się płakać, bo tęsknię za nią, ale potem oczami wyobraźni widzę, jak mówi: „Myślisz, że nie jestem przy tobie, głuptasie?”.

Jest nas troje. Nawet wtedy, gdy jesteśmy tylko we dwoje, to jest nas cała trójka.

Catlin zawsze snuła wizje ucieczki, ale nie takiej typowej jak z filmów, kiedy to bohater chce odnaleźć swoich prawdziwych rodziców, bogatych i pływających się w luksusie, którzy przez pomyłkę oddali go adopcji i zawsze żalowali tej decyzji.

Chciała uciec do Brukseli albo do Waszyngtonu, by stworzyć międzynarodową siatkę szpiegów, którzy uratują świat przed masową zagładą, najlepiej w ostatniej sekundzie. Zamierzała tego dokonać za pomocą samodzielnie napisanego skomplikowanego programu komputerowego, w którym dwadzieścia osiem liczb pierwszych będzie służyło za kody do jednego specjalnego iPhone'a. Zwykle wyłączam uwagę, gdy opowiada o technice.

We wszystkich naszych szpiegowskich zabawach przewijały się motywy zagrożenia i inwazji wrogów. Opracowywałyśmy trasy biegnące podziemnymi tunelami znanymi tylko nam dzięki mapie, którą Cat odkryła w zapieczętowanej starej skrzyneczce w katakumbach pod Muzeum Brytyjskim.

– Od dwustu lat nie dotykała jej ludzka ręka – oznajmiła Cat. – Naciesz oczy, mała.

No więc cieszyłam oczy, patrząc na sfatygowany manuskrypt, wystrzępiony i przypalony na krawędziach, i choć wiedziałam, że Cat osiągnęła taki efekt za pomocą starego żelazka, to i tak byłam pod wrażeniem. Mapa naprawdę wyglądała na zabytkową.

– Rany! – powiedziałam, wyciągając po nią rękę, ale Cat ją odepchnęła. Kazała mi najpierw założyć jasnoniebieskie rękawice kuchenne, które całej tej sytuacji nadały niezbędną aurę oględzin śledczych. Gdy miałam je już na dłoniach, pozwoliła mi potrzytać manuskrypt, a sama zaczęła oprószać go talkiem dla dzieci, by zebrać odciski palców.

– Tak jak podejrzewałam – powiedziała z opętańczym błyskiem w oku. – Ostatnio mieli go w swych łapach agenci obcych służb.

– Poważnie? Skąd to wiesz? – spytałam ze szczerą ciekawością.

– Przyjrzyj się dokładnie – wyszeptwała. – Zobacz, jak linie w tym odcisku biegną spiralnie wstecz. Tak mają obcy agenci.

Musiałam mieć sceptyczną minę, bo Cat prychnęła:

– Dobrze, nie musisz mi wierzyć. Myślisz, że mi na tym zależy?

– Wierzę ci – odparłam.

– I dobrze robisz, droga Milo, dobrze robisz.

– A wiek? – spytałam.

Nie chciałam jej znowu zdenerwować.

Podniosła jedną z nadpalonych stron i oglądała ją pod światło padające z nagiej żarówki.

– Tak jak sądziłam – skwitowała. – W dziewięćdziesięciu procentach len, o wyraźnie zielonkawym odcieniu. – Zieleń wzięła się stąd, że ściany w naszym klubie pomalowane były na zielono i rzucały zielonkawą poświatę. – Wyprodukowany w Czechosłowacji między... hmm... 1918 a 1920 rokiem.

Trzeba przyznać, że miała gadane.

Potem w skupieniu zabrała się do studiowania manuskryptu, podczas gdy ja na górze każdej strony czerwoną kredką rysowałam pieczęć z napisem „Ścisłe tajne”.

Ponieważ nasz plan, by przywiązywać szczyrom do łapek wiadomości, spalił na panewce, skupiliśmy się na opracowywaniu niepozornie brzmiących haseł do naszej księgi szyfrów, dzięki którym mogłybyśmy publicznie wymieniać wiadomości o strategicznym znaczeniu. Mówiąc, że opracowywałyśmy hasła, mam na myśli to, że to Cat je wymyślała, a ja tylko potakiwałam. Oto kilka przykładów:

„Weź parasolkę” = Nie ufaj nikomu.  
„Chce mi się pić” = Mam wiadomość.  
„Co na obiad?” = Kolejny nasz człowiek wpadł.  
„Ładne zasłony” = Już po nas.

Gdy akurat przyszło mi do głowy jakieś hasło, Cat zawsze znajdowała powód, dla którego było niedobre, więc po chwili przestałam się starać. Nie obraziłam się, po prostu wróciłam do rysowania pieczętki „Ścisłe tajne”, która nabierała coraz bardziej profesjonalnego wyglądu, aż w końcu naprawdę można było ją wziąć za autentyczną.

Czy udaje mi się oddać charakter naszej przyjaźni? Chodzi o to, że mogłam sobie wybrać bardziej prostolinijną koleżankę, a jednak tego nie zrobiłam. Nigdy nie przemawiało do mnie powiedzenie, że to, jakich mamy przyjaciół, świadczy o nas samych. Na przykład Matthew i Gil. Gil potrzebował przywódcy, a Matthew naśladowcy. W przypadku Cat i mnie ja byłam kotwicą – nigdy na przykład nie wypychałabym szczurów do skarpetek, a Cat – iskrą.

Zabawa była przednia, poza tym, że choć dużo lepiej rozumiałam zagadnienie liczb pierwszych, to nie ja opracowałam dwudziestoosmiocyfrowy kod składający się z samych liczb pierwszych, który miał uratować świat. Cat uważała, że wystarczy po prostu mieć mistyczne przecucie co do jakiejś liczby, niezależnie od tego, ile razy jej powtarzałam, że liczba pierwsza to taka, która nie ma dzielników. Dla Catlin liczbą pierwszą było trzydzieści dziewięć, bo wyglądało złowrogo. Choć trzydzieści dziewięć wcale nie należy do liczb pierwszych.

Jeśli zaś chodzi o rozbudowaną fantazję na temat ratowania świata – no cóż, pewnie nie była to przypadkowa fanaberia. Osobiście od czasu do czasu wolałabym pobawić się w coś innego, na przykład w sieroty albo w odkrywców, albo w szpital. Ale gdybym miała taką rodzinę jak Cat, pewnie z tą samą desperacją starałabym się znaleźć odpowiednią kombinację liczb pierwszych, by świat na powrót stał się bezpieczny.

Gabriel i opiekunka wrócili z placu zabaw. Opiekunka nazywa się Caryn i wygląda na zdezorientowaną, gdy mówimy jej, że choć Suzanne jeszcze nie przyjechała, to nie ma problemu i może iść do domu.

– W porządku. Przygotuję tylko małemu butelkę, w razie gdyby mamusia się spóźniła – mówi w końcu.

Mamusia jednak się nie spóźnia, wraca na czas. Wydaje się zdenerwowana, ale na widok Gabriela – i trochę mniej na nasz – rozpromienia się. Pyta, czy lubię oglądać filmy na DVD, i daje mi do wyboru *Titanica* i *Amelię*. Jest mi wszystko jedno, ale decyduję się na *Amelię*. Włączam film i choć mi się podoba, wolę się dowiedzieć, o czym rozmawiają Suzanne i Gil, niż patrzeć, jak Amelia próbuje ratować świat.

– Co jeszcze? – pyta Gil.

Suzanne wzdycha.

– Nie wiem, może ma romans z jakąś studentką. Nie wiem – mówi.

Gdy próbuję sobie wyobrazić, że mam małe dziecko i że zaginął mi mąż, jestem dużo bardziej wstrząśnięta i przerażona niż Suzanne. „A jeśli on nie żyje? – pytam w duchu. – A jeśli nigdy więcej go nie zobaczę?”.

Ale nic w zachowaniu Suzanne nie zdradza desperacji. Gdy mówię o tym Gilowi, potakująco kiwa głową, jakby sam też na to zwrócił uwagę. Oczywiście, śmierć Owena wszystko zmieniła. Większość par, którym umiera dziecko, się rozchodzi.

Zastanawiałam się nad związkiem między językiem a myśleniem. Języki, w których pismo odczytuje się od lewej strony do prawej, mówią o czasie, jakby płynął z lewa na prawo. Gdy Francuz opowiada, jak kot złapał mysz, czas zaczyna się po lewej stronie i biegnie ku prawej. Ludzie posługujący się hebrajskim i arabskim zaczynają od kota i myszy po prawej, a czas będzie biegł ku lewej. Więc to nie jest tylko kwestia słów.

Próbuję mieć to na uwadze, gdy rozmawiam z Suzanne. Staram się zrozumieć, w jakim kierunku biegnie dla niej czas. Może zatrzymał się w chwili śmierci Owena. Albo zablokował się jak drewno spławiane rzeką. A może wciąż kręci się w kółko jak ikona zegara na ekranie komputera. Jakkolwiek by było, Suzanne sprawia wrażenie osoby zrobionej ze szkła. Postukaj ją w ramię, a rozsypie się na milion kawałków.

Trudno się rozmawia z osobą zrobioną ze szkła, ale Suzanne cierpliwie patrzy, jak trzymam Gabriela i karmię go z butelki, choć wiem, że wolałaby, bym go już jej oddała. Honey za wszelką cenę chce chronić małego. Cicho warczy, a Suzanne ją odpędza. Suzanne nie jest złym człowiekiem, który sili się na uprzejmości, człowiekiem pełnym gniewu, który udaje, że wszystko jest normalnie.

Może należy do ludzi, którzy z obawy, że słowa eksplodują im w ustach, nie mówią nic. Bo przynajmniej w mojej obecności nie wspomina o Matthew. Wygląda na to, że język nadający strukturę jej myślom jest jej prywatnym językiem. I jeszcze to, że Suzanne unika jedyne stworzenia, które tak samo jak ona cierpi z powodu straty. Sądzę, że smutek psa ją przeraża.

Gabriel jest zbyt mały, by to zauważyć. Bawię się z nim, opuszczając mu nad twarzą pluszową myszkę na sznurku i szybko podciągając ją z powrotem. Mały śmieje się i śmieje, a potem ni stąd, ni zowąd robi podkówkę i zaczyna wyć. Wpada Suzanne i bierze go na ręce.

– Mamusia już przy tobie jest – mówi.

Gil spogląda na mnie.

Podchodzę do rzędów tysięcy książek na regałach na ścianie, przebiegam palcem po kilku

grzbietach i wyjmuję jedną. Nazywa się *Caravanserai*. Wielbłądy. Kobiety odziane w czerń. Mężczyźni kucający z maleńkimi filiżankami w dłoniach. Niskie sześcienne budynki ozdobione napisami, których nie potrafię odczytać. Upalnie, spokojnie, leniwie.

Popołudnie upływa mi pomiędzy pozostałościami jet lagu a osobliwą ciszą wynikającą z braku ulicznych odgłosów.

Suzanne wybiera się do miasta kupić kilka rzeczy i pyta, czy mam ochotę jej towarzyszyć.

– Chętnie – odpowiadam.

Bierzemy ze sobą Gabriela. Gil zostaje w domu. Musi pracować.

Podczas piętnastominutowej jazdy Suzanne zadaje mi wszystkie typowe pytania w rodzaju: jak mi się podoba w szkole, jak się miewa moja mama i gdzie ostatnio gra. Toczmy grzeczną pogawędkę dorosłych, pozbawioną wzajemnego zainteresowania zdolnego zbliżyć ludzi.

Suzanne przeprosza, że w supermarkecie jest nudno. Mnie się jednak wcale nie nudzi. Uważam, że jest tu niemal tak egzotycznie jak na kartach *Caravanserai*. Mam dać Suzanne znać, jeśli zobaczę coś, co chciałabym kupić.

Widzę całe mnóstwo rzeczy, które chciałabym kupić: pudełko makaronu z serem, plastry opatrunkowe z superbahaterami z kreskówek na opakowaniu, masło orzechowe i wielki plastikowy słój z piankami. W dziale z pieczywem są ciasta z gadającymi głowami klaunów i karuzelami w jaskrawych kolorach. Rząd półek z płatkami śniadaniowymi ciągnie się przez jakieś pół kilometra – nie pojmuję, jak komuś udaje się cokolwiek tu wybrać. Rozglądam się za pisankami, ale te, które znajduję, są albo brzydkie, albo infantylne, albo zbyt podobne do tych, które mogę kupić u siebie. Gdy w końcu doganiam Suzanne, rozmawia przez telefon. Ma inny wyraz twarzy niż ten prezentowany mnie i Gilowi. Wygląda młodziej i uśmiecha się w jakiś inny sposób.

Podchodzę do niej, mijając dział z owocami, gdzie melony, jabłka i banany wyglądają na dwa razy większe niż te w Anglii. Jak to możliwe?

Na mój widok rzuca do słuchawki: „Muszę kończyć” i rozłącza się. Z jej twarzy znika słodki i różowy uśmiech jak u klauna na cieście.

– Znajoma z klubu książki – tłumaczy się przede mną, zupełnie niepotrzebnie.

Znajoma? Nie mam nic przeciwko Suzanne, ale jakoś nie mogę się do niej przekonać. Należy do tych osób, które myślą, że ponieważ jestem młoda, nie odróżniam prawdy od fałszu. Postrzegam ją jednak o wiele klarowniej niż ona mnie, a może nawet siebie samą.

Suzanne musi jeszcze zahaczyć o pralnię i pocztę, więc wkładamy zakupy do bagażnika. Mówi, że mogę pospacerować trochę sama, jeśli mam ochotę. Mamy się spotkać za pół godziny.

Wałęsam się po sklepie sportowym i oglądam podkoszulki, ale nie widzę nic, co chciałabym kupić, a zresztą i tak nie mam dolarów. Po drugiej stronie ulicy jest ławka, więc przysiadam, by złapać ostatnie promienie słońca.

„Hej, Cat – piszę wiadomość. – Szkoda, że cię tu nie ma”.

Czekam, ale Cat nie odpowiada. W międzyczasie wszyscy dookoła biegają i jeżdżą jak opętani i zabawnie jest uświadomić sobie, że godzina szczytu jest taka sama w mieście wielkości orzeszka jak u nas. Siedzę tak nieruchomo, jak tylko może siedzieć człowiek, by obserwować otoczenie, samemu pozostając niezauważonym. Działa. Nikt na mnie nie patrzy.

Jedynie, na czym warto zawiesić wzrok, to mężczyzna, który zbyt gwałtownie parkuje tyłem samochód terenowy i niechcący trąca wóz stojący z tyłu. Wrzeszczy na syna, mniej więcej szesnastoletniego, za to, że go zdekoncentrował. Chłopak wysiada z samochodu, trzaska drzwiami i wściekły odchodzi, a mężczyzna przykłęka, by obejrzeć wgniecenie.



Catlin odpisuje: „Ja też żałuję. U nas pada”. Dołącza zdjęcie, jak sądzę, pudła. Trudno powiedzieć.

Odrywam się od najlepszej lokalnej rozrywki, by spotkać się z Suzanne w samochodzie. Gabriel wbija we mnie wzrok, a gdy się do niego uśmiecham, cała buzia mu się rozpromienia.

W drodze powrotnej rozmawiamy niewiele. Suzanne przemawia do Gabriela, który marudzi na tylnym siedzeniu.

– Gdzie jest zmęczony chłopczyk mamusi? – grucha Suzanne, a potem zerka na mnie, jakbyśmy byli w jakiejś zmowie.

Męczy mnie przebywanie w jej towarzystwie. Potem przypominam sobie Owena i robi mi się głupio.

Na obiad jest risotto z groszkiem i parmezanem. Smakuje dobrze, ale w połowie posiłku przeproszam i odchodzę położyć się na sofie. Honey kładzie się obok mnie na podłodze. Przymykam oczy i dotykam dłonią jej grzbietu – unosi się i opada w rytm powolnych oddechów. Gil przykrywa mnie kocem. Myśli, że śpię.

– No więc – mówi cicho, siadając z powrotem przy stole – co robimy?

Suzanne nie odpowiada od razu.

– Nie mogę wyjechać – rzuca w końcu. – Jestem pewna, że to rozumiesz. Nie mogę zostawić Gabriela i moich studentów, i... wszystkiego.

Gil wzdycha.

– Suzanne, powiedz mi, proszę. Musi być coś jeszcze.

Zapada cisza. Niemal słyszę napięcie w ciele Suzanne.

– Powiedz – naciska Gil.

Suzanne zaczyna mówić, tak cicho, że muszę wytężać słuch, by cokolwiek usłyszeć.

– Nie wiem – mówi. – Twierdzi, że wszystko z nim w porządku, ale tak nie jest. Obwinia się o śmierć Owena. – Gorzko się śmieje. – Zresztą ja też go o to obwiniam. Miałam nadzieję, że Gabriel coś między nami naprawi, ale – o dziwo – jest jeszcze gorzej. Tak więc to prawda, co się mówi o dzieciach poczętych po to, by ratować małżeństwo. Kto by pomyślał?

Gil wypowiada moje imię. Nie od wczoraj chodzi po tym świecie. Wydaję odgłos jak przez sen, coś w rodzaju gderliwego westchnięcia. Skutkuje. Ja też nie urodziłam się wczoraj.

– No i?

– A któż to może wiedzieć? Nie jest wylewny ten twój przyjaciel.

To zupełnie jak mój tata. Posługuje się słowami oszczędnie, jakby były racjonowane. Tak to chyba jest, gdy zna się tyle słów w tylu językach. Wybór jest zbyt duży.

– Wiedziałaś o tym, gdy za niego wychodziłaś – mówi Gil delikatnie, bez wyrzutu.

– Tak, oczywiście. Ale wiedzieć o czymś, a żyć przez szesnaście lat z człowiekiem, który nie mówi... to zupełnie co innego.

W jej głosie jest jakaś ostrość, jakby gniew. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że Matthew jest od Suzanne sporo starszy. Jeśli jest w wieku Gila, to ma prawie sześćdziesiątkę. A skoro Suzanne niedawno urodziła dziecko, to nie może mieć więcej niż czterdzieści parę lat.

Marieka często wyznaje z czułością, że musi czytać w myślach Gila. Doszła w tym do wprawy. A potem, jeśli akurat Gil jest pochylony nad pracą, całuje go w kark; on zaś wsuwa dłoń w jej gęste włosy. Wtedy ona odwraca głowę i całuje go w nadgarstek. Jest w tych pieszczotach coś, co daje mi poczucie niczym niezmaconego bezpieczeństwa. Choć nie biorę udziału w tej scenie, czuję się jej uczestniczką.

Ogarnia mnie nagły przypływ litości dla Gabriela, który ma matkę ze szkła, dom ze szkła, a przy tym taki dziecięcy uśmiech.

– Weź samochód, dobrze? – mówi Suzanne. – Nie będę go potrzebować. Mam tu

niedaleko przyjaciółkę. Podwiezie mnie do college'u.

Przyjaciółkę? Osoba, która składa tu wizyty, na pewno nie jest kobietą.

Raz jeszcze zamykam oczy, a gdy je otwieram, zdaję sobie sprawę, że minęło trochę czasu, a rozmowa zdążyła posunąć się dalej. Co przegapiłam?

– Już późno – mówi Gil. – Dobranoc, Suzanne.

Nie muszę już udawać, że jestem senna. Opieram się o Gila i idziemy do mojego pokoju. Gil odsuwa narzutę z łóżka. Tylko tyle pamiętam.

Rano Gil oznajmia, że wybieramy się na przejażdżkę. Rzuca to prawie radosnym tonem. Oboje chętnie się stąd gdzieś ruszymy. W domu panuje jakaś duchota, choć nie mam pojęcia, skąd się bierze.

Będzie mi brakowało Gabriela. Gdy mnie widzi albo gdy zawołam go po imieniu, klaszcze w rączki, a gdy biorę go na ręce, przytula się do mnie. Lubię czuć ciężar jego zwartego ciała, dużo większy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jak tobołek. Nigdy nie poznałam bliżej żadnego dziecka, ale teraz zaczynam rozumieć, dlaczego takie szkraby budzą tyle sympatii. Gdy na mnie patrzy i posyła mi uśmiech, czuję się jak ktoś wyjątkowy.

– Gabriel Bi-Bi-Billington – śpiewam. – Gabriel Bi-Bi-Billington!

Mały zaśmiewa się i macha rączką.

– Myślisz, że wie, jak się nazywam? – pytam Suzanne.

– Oczywiście – odpowiada z uśmiechem. – Będzie za tobą tęsknił.

– Myślisz, że tęskni za swoim tatą?

Suzanne zaciska usta mocniej niż zwykle.

– A czy tata za nim tęskni? Na to pytanie chciałabym poznać odpowiedź.

Muszę wyglądać na lekko zszokowaną, bo wyciąga rękę i delikatnie dotyka mojego łokcia.

– Nie martw się, Mila. W końcu wszystko się jakoś ułoży.

Zmęczonym gestem odgarnia z twarzy czarne włosy, a ja zastanawiam się, o jakim końcu mówiła. O końcu czasów?

– Chcesz, żeby Matthew wrócił? – pytam po minucie.

Suzanne marszczy brwi.

– Oczywiście, że chcę, by wrócił. – Zerka na Gabriela, potem na mnie. – Jak mogłabym nie chcieć?

To jednak nie to samo, co powiedzieć: „Boże przenajświętszy, gdyby mój mąż wrócił jutro do domu, umarłabym ze szczęścia”. Zabrzmiało to raczej jak: „Czy chcę, żeby wrócił? Nieszczęśliwie. Ale cieszyłabym się ze względu na Gabriela”.

Gabriel jest za mały, by cokolwiek z tego rozumieć. Któregoś dnia pewnie się dowie, ale mam nadzieję, że nieprędko. Znam go zaledwie jeden dzień, ale już zdążył wzbudzić we mnie opiekuńcze uczucia. Gdybyście tylko zobaczyli jego tłuściutką, uśmiechniętą buzię i malutkie, wydęte ptasie usteczka, zrozumielibyście. Trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek mógłby przejść obojętnie obok takiej twarzyczki.

Dzwoni telefon Suzanne. Zanoszę Gabriela do salonu i sadzam go na sofie. Rzucam do niego gumową żółtą piłkę, a on uderza w nią rączką. Bach, bach, bach. Nie umie łapać, ale nie chcę, żeby poczuł się z tego powodu źle, więc biorę od niego piłkę i rzucam raz jeszcze. Bach, bach, bach, bach! Piszczący jak nietoperz. Gil staje obok i przygląda się.

– Jest niezwykle uroczy – mówi.

– To prawda – odpowiadam. – Nie można go nie pokochać.

Znowu rzucam piłkę, a mały macha rączkami, ale zauważam, że zaczyna robić podkówkę, więc kończę zabawę. Siadam w rogu kanapy, biorę go na kolana, lekko bujam i śpiewam mu piosenkę. Uspokaja się i nie płacze.

– Nigdy bym go nie porzuciła – mówię.

Gil wzrusza ramionami i marszczy czoło, ale nie mówi: „Człowiek to najdziwniejsza istota na świecie”, co jest kolejnym jego ulubionym powiedzeniem, ale niedostatecznie

pochlebnym, by odnieść je do wieloletniego przyjaciela. Nie wygląda na szczęśliwego.

– Jakie są możliwości? – pytam cicho, bo nadal słyszę, że Suzanne rozmawia przez telefon w pokoju obok.

Mówi miłym głosem – może to ktoś z uniwersytetu lub sąsiad, którego nie zna zbyt dobrze. Nawet śmieje się trochę, by udowodnić, że ma się świetnie, ale nie osiąga zamierzonego efektu.

– Podejrzewam, że wmieszał się w coś, w co nie powinien był.

– Na przykład w co?

– Na przykład w złe towarzystwo.

– Jakie złe towarzystwo? – Przez chwilę wyobrażam sobie towarzystwo ubezpieczeniowe, tylko pełne bandytów.

Gil znowu wzrusza ramionami.

– Narkotyki? Hazard? – Unosi brew. – Przemyt, prostytutka, kontrabanda, handel bronią, pranie brudnych pieniędzy.

Na widok mojej miny parska śmiechem.

– No co... Sama pytałaś. Nie wydaje mi się, by Matt został sutenerem. To nie w jego stylu. A przynajmniej nie w jego dotychczasowym stylu. Ale ludzie się zmieniają. Albo staje się coś takiego, że już ich nie rozpoznajesz. Czasem tak bywa.

Ogarnia mnie fala niepokoju, bo przypominam sobie Catlin. Wiem, że tak bywa. Myśl, że ktoś, kogo znamy, nagle radykalnie się zmieni, przyprawia mnie o mdłości. Przyciągam Gabriela do siebie i całuję go, by Gil nie zorientował się, co czuję.

– Choć zwykle jest całkiem na odwrót – podejmuje Gil. – Najczęściej, jak spotyka się kogoś po trzydziestu latach, jest tak samo jak dawniej.

Zastanawia się przez chwilę, a potem dodaje:

– Matt miał ciężki czas. Pewnie wciąż myśli o Owenie, ale cóż ja mogę o tym wiedzieć? Może jest zupełnie inaczej. Może jest gejem i żyje w zakłamaniu. Znam go od bardzo dawna – mówi. – Ale czy możemy tak naprawdę wiedzieć, co dzieje się w głowie drugiego człowieka? Człowiek to najdziwniejsza istota na świecie – kwituje.

Uśmiecham się na siłę, a Gil podnosi oczy i patrzy nieobecny wzrokiem, jakby zapomniał, że tu jestem.

– I na tym zakończymy dzisiejszy wykład – rzuca, bo wchodzi Suzanne, wskazując telefon, żeby się usprawiedliwić.

– Jaki wykład? – pyta, bardziej odruchowo niż z ciekawości.

Cały czas przytulam Gabriela, ale na widok mamy chłopczyk zaczyna machać rączkami i wydawać swoje nietoperze piski. Znowu dzwoni telefon Suzanne. Kobieta zerka na numer, odbiera i po raz kolejny zmienia głos.

– Oddzwonię – rzuca i kieruje całą uwagę na Gabriela, zabierając go z moich kolan.

– Fuj! – woła, przesadnie kręcąc nosem. – Mały śmierdzioszek.

Wychodzi zmienić mu pieluchę.

Mam węch psa myśliwskiego, a wcale nie wyczułam smrodu kupy.

– Jedźmy, tato. Robi się późno.

Biegłość w dwóch językach nie wystarcza, by zostać tłumaczem. Poza tym tłumacze z francuskiego na niemiecki (przykładowo) rzadko tłumaczą z niemieckiego na francuski. To proces jednokierunkowy, jak twierdzi Gil.

Mówi też, że cała sztuka polega na wizualizowaniu sobie rytmu i idiomu języka numer 1 w języku numer 2 – znalezieniu związków między, dajmy na to, umysłem Niemca a umysłem Francuza, tak by swoistości jednego języka zostały wyrażone w drugim, bez „katastrofalnego uszczerbku na znaczeniu”. Zawsze mówi to w cudzysłowie.

Dzisiaj będę tłumaczyć z angielskiego amerykańskiego na angielski brytyjski i odwrotnie, z czym powinnam dać sobie radę. Kiedy już Suzanne dwa razy zadzwoniła do firmy ubezpieczeniowej, żeby upewnić się, czy jej polisa obejmuje kierowcę, i to z zagranicy, jesteście gotowi do wyjazdu. Długo opowiada Gilowi o leśniczówce Matthew. Nie ma tam telefonu ani elektryczności, ani bieżącej wody. Nie ma internetu. Daje nam mapę. Trasa i cel naszej podróży są zaznaczone na czerwono.

– Mamy GPS – mówi – ale na północy sygnał trochę przerywa. Najlepiej mieć mapę. Matt nie ufa GPS-owi – dodaje, jakby Matt miał z nami jechać i krytykować nasze metody podróżowania.

Na odwrocie mapy widnieje lista numerów telefonów, łącznie z numerem Suzanne. Jest też numer Matthew i – w razie wypadku – Amerykańskiego Związku Motoryzacyjnego. Suzanne to bardzo zorganizowana osoba.

– Ta leśniczówka – mówi – to jedyne miejsce, które mi przychodzi do głowy. Ale moja wyobraźnia ma pewne granice. Jazda powinna wam zająć jakieś siedem godzin. Zależy, czy będzie duży ruch. To szaleństwo obrócić tam i z powrotem w jeden dzień. Ale co zrobicie, jeśli zastaniecie zamknięte drzwi? Tędy – przeciąga palcem wzdłuż podłużnego jeziora – nie nadłożycie wielu kilometrów, a droga jest dużo ładniejsza.

A więc jedziemy na poszukiwania zaginionego trasą widokową? Muszę się ugryźć w język, by nie wypowiedzieć tego na głos.

– Przyjechaliście z tak daleka – kontynuuje. – Szkoda, byście cały czas spędzili na autostradzie.

– Okej – rzuca Gil. – Nie martw się o nas. Umiemy się posługiwać mapą.

Z wyrazu twarzy Suzanne odczytuję, że się niepokoi, ale nie o nas i nawet chyba nie o Matthew. A więc o co?

Całuję Gabriela, a on rewanzuje mi się promiennym uśmiechem. Wyrzuca w powietrze rączki i nóżki, że aż muszę go podnieść i mocno przytulić. Na razie dzięki naszej wyprawie dowiedziałam się przynajmniej, że lubię małe dzieci. Choć nie mam na to ochoty, odkładam małego. Natychmiast skupia uwagę na drewnianej mewie wiszącej nad jego wysokim fotelikiem. Wychodząc, nie mam odwagi się odwrócić z obawy, że znowu zamacha do mnie rączkami i nóżkami.

Wlokę torbę do samochodu. Nagle czuję leciutkie dotknięcie na łydce. To Honey zaczepta mnie nosem. Spuszcza oczy.

Zerkam na Gila, ale Suzanne mnie uprzedza.

– Weźcie ją ze sobą – mówi. – Proszę. Nie mam sumienia zostawiać jej tu samej na cały dzień. A poza tym, jeśli mam być szczerą, nie znoszę jej. To jego pies. Jeśli znajdziecie Matthew, będzie przeszczęśliwa.

– Usiądę z nią na tylnym siedzeniu – mówię do Gila. – Żeby się do nas przyzwyczaiła.

– Usiądź z przodu – rzuca Suzanne z niespodziewaną determinacją. – Sama da sobie radę. Gil wygląda jak człowiek, który utknął w obrotowych drzwiach.

– A co z motelami? – pyta Gil. – Wpuszczą nas z psem?

– Zaczekajcie chwilę – woła Suzanne i pędzi do domu.

Wraca z cienką broszurką *Podróże z psem*, gdzie jest lista przyjaznych psom moteli.

Gil nie ma wyboru, a ja jestem bardzo zadowolona. Suzanne znika raz jeszcze, by powrócić ze smyczą z brązowej skóry, psim legowiskiem, workiem karmy i dwiema miskami. Nagle robi mi się żal Matthew. Trudno sobie wyobrazić, by Suzanne kiedykolwiek nie postawiła na swoim.

Stoję przed samochodem, a Honey obwąchuje go przez otwarte drzwi i dopiero potem wchodzi ostrożnie do środka. Opuszcza zad we wdzięcznym siadzie i spokojnie czeka.

– Wszędzie ją zabierał – mówi Suzanne głosem ostrym jak brzytwa.

Nie zerkam na Gila, ale wiem, co ma wypisane na twarzy. Tak jak ja stanął po stronie Matthew przeciw Suzanne, zakładając, że takie strony w ogóle istnieją.

Suzanne unika naszego wzroku. Przebiega dłonią po zadrapaniu na przednim zderzaku.

– Mam nadzieję, że jesteś lepszym kierowcą niż twój przyjaciel – mówi.

Cała nasza trójka myśli o Owenie i udajemy, że jest inaczej, ale prawda jest taka, że Gil nie jest najlepszym kierowcą na świecie. Na widok naszego londyńskiego samochodu Suzanne przeżyłaby załamanie nerwowe.

Machamy jej na pożegnanie. Suzanne trzyma rączkę Gabriela i też nią macha, ale sprawia wrażenie, jakby już o nas zapomniała.

Do autostrady jest tylko kilka kilometrów. Gil, który z początku był trochę spięty, odpręża się, gdy wjeżdżamy na prostą drogę. W obydwu kierunkach droga jest dwupasmowa i po każdej stronie widać rzędy budek z fast foodami i sklepów o nazwach w rodzaju Świat Mebli Ogrodowych czy Świat Ozdób Świątecznych.

Honey jest w beznamiętnym nastroju typowym dla zaprawionego podróżnika. Wydaje się szczęśliwsza w samochodzie niż w domu, choć nie można oczekiwać, by rozumiała cel naszej misji. Chciałabym siedzieć obok z niej z tyłu. Zawsze marzyłam o psie.

Z powodu zmiany strefy czasowej chęć na jedzenie nachodzi mnie o dziwnych porach. Ponieważ nie zjadłam śniadania, umieram teraz z głodu i gdy przy następnej przecznicy zauważam szyld baru, każę Gilowi z narażeniem życia skrócić z zewnętrznego pasa na parking. Śliczna srebrno-szklana restauracja z metalicznymi niebieskimi elementami okazuje się tego warta. Gil parkuje, a ja opuszczam odrobinę szybę i mówię Honey, że niedługo wrócimy. Honey składa łeb na przednich łapach i nie zaszczycą mnie nawet spojrzeniem.

Wchodzimy. Mężczyzna za ladą gestem pokazuje nam, byśmy zajęli dowolne miejsce, a potem przynosi olbrzymie foldery z menu, oprawione w czerwony skóropodobny materiał. Do dzieła, tłumaczu!

Do wyboru mamy: jajecznicę cioci Amy, naleśniki, placki ziemniaczane, bekon, paszteciki kielbasiane, peklowaną wołowinę, tosty (z chleba białego, pełnoziarnistego, żytniego lub na zakwasie), jajka sadzone, na miękko albo na twardo oraz *zwykłą* kawę. *Zwykłą*, czyli jaką?

Decyduję się na dwa jajka sadzone z tostem (żytnim) i świeżo wyciskany sok z pomarańczy. W ostatniej chwili, z czystego łakomstwa, dorzucam jeszcze naleśniki. Gil zamawia kubek kawy, wielki jak wiadro, i francuskiego tosta, którego dostaje zaledwie kilka sekund po złożeniu zamówienia – duże i grube pajdy obtoczone w jajku i podrumienione na maśle, a na brzegach przyprószone cukrem pudrem. Do tego dzbanuszek syropu klonowego. Wpatruję się w jego talerz i żałuję, że nie zamówiłam tego samego.

Nasza kelnerka ma na sobie biało-brązowy mundurek z zieloną plastikową plakietką

z imieniem. Nazywa się Merilynne. Jest uprzejma i sympatyczna i pyta: „Skąd jesteście, ludziska?”. Mówi do mnie, że mam ekstraakcent, a potem dodaje, że w Anglii, w Lincolnshire (Lincoln *szajer*) mieszkają jej krewni ze strony ojca. Od dawna zamierza się z nimi skontaktować i kto wie, może nawet kiedyś ich odwiedzi.

Zastanawiam się, czy sądzi, że Lincolnshire jest w jakiś sposób powiązane z Abrahamem Lincolnem i przez to w pewnym sensie amerykańskie.

Merilynne sprawia wrażenie zmęczonej i gdy wraca z tacą, domyślam się, co jest tego przyczyną.

To prawdopodobnie największy posiłek, jaki kiedykolwiek mi podano. Ponieważ nie jestem w stanie skończyć olbrzymich naleśników, pytam, czy moglibyśmy zabrać resztki dla naszego psa. Merilynne mówi, że jest to jej obojętne, ale bez nuty uszczypliwości.

Gil płaci. W drodze do samochodu widzimy Merilynne siedzącą na schodkach restauracji. Pali papierosa. Zastanawiam się, czy rzuci palenie, gdy zorientuje się, że jest w ciąży. A dowie się o tym już niedługo.

Ruszamy dalej autostradą w stronę Kanady. Siedzę teraz z tyłu i gdy otwieram torbę z jedzeniem dla Honey, okazuje się, że zamiast resztek tosta i naleśników, Merilynne zapakowała do niej cztery kawałki bekonu i stos plasterków peklowanej wołowiny. „Dla psiaka – napisała na karteczce. – Wasza kelnerka Merilynne”, i dorysowała uśmiechniętą buźkę.

Honey wącha zawartość torebki. Świat przemawia do niej znacznie częściej niż do ludzi; jej zmysł węchu jest tysiąc razy bardziej wyczulony niż mój. Potrafi odmalować przed nią miejsca, w których nie była. Odgryzam kawałeczek bekonu i daję jej resztę, a potem stawiam przed nią aluminiową tackę. Honey w mgnieniu oka pochłania jej zawartość. To porządny pies, więc zanim z westchnieniem ułoży się obok mnie, swoim ślicznym różowym językiem wylizuje tackę.

Do moich zadań (poza odczytywaniem mapy) należy obsługiwanie radia. Nachylam się do przodu między dwoma przednimi siedzeniami i skaczę po stacjach, szukając czegoś, czego oboje mielibyśmy ochotę posłuchać. Najczęściej natrafiam na tylko jedną piosenkę, która nam się podoba. Podają wiadomości. Coś o Waszyngtonie. O skandalu w kościele. Nic o mężczyźnie w średnim wieku, który bez żadnego sensownego powodu przepadł w dniu, kiedy miał prowadzić zajęcia na temat angielskiej wojny domowej, nie rączywszy zostawić żonie, dziecku i psu choćby kilku słów wyjaśnienia. Gdy dostrajam radio, towarzyszy mi takie samo uczucie jak wtedy, gdy myślę o tym, co się stało z Matthew. Niezależnie od tego, czy wskazówka na skali przesuwają się o kilka milimetrów w tę, czy we w tę, głos nie brzmi wyraźnie. W końcu wyłączam radio.

Drogi w niczym nie przypominają tych w Anglii. Przez większą część trasy po obu stronach ciągną się drzewa, tak gęste jak jakiś baśniowy las rozpościerający się w nieskończoność. Człowiekowi wydaje się, że jest w kompletnej dżungli, gdy nagle wjeżdża się do miasta i wokoło są już tylko duże sześciennicze budynki o nazwach Maxvalue, Supertread i Świat Żeberek. Przed Światem Telefonów Gil nagle zjeżdża z drogi.

– Kupimy ci tani telefon na kartę – mówi – żebyś nie musiała dzwonić do mamy przez Londyn.

– A dla ciebie nie?

– Ja mam laptop – odpowiada.

Uśmiecham się. Tata nie znosi telefonów.

Tęsknię za domem. Patrzę na Honey i chowam głowę w luźnych fałdach sierści na jej szyi. Staram się okazać czułość, by zagłuszyć jej tęsknotę. Jest grzeczna, obrzuca mnie raczej obojętnym spojrzaniem.

Wyprowadzam ją na spacer, potem pakuję z powrotem do samochodu i dołączam do Gila.

Gil wpatruje się w telefon, który absolutnie do niczego się nie nadaje, a na którego cześć dziewczyna za ladą wygłasza pochwalne peany. Wskazuję najprostszy i najtańszy.

– Ten prosimy – mówię.

Sprzedawczyni wygląda na jakieś siedemnaście lat. Ma krzykliwy makijaż, żuje gumę i złości się, że wybrałam taki beznadziejny model, mimo że polecała najnowszy i najdroższy. Esemesy mamy za darmo, ale nie do Anglii i nie do Holandii. Sprawdza w broszurze i okazuje się, że nie wyjdzie to jakoś horrendalnie drogo, o ile nie będziemy pisać wiadomości do wszystkich znajomych.

Znowu ruszamy. Zapisuję w telefonie numery Suzanne i Matthew. Patrzę na mapę. Teraz, gdy droga jest tylko dwupasmowa, jedzie się dość wolno. Głównie dlatego, że Gil jest takim kierowcą, jakim jest – niepewnym i rozkojarzonym. Nie zauważa rosnącego za nami sznura samochodów, których kierowcy wyglądają na coraz bardziej zirytowanych. Gdy tylko trafi się prosty odcinek jezdni z przerywaną linią, samochody wymijają nas z dwukrotnie większą prędkością. Gil nie rozgląda się, patrzy przed siebie, pochylony nad kierownicą. Musi się bardzo koncentrować, bo prowadzenie samochodu nie jest jego naturalnym talentem. Wyłączyłam nawigację satelitarną, bo swoim trajkotaniem tylko nas wkurzała.

Wpisuję do kontaktów w telefonie numer Amerykańskiego Stowarzyszenia Motoryzacyjnego, który Suzanne zanotowała z tyłu mapy. Mam już trzy numery w Ameryce, do których mogę wysyłać wiadomości. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie napisać do ASM, że wszystko u nas w porządku i że na razie nie muszą przyjeżdżać i wyciągać nas z przydrożnego rowu.

Zamiast tego piszę do Matthew:

„Cześć, Matthew. Tu Mila. Córka Gila. Jesteśmy w Ameryce i szukamy Cię. Jest z nami Honey. Tęskni. Proszę, daj nam znać, gdzie jesteś”.

Zastanawiam się, czy mówienie mu, że Honey za nim tęskni, jest czymś okropnym i czy nie sugeruje, że tylko psu nie jest obojętny jego los. W końcu jednak wysyłam, uznając, że powinien znać prawdę. Czekam. Odpowiedź nie przychodzi.

Zamieniamy z Gilem kilka zdań na temat tego, co widzimy, ale przez większość czasu jedziemy w ciszy.

– Gdzie się zatrzymamy na lunch? – pyta w końcu Gil.

Gdy się podróżuje samochodem, kwestia jedzenia nabiera niezwyklej wagi.

– Zatrzymamy się, jak zobaczymy jakąś fajną restaurację.

Tak też robimy. Przejeżdżamy przez wioskę pełną wiktoriańskich domów. Niektóre są ładnie odnowione, inne w kompletnej ruinie. Od czasu do czasu mijamy ruderę niczym z kreskówki: okna w różnych rozmiarach, jakby przywleczone z wysypiska, ściany zbite do kupy deskami i wzmocnione płócienną taśmą samoprzylepną, zardzewiały przedpotopowy samochód bez kół stojący na ceglach, popsute zabawki i chudy kundel na werandzie.

– Na przełomie wieków ta okolica była kurortem popularnym wśród bogaczy – informuje mnie Gil. – Dziś pełno tu hipisów i wyrzutków, a także surwiwalowców i innych przerażających typów – dodaje, gdy przejeżdżamy obok salonu tatuażu urządzonego na parterze jednego z dużych wiktoriańskich domów. Spoglądam na niego spod przymrużonych powiek.

– Od kiedy to jesteś ekspertem?

Sięga do schowka na drzwiach i podaje mi gruby przewodnik po stanie Nowy Jork.

– Myślałaś, że Suzanne wyprawiłaby nas bez fachowej literatury? – pyta.

Kartkuję książkę przez chwilę, potem wracam do gapienia się na drogę.

– Może tutaj? – Wskazuję biały drewniany dom z zielonymi żaluzjami i szeroką werandą. Malowany ręcznie szyld oznajmia: „Cudeńka i kawa u Leny”.



Gil zjeżdża z drogi i powoli zatrzymuje samochód.

Menu przybite jest do słupa werandy gwoździami:

„Spróbujcie zupy i kanapek z domowego chleba Leny” – zachęca nagłówek.

Ale mnie interesują te „cudeńka”. Gdy wchodzimy do środka, staje się jasne, że to one są głównym punktem programu.

Na ścianach wiszą wypchane łby zwierząt w liczbie około pięćdziesięciu. Jest też wielki rzeźbiony, pomalowany na czarno orzeł, wypchana ryba, akwaforta przedstawiająca stado bawołów, szkielet węża w szklanej gablotce i wyblakłe japońskie kimono. Oprócz tego: ogromna skorupa żółwia przerobiona na miskę i akwarium z rybkami i mnóstwem skorupki krabów. A poza tym: para drewnianych nart ze skórzanymi wiązaniem oraz śniegowce (wyglądają na bardzo stare), obraz w potężnej złoczonej ramie przedstawiający indiańską kobietę klęczącą nad ogniem (przydałoby się go odkurzyć). Na każdym stoliku stoją świece zatknięte w butelki po winie. Okazuje się, że gołąb, który wydawał się wypchany, żyje. Za kasą jest łasica z myszą w pysku. Brakuje jej jednego szklanego oka. Niektórzy w takim otoczeniu straciliby apetyt.

– Możemy wprowadzić psa?

– To wbrew przepisom – odpowiada kobieta, ale zerka na Honey i przytakuje skinieniem głowy. – Pod warunkiem, że będzie spokojna i nie będzie niepokoić kotów.

To, że jest spokojna, to widać, ale nie wiem, jaki ma stosunek do kotów. Jak się okazuje, zupełnie obojętny. W ogóle nie zwraca uwagi na dużego szarego kocura, który przygląda się nam z parapetu. Po prostu kładzie się pod stołem. Jak na dużego psa, dobrze sobie radzi z wciskaniem się w zakamarki.

– Jesteście z Anglii? – pyta właścicielka.

– Tak – odpowiada Gil.

– Podoba mi się wasz akcent – mówi kobieta, a ja nie wiem, czy powinnam podziękować.

Zamawiamy kanapki z bekonem, sałatą i pomidorami. Proszę też o piwo korzenne, bo nigdy go jeszcze nie próbowałam. Kobieta, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nazywa się Lena, przynosi Gilowi kawę, choć o nią nie prosił. Gdy Gil robi zdziwioną minę, Lena marszczy brwi.

– Nie chce pan? – pyta.

– Nie – odpowiada Gil zmieszany. – To znaczy tak, chcę.

– No to w czym problem? – Twarz kobiety jest sroga.

Gil przyjmuje kawę.

– Mieszkacie w Saratoga Springs? Fani wyścigów?

– Niezupełnie – odpowiadam. – A w zasadzie to wcale.

– To się dobrze składa, bo teraz nie sezon. Przyjechaliście albo o wiele za późno, albo o wiele za wcześnie. Byłam tam raz z mężem. Dawno temu.

Kobieta cicho chichocze i odchodzi do kuchni. Po chwili wraca z kanapkami i usadawia się w wygodnym fotelu przy drzwiach. Zajmuje się rachunkami, a my jedzeniem. Człowiek orkiestra z tej Leny.

Gdy podchodzimy, by zapłacić, ucinają sobie z Gilem pogawędkę o wyścigach. Króciutką. O ile wiem, wiedza Gila o wyścigach ogranicza się do Red Rum i może jeszcze Frankiego Dettori, dżokeja, który potrafi w skoku zsiąść z konia.

– Mówiliście, że dokąd jedziecie? – pyta Lena, gdy rozmowa przygasa.

Gil podaje jej nazwę miasteczka położonego w pobliżu chaty Gila.

– To jeszcze kawał drogi – kwituje Lena.

I myślę, że powinniśmy pomnożyć to przez dwa.

Widzieliście kiedyś teriera w akcji? Stoi nieruchomo, napięty jak struna, w oczekiwaniu na chwilę, gdy odepnie mu się smycz. Potem w ułamku sekundy rzuca się naprzód ku swej ofierze. Straszliwe warczenie, ryki, drgawki i piski, gdy wgrzyza się, mówiąc dosłownie, w szczura. Nie jest to miły widok, ale robi wrażenie. Wszystko odbywa się błyskawicznie.

Pies nie czyni tego z poczucia obowiązku ani dlatego, że ma ochotę. Jest hodowany w tym celu. Nic na to nie poradzi. Gdybym była psem, po części byłabym właśnie terierem.

Moje racjonalne „ja” tworzy schemat blokowy z dwiema kolumnami zatytułowanymi: „Matthew nie żyje” i „Matthew żyje”.

Jeśli nie żyje, są cztery możliwości:

- 1) morderstwo,
- 2) samobójstwo,
- 3) wypadek,
- 4) choroba – wylew lub zawał.

Będąc u Suzanne, wyszukałam w internecie przypadki, gdy ludzie niespodziewanie znikają z domu. Oto niektóre z powodów:

- a) szaleństwo,
- b) amnezja,
- c) problemy finansowe,
- d) problemy małżeńskie,
- e) potajemna druga rodzina,
- f) depresja,
- g) zwolnienie z pracy i brak odwagi, by przyznać się żonie,
- h) kryzys wiary lub doświadczenie stanu z pogranicza śmierci,
- i) jakiś okropny sekret,
- j) uprowadzenie,
- k) choroba psychiczna,
- l) przyczyna nieznana.

Wiele z tych powodów pozostaje dla mnie niejasnych. Dlaczego nie powiedzieć żonie, że straciło się pracę? Co jest takiego strasznego w kryzysie wiary? Jakiego rodzaju sekret? Kiedyś być może zrozumieć z tego więcej. Teraz wystarczy, że wezmę je pod uwagę. Nie na wszystko da się znaleźć odpowiedzi w wyszukiwarce internetowej.

Jeśli chcę być skrupulatna, muszę rozważyć możliwość, że Matthew został porwany. Ale dlaczego ktoś miałby uprowadzić niemłodego profesora historii? Nie mam pojęcia. Mam tylko świadomość, że jest powiązany z chińskim podziemiem, na którego temat nie wiem prawie nic, poza tym, że widziałam kiedyś w telewizji film na ten temat.

Mimo że potrafię obwąchać miejsce przestępstwa jak terier polujący na szczury, często miewam trudności z połączeniem wszystkich wskazówek, a to dlatego, że moja wiedza o świecie ma luki. Przydałby mi się asystent w średnim wieku. Gil się do tego nie nadaje. Panna Marple lepiej by się sprawdziła.

Weźmy na przykład małżeństwo. Marieka i Gil są razem od dwunastu lat, a nigdy nie wzięli ślubu. Marieka mówi, iż to dlatego, że tam, gdzie się wychowywała, kobiety są niezależne i nie życzą sobie, by jakiś mężczyzna wkładał im na palec pierścioneł i kazał zmywać naczynia.

Rozśmiesza mnie to. Nie mogę sobie wyobrazić, by którekolwiek z moich rodziców tak się zachowywało. Gdy spytałam Gila, dlaczego nie ożenił się z Marięką, odparł, że nawet nie

śmiały brać takiej ewentualności pod uwagę.

– Brać pod uwagę czego? – spytałam.

Nie pamiętam, czy odpowiedział.

Matthew miał dużo dziewczyn, ale dopiero z Suzanne wziął ślub. W wieku czterdziestu dwóch lat. To również o czymś świadczy, tylko nie jestem pewna o czym. Kiedy go sobie wyobrażam, widzę go na szczycie góry, z oszronioną brodą. Nie jest osobą, którą łatwo sobie wyobrazić na ślubnym kobiercu.

Rodzice większości moich znajomych ze szkoły wyglądają tak, jak powinni wyglądać zamężni i żonaci ludzie – kobiety w sukienkach, mężczyźni w krawatach. Mama Catlin jest z wykształcenia nauczycielką, ale siedzi w domu, podczas gdy tata Catlin codziennie wychodzi do pracy w firmie komputerowej. Ilekroć widzę mamę Catlin, wygląda na zagubioną we własnym mieszkaniu, jakby nie wiedziała, gdzie usiąść.

Na ułamek sekundy Gil odwraca wzrok od drogi i pyta mnie, co robię, więc mówię, że pograżałam się w rozważaniach, że myślami krążę w kółko i sięgam w przeszłość, że dumam, jak tylko się da. Gdy zadaję mu to samo pytanie, mówi, że jedzie w kierunku Kanady samochodem należącym do żony Matthew.

– Tyle wiem – odparowuję. – Ale co poza tym?

– Rozmyślam – mówi. – O swoim przyjacielu głupku.

– I do jakich dochodzisz wniosków? – pytam, ignorując uwagę o głupku.

– Do żadnych. A ty?

– Staram się być metodyczna – rzucam wymownie, bo Gil nigdy taki nie jest. – Próbuję uporządkować wszystkie ewentualności. To ułatwi nam zadanie.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście. – Zerkam na niego. Patrzy przed siebie, bo kieruje, ale puszcza do mnie oko. – Słuchaj, nie możesz pozwalać myślom biegać w nieładzie i liczyć, że w końcu same połączą się w coś sensownego. To absurdalne.

– Wcale nie – mówi Gil. – Wiele wspaniałych rozwiązań powstało właśnie w ten sposób. Penicylina. Teflon. Inteligentny pył. Zdarza się czasem coś nieoczekiwanego, co zmienia sytuację o sto osiemdziesiąt stopni. Trzeba być na to otwartym.

– Gdy otwieram w ten sposób swój umysł, rzeczy do niego wskakują i wyskakują. Z niczym się nie wiążą. Może nie zgromadziłam jeszcze wystarczającej liczby punktów odniesienia.

– To pewnie dlatego, że jesteś młoda. Gdy ja pozwalałam myślom płynąć swobodnie, ufam, że w końcu skupią się na czymś istotnym albo zaskoczą mnie jakimś nieoczekiwanym skojarzeniem. Liczę, że same uformują się we właściwą strukturę. Nagle element układanki wskoczy na właściwe miejsce. Czasem trzeba zaufać swojemu umysłowi.

Niewykluczone, myślę sobie. Jednak swojemu umysłowi mogę na razie zaufać tylko do pewnego stopnia. Jeśli przestanę go kontrolować, zdolny jest wyorbitować w dowolnym kierunku, zupełnie od czapy, albo zapędzić się w ślepią uliczkę i zapaść tam w drzemkę. Dlatego opracowuję diagramy.

– Mam nadzieję, że masz rację – rzucam do Gila.

Bo naprawdę ją mam. Z mojego diagramu na razie nie wynikło nic użytecznego.

Gil uśmiecha się, nie odwracając wzroku od szosy.

– Uda nam się – mówi.

– Tak myślisz?

Szczerze w to wątpię, ale nie wypowiadam tego na głos.

– Tak. Tak czy inaczej, damy radę.

– Okej – mówię i przestaję kreślić diagramy.  
Sięgam do tyłu, by poklepać Honey, która ucina sobie drzemkę, a potem przez chwilę patrzę w okno. Ale nie jest mi łatwo wyłączyć umysł.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o wypadku – mówię do Gila.  
– Jakim wypadku?  
– Tym, w którym zginął Owen.  
Spogląda na mnie.  
– Czy to ma dla nas jakieś znaczenie?  
– Oczywiście, że tak. Jak mam zrozumieć, kim jest Matthew, nie znając wszystkich faktów? Nigdy nie wiadomo, co się okaże ważne.  
– Okej – rzuca Gil. – Ale nie jestem pewien, czy wszystko pamiętam.  
Siedzę nieruchomo i czekam.

– No więc Matt odebrał Owena z lekcji pływania – zaczyna Gil. – Był wieczór. Zima. Ciemno. Musieli przejechać autostradą krótki odcinek, ale wystarczająco długi, by jedna z tych dużych ciężarówek z naczepą wpadła w poślizg i uderzyła w ich samochód od tyłu. Zgniotła go.

– Cały samochód?  
– Tył.  
– Matthew nic się nie stało?  
– Nie odniósł obrażeń. Kilka siniaków.  
– Czekaj... Owen siedział z tyłu, tak?  
– Tak.  
– To dziwne.  
– Nie wiem, perguntadorko. Może w Ameryce dzieci muszą siedzieć z tyłu, ze względów bezpieczeństwa czy coś.  
– Tylko małe dzieci. Owen był wyższy od Suzanne.  
– Może kogoś podwozili albo chciał się położyć. Może z przodu stały zakupy. Torba z akcesoriami sportowymi.  
– Może. I co dalej?  
– Byli na pasie szybkiego ruchu. Przyjechała karetka. Policja. Pamiętam, jak Suzanne mówiła Mariece, że Matthew został oczyszczony z zarzutów.  
– Oczyszczony z zarzutów? – Marszczę brwi, skonsternowana.  
– Uznano go za niewinnego.  
– Niewinnego? Był podejrzewany?  
– Nie sądzę. To chyba normalna procedura. Chcieli się upewnić, że nie zasnął za kierownicą albo że nie był pod wpływem narkotyków czy coś.

Zastanawiam się nad tym. Oczyszczony z zarzutów? Zrozpaczony ojciec? Próbuję sobie wyobrazić tę scenę. Znowu spoglądam na Gila.

– A co z ciężarówką? – pytam.  
– Jechała za nimi. Kierowca próbował gwałtownie skręcić i przeleciał przez środkowy pas. Tył ciężarówki prawdopodobnie zarzuciło do przodu, tak że zgniół samochód Matta.  
– A kierowca ciężarówki?  
– Chyba też zginął.  
– *Chyba zginął?*  
– Zginął.

Przed oczami wyobraźni przesuwają mi się klatki filmowe. Matthew i Owen na pasie szybkiego ruchu, po lewej stronie. Ciężarówka z tyłu za nimi. Ale prawdopodobnie nie na tym samym pasie, tylko na tym po prawej. Dlaczego wielka ciężarówka wpada w poślizg?

– Jesteś pewien, że próbował w ostatniej chwili skręcić, czy zmyślasz?  
– Raczej jestem pewien – stwierdza Gil po chwili zastanowienia. – Większość tych rzeczy wiem od Marieki. Nigdy nie miałem odwagi, by ją wypytywać o szczegóły. Dlaczego pytasz?  
– No bo jeśli ma się na kogoś wjechać, zwłaszcza od tyłu, to nie wpada się najpierw w poślizg, prawda?

– Może szosa była oblodzona. Może chciał skręcić na pas Matta, ale go nie zauważył.

– Ci ludzie są zawodowymi kierowcami. Myślisz, że popełniłby taki błąd? I jak często na pasie szybkiego ruchu widzi się ciężarówkę? Nawet jeśli wjechał na pas Matta, to kierowcy nic by się nie stało. Matt byłby zgnieciony, ale nie ciężarówka. Nie widzisz tego?

Choć rozumiem ograniczenia mojego taty, niecierpliwie się.

– Nie, nie bardzo. A co z oblodzeniem?

– Możliwe, że było.

– Może był zmęczony.

Zmęczony czy nie, nie rozumiem, w jaki sposób to kierowca ciężarówki miałby być winny. Mam teraz wyraźny obraz tej sytuacji. Widzę, jak Matthew gwałtownie zwalnia albo zbacza z pasa, albo robi coś jeszcze, co sprawia, że ciężarówka z tyłu hamuje tak nagle, że aż wpada w poślizg, przelatuje nad środkowym pasem i zgniatą tył samochodu Matthew. Gdyby Owen siedział z przodu, przeżyłby.

Obiektywnie rzecz biorąc, nie ma nic osobliwego w tym, że jadąc z własnym ojcem, siada się z tyłu. Ale czy podczas kłótni usiedlibyście z tyłu? Czy nie siedzielibyście skuleni na brzegu przedniego siedzenia i ostentacyjnie patrzyli w szybę? A gdybyście byli zmęczeni, czy nie wolelibyście wygodnie usadowić się z przodu? Może Owen lubił siedzieć z tyłu, może na zajęciach uraził się w nogę i chciał ją wyprostować albo z przodu stała wielka torba z zakupami.

Zapisuję te pytania w moim mentalnym katalogu pod literką M jak „Może”.

Znak drogowy informuje nas o trasie widokowej i kieruje na prawo. Gil skręca.

– Skoro przejechaliśmy taki szmat drogi, to chociaż nacieszmy oczy.

– Sądziłam, że jesteśmy na misji. Że to sprawa życia i śmierci.

– Jesteśmy – mówi Gil. – Ale Suzanne mówiła, że widoki są przepiękne.

Czy coś sobie roję, czy wszyscy traktują tę wyprawę jak jakieś wakacje na pół gwizdka? Jak poszukiwanie skarbów, zorganizowane dla nas, by uatrakcyjnić nam pobyt w Ameryce? Patrzę na Gila.

– Poważnie? Trasa widokowa?

Zerka na mnie.

– Wolisz zostać na autostradzie?

– Dobra, już dobra.

Patrzę na mapę. Wygląda na to, że po prawej stronie zobaczymy duże jezioro i – uwaga, uwaga! – gęsty las w jednej chwili robi miejsce dla szerokiej panoramy rozciągającej się za wąskim pasmem wody, z górami w tle.

– Patrz! – wołam i od razu tego żałuję, bo Gil zwalnia jeszcze bardziej.

Widzę w lusterku, jak kierowca jadący za nami wpada we wściekłość. Na najbliższym prostym odcinku szosy wymija nas z rykiem silnika. Zza szyby swojego absurdalnie dużego pikapa posyła nam pogardliwe spojrzenie. Na półce pod tylnym oknem wiezie strzelby. Strzelby?

– Widziałeś to?

Gil potakuje skinieniem głowy.

– To pewnie na pokaz. Sezon łowiecki jest w październiku.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Nauczyłeś się na pamięć przewodnika czy co?

– Nie można strzelać do ciężarnych samic ani do tych, które dopiero co urodziły młode.

Nawet tutaj, w Ameryce. Tak więc rzeź odbywa się jesienią, jak u nas.

Świetnie. Od teraz będę wypatrywać na skraju lasu niedźwiedzi i saren z potomstwem. Skazane na śmierć? Tak. Ale wyrok odroczone.

Kilka kilometrów dalej wjeżdżamy do ślicznego miasteczka usytuowanego nad samym jeziorem. Na wodzie tańczą promienie słońca. Mijamy warsztat skutniczy i kilka starych eleganckich wiktoriańskich domów. Gil zatrzymuje się przed lodziarnią.

Bez pytania zamawia dla nas obojga wysokie lodowe spirale, wanilia z czekoladą, i filiżankę kawy dla siebie. Siadamy na zewnątrz, przy drewnianym stole. Powietrze jest chłodne, ale słońce grzeje na tyle, że robię się senna. Nie śpieszy nam się z powrotem na szosę.

Gil bierze do ręki lokalną gazetę, którą ktoś tu zostawił. Przegląda ją od tyłu. Odrywam koniec mojego rozka i daję go Honey, a potem idziemy razem nad wodę, ja z lodami ciekącymi po rękę. Siadam na trawie i gapię się na jezioro i góry. Słońce grzeje mi kark. Honey leży obok. Daję jej resztę lodów.

Jeśli wierzyć Gilowi, mieszkali tu kiedyś Indianie. Nic dziwnego, że wybrali właśnie to miejsce.

Wracamy do Gila.

– Patrz – mówi. – Za jedyne czterysta dolców można tu kupić rozkładany basen. Albo prawie nową kosiarkę do trawy.

Przewraca strony, a ja zerkam mu przez ramię na zdjęcie rodziny szopów zrobione czyjąś kamerą monitoringu. Stoją jak podejrzeni, jakby były jakimiś szopimi przestępcami.

Honey układa się na słońcu, z łbem na łapach. To piękne stworzenie ze szlachetną głową, ale widzę, że pod gęstym białym futrem ciało ma wychudzone. Jest stara. Gil daje jej dwanaście lat. Czyli tyle, ile mam ja.

Jeszcze mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów. W takim tempie to około dwóch godzin jazdy. Nagle żałuję, że nie odbywamy tej podróży dla przyjemności. Wolałabym jechać powoli, przystawać dla kaprysu. Ale nawet piękne widoki nie pozwalają mi przestać myśleć o Matthew i elementach układanki. Większości brakuje. Na razie mam tylko niebo.

Skup się, mówię do siebie w duchu. Skup się na faktach: Owen zginął trzy lata temu. W zderzeniu z ciężarówką. Nie z winy Matthew. Policja oczyściła Matthew z zarzutów.

Gdy poszukujemy odpowiedzi, warto iść tropem tego, co nie daje nam spokoju.

Oczyszczony z zarzutów?

Gil przekłada gazetę na pierwszą stronę, gdzie widnieje duże zdjęcie zwycięzców lokalnego maratonu. To w większości kobiety, obejmują się ramionami i promiennie uśmiechają. Pod spodem jest notatka o licencjach na polowanie i lista przepisów, zwieńczone wielkim radosnym nagłówkiem zapowiadającym rychłe nadejście sezonu łowieckiego.

Czytam dalej. Okazuje się, że aby starać się o licencję, trzeba mieć skończone dwanaście lat i odbyć dziesięciogodzinny kurs poświęcony zasadom bezpieczeństwa. W zeszłym roku w stanie Nowy Jork zastrzelono sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy jeleni i tylko dwadzieścia dziewięć osób zostało rannych, nikt nie zginął.

Sto osiemdziesiąt dziewięć tysięcy jeleni. I trzysta osiemnaście niedźwiedzi. Po co zabijać niedźwiedzia? Nawet nie można go zjeść. Przygnębia mnie myśl o tych wszystkich zabitych zwierzętach. Dołączone do artykułu zdjęcie przedstawia zadowolonego z siebie mężczyznę trzymającego w górze głowę martwego jelenia. Nagłówek oznajmia „Steve Wilson i jelen z bujnym porożem”.

Co to w ogóle za miejsce?

Pakujemy się z powrotem do samochodu. W środku jest gorąco i gdy ruszamy, włączam klimatyzację. Honey cicho dyszy z tyłu. Długo tam zabawiliśmy i kiedy w końcu zjeżdżamy z autostrady na węższą drogę, jest już późne popołudnie. Gil zatrzymuje się, żeby zatankować. Płaci i wraca do samochodu, ale zamiast ruszyć, opiera się o siedzenie z rękoma na kierownicy i zwraca się do mnie.

– Co robimy? – pyta. – Jeśli będziemy dalej jechać, może uda się nam dotrzeć tam jeszcze dziś wieczorem.

– Zostańmy – mówię.

Może to tylko nerwy, ale nie podoba mi się wizja konfrontowania się z czymkolwiek w półmroku, z Matthew czy z nie-Matthew. A poza tym nie chcę jeszcze kończyć tej podróży. Co, jeśli znajdziemy Matthew, a on będzie wściekły, że goniliśmy go aż do kanadyjskiej granicy, choć on tylko pokłócił się z Suzanne i chciał przez jakiś czas pobyć sam? Albo jeśli zastaniemy go z jakąś kobietą? Albo z kontrabandą? Dwudziestoma ośmioma kilogramami kokainy? Jeśli będzie miał nam za złe, że jechaliśmy za nim całą drogę, jakby był jakimś przestępcą? A jeśli okaże się, że *jest* jakimś przestępcą?

Nie mówię tego wszystkiego na głos, ale Gil i tak potwierdza skinieniem głowy. Może to samo i jemu chodzi po głowie.

– Okej.

Wpatruję się w mapę.

– Moglibyśmy pojechać do Lake Placid. Na mapie wygląda na duże. Co tam jest?

– W 1980 roku mieli zimową olimpiadę – informuje mnie Gil i podaje mi przewodnik. –

Spójrz.

Czytam notatkę, według której Lake Placid jest uroczym miasteczkiem z zadowalającym wyborem restauracji, obiektów handlowych (*obektów* handlowych?), sklepów z antykami i akcesoriami sportowymi. „W Lake Placid znajdziecie coś dla każdego” – zapewnia książka w irytującym stylu. Jakoś nie wydaje mi się, żeby z tymi wszystkimi „obiektami handlowymi” Lake Placid było oazą spokoju.

Czytam jeszcze przez chwilę, po czym podnoszę wzrok na Gila.

– Może tam się zatrzymamy na noc?

– Tam jest dużo moteli – mówi i zjeżdża z drogi, by spojrzeć na mapę.

Zaglądam mu przez ramię i widzę zdjęcie skoczni olimpijskiej.

– Chryste, to przerażające – stwierdza Gil, podążając za moim wzrokiem. – Trudno sobie wyobrazić, że ktoś w ogóle odważy się z tego zjechać.

Na kilka sekund przysmykam powieki i zastanawiam się, jak by to było runąć skulona z tego niemal pionowego stoku, a potem wykatapultować się na krawędzi z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Wylądowałabym na lodzie jako krwawy placek.

Pół godziny później przejeżdżamy obok tej skoczni. Zatrzymujemy się i wysiadamy, by popatrzeć. Gil nie może oderwać wzroku.

– Nigdy w życiu – zarzeka się. – Dobrze, że przynajmniej jest wyciąg. Nie jak na tamtej górze. A ty?

– Ja? – Potrząsam głową. – Nie ma mowy. Tęsknisz za tamtymi latami? – pytam, mając na myśli czasy, gdy się wspinał.

– Nie.

– Dlaczego to robiłeś?

– Nie wiem, Mila. Byłem młody. A Matt był tak przekonujący. Gdy powiedział, że wspinaczka to jest to, szliśmy się wspinać.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jak by skończyli, gdyby żyli w innych czasach. Wyobrażam sobie tatę i Matta jako rozbójników albo bojowników francuskiego ruchu oporu, podejmujących wielkie ryzyko. Jako członków Hitlerjugend.

– Matthew by z tego zjechał?

Gil się uśmiecha.

– Pewnie by próbował.

– W ogóle ci się nie podobało wspinanie?

– Nie wiem. Oczywiście, że mi się podobało. Nie sądzę, żebym z własnej inicjatywy tego spróbował, ale gdy już zacząłem, uzależniłem się od adrenaliny.

– Adrenaliny?

Gil potakuje skinieniem głowy.

Ładujemy się z powrotem do samochodu, wjeżdżamy do miasteczka i parkujemy. Jest ładne i zadbane i choć nigdy nie byłam w Szwajcarii, wygląda dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażam – przytulne małe drewniane sklepiki i restauracyjki z widokiem na jezioro i góry. Tylko bez facetów w tyrolskich portkach. No i góry nie są takie duże jak Alpy.

Gil szuka jakiejś normalnej gazety, a ja znowu wysyłam wiadomość:

„Matthew. Tu córka Gila, Mila. Musimy Cię znaleźć. Proszę, odpisz, gdy dostaniesz tę wiadomość”.

Po chwili zastanowienia kasuję zdanie o tym, że musimy go znaleźć. O tym, że jestem Mila, córka Gila, też. Na świecie nie ma przecież zatrzęsienia dziewczynek o imieniu Mila.

„Matthew, tu Mila. Odpisz, gdy dostaniesz tę wiadomość”.

Czekam chwilę, ale odpowiedź nie przychodzi. Piszę też do Marieki i Catlin, ale one także nie odpisują.



Przez chwilę kręcimy się po miasteczku, oglądając wystawy sklepowe. W sklepie z antykami za szybą stoją stare drewniane sanki. Jest też księgarnia z pięknym widokiem na jezioro.

I właśnie wtedy w oknie delikatesów dostrzegam pisanek moich marzeń. Ma wzorek w kowbojów – kowboje z lassem, podskakujący na grzbietach byczków i dzikich koni, zaganiający krowy, tańczący z kowbojkami. To tak absurdatne, że parskam śmiechem. Nie wspominając o tym, że jest olbrzymia!

– Rany! Jest idealna! Catlin umrze z radości – mówię, a Gil przewraca oczami, myśląc pewnie o cenie.

Ale gdy wchodzimy i pytamy, ile kosztuje, sprzedawca informuje nas, że pisanek nie jest na sprzedaż.

– Nie mogę jej sprzedać – oznajmia. – Była w ofercie dwa lata temu, więc jest przeterminowana. Wiele osób o nią pytało, ale obawiam się, że już na zawsze zostanie ze mną. Galopuj, mustangu!

Rozumiem go, ale tak bardzo chcę mieć tę pisanek, że rozważam w duchu różne scenariusze, łącznie z włamaniem się do sklepu pod osłoną nocy i kradzież.

– Pewnie nie ma innego egzemplarza?

Mężczyzna przecząco kręci głową.

– Nakręca sprzedaż innych pisanek? – pytam, chcąc go omotać myślą, że logicznie byłoby się jej pozbyć.

Znowu kręci głową, tym razem ze smutkiem.

– Nie mam pojęcia. To jakiś idiotyzm. Ale dobrze wygląda na wystawie, prawda? Ciebie przynajmniej skusiła.

Drugi sprzedawca parska śmiechem.

– No widzisz? – mówi. – Wszyscy się ze mnie śmieją, ale im też się podoba moja pisanek. Galopuj, mustangu!

O co chodzi z tym „Galopuj, mustangu!”? Nie mam pojęcia.

– Może jednak ją pan sprzeda? – Nie daję za wygraną. – Mam przyjaciółkę. Jej rodzice się rozwodzą. Jest naprawdę smutna i przygnębiona. Ta pisanek na pewno by ją rozśmieszyła. – Obrzucam go uważnym spojrzeniem, by sprawdzić, czy moja strategia działa. – Jest naprawdę zrozpaczona – dodaję najsmutniejszym tonem, na jaki jestem w stanie się zdobyć.

– No cóż... – mężczyzna cedzi słowa, kręcąc głową. – To smutna historia. Ale obawiam się, że sprzedaż nie wchodzi w grę. A poza tym ma już dwa lata. Nie będzie smaczna.

Myślę o Catlin. Byłoby jej obojętne, jak pisanek smakuje. Zależy jej na czymś innym. Na znaku. Ta pisanek jest jak wymowne mrugnięcie okiem: jesteśmy przyjaciółkami i śmiejemy się z tych samych rzeczy.

– Przez ciebie zawiódłbym całe miasto – mówi sprzedawca, zatwardziały wróg dzieci. – Może za rok.

Wiem, że to tylko wielkanocna pisanek, ale mam ochotę się rozplakać. Może podczas naszej podróży znajdę inną, równie fajną. Może w Ameryce są na każdym kroku. Ale w głębi duszy wiem, że wcale tak nie jest. Staram się przekonać sama siebie, że idealna pisanek to tylko fanaberia, zwłaszcza wobec ewentualności, że Matthew nie żyje. A poza tym jak niby miałabym zawieźć ją do domu? Ale dla Catlin to głupie jajko ma znaczenie. Wiem, że ma. Ucieszyłoby ją, choćby na chwilę.

Tata kupuje butelkę ręcznie wyciskanego soku jabłkowego, a ja gromię go wzrokiem, bo nie podoba mi się pomysł płacenia temu człowiekowi za cokolwiek.

Gdy wychodzimy, żegnają nas dzwonki przy obroży reniferów. Galopuj, mustangu!

Mężczyzna coś za nami woła, ale się nie odwracam.

Zaczyna się ściemniać, więc parkujemy przed jednym z moteli, ale recepcjonistka informuje nas, że mają już komplet gości, bo jest przerwa świąteczna.

– Spróbujcie w Zajeździe u Victora – radzi – jakiś kilometr stąd.

Wsiadamy do samochodu. Ponieważ droga jest kręta, wydaje się, że jedziemy tam całe wieki. Obok naklejek informujących o rodzajach akceptowanych kart kredytowych jest też nalepka z psem, więc mamy szczęście. Informuję pana w recepcji, że mój tata parkuje samochód i zaraz przyjdzie. Panu spodobał się mój akcent i pyta, czy jestem z Australii. Gdy dołącza do mnie Gil, mężczyzna proponuje nam rodzinny apartament w cenie zwykłego pokoju dwuosobowego.

Mam więc teraz własny pokój, połączony z pokojem Gila, i własny telewizor. Ekstra! Połączony, ale osobny. W mojej części znajduje się przytulny kącik, idealny dla Honey. Suka zwiija się w nim w kłębek, jakby mieszkała tu od zawsze.

W tym wieku nie potrzebuje dużo biegania, jak twierdzi Gil. Myślę sobie, jakie to dziwne – obie mamy po dwanaście lat, ona jest stara, a ja młoda. Gil i tak bierze ją na spacer, a ja piszę do Catlin:

„Ani śladu zaginionego”.

„Buuu” – odpisuje, ku mojemu wielkiemu zdumieniu i rozczarowaniu, bo sądziłam, że znowu się kumplujemy. Ale sekundę później znowu rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości.

„Tata się wyprowadził. Mama całymi dniami płacze”.

Och, znam Catlin od tak dawna, że wyraźnie słyszę jej głos, cienki i zagniewany.

„Cat, tak mi przykro. Buziaki XXXXXXXX” – odpisuję.

Odpowiedź przychodzi dopiero po dłuższej chwili, dokładnie taka, jak się spodziewałam.

„Mam to gdzieś”.

Co oczywiście nie musi znaczyć, że tak rzeczywiście jest.

„Ściskam Cię mocno” – piszę jeszcze, ale Cat już nie odpisuje.

Gil wraca ze spaceru z Honey.

– Temperatura spada – rzuca.

Daje Honey jedną z psich przekąsek, które zapakowała nam Suzanne, i nakłada jej do miski kolację. Honey wacha i odwraca się obrażona. Jak nie ma resztek bekonu, francuskiego tosta i lodów, to łaski bez.

Zostawiamy Honey i idziemy do dużej restauracji obok, która wygląda jak kreskówkowa wersja Tajlandii, z wielkimi rzeźbionymi kolumnami i spiczastym dachem pomalowanym na złoto i czerwono. Moja Tajlandia, tak się nazywa. Jest prawie pusta. Kelnerka mówi, byśmy usiedli, gdzie nam się tylko podoba, co też robimy. Po chwili przychodzi znowu i zamawiamy *pad thai* i zielone curry. Dziewczyna komplementuje mój akcent, co znowu wprawia mnie w zakłopotanie. W oczekiwaniu na jedzenie wstaję i idę popatrzeć na wielką pomarańczową rybę pływającą w akwarium. Mam nadzieję, że żadne z zamówionych przez nas dań nie zostało stąd wyłowione.

Przynoszą jedzenie. Nie jest złe, choć *pad thai* trochę za bardzo się klei. Gil zamawia tajskie piwo, wypija je i prosi o jeszcze jedno.

– Co zrobimy, gdy okaże się, że Matthew jest w tej leśniczówce? – pytam.

– Chyba z nim porozmawiamy – odpowiada Gil.

– A co, jeśli go tam nie zastaniemy?

Gil wzrusza ramionami.

– Krok po kroku. Przynajmniej przeżyjemy swoją „amerykańską przygodę”, no nie?

Restauracja zapełnia się i nie mogę się powstrzymać, by nie poczynić obserwacji na temat nowo przybyłych gości. To głównie turyści. Niektórzy mówią jakąś dziwną odmianą francuskiego. Gil wyjaśnia, że to kanadyjski francuski. Amerykańskie rodziny nie rozmawiają ze sobą zbyt dużo, choć niektóre krzyczą na dzieci. Widzę, jak jeden ojciec odmawia modlitwę przed posiłkiem, a jego syn rozgląda się wokół z udreconą miną. Jakiś człowiek zna kelnerkę. Może jest jej krewnym, znajomym albo częstym bywalcem. Kilka osób obywa się bez menu. Już wiedzą, czego chcą. Wchodzi dwóch chłopców. Gdy zamawiają piwo, kelnerka prosi ich o dokumenty, których, jak się okazuje, nie mają. Dziewczyna jest jednak miła i przynosi im colę. Ludzie zamawiają ogromne dania i gdy nie dadzą rady zjeść wszystkiego, proszą o torebki dla psa. Osobiście nie dałabym Honey takiego niezdrowego jedzenia.

W końcu wracamy do hotelu. Gil czyta, a ja oglądam telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Głównie reklamy środków na odchudzanie albo gigantycznych pizz. Jak zwykle niepostrzeżenie zasypiam, ale budzę się w środku nocy z wyłączonym telewizorem i światłem motelowego neonu sączącym się przez żaluzje. W pokoju Gila wciąż pali się nocna lampka.

Jedna dziewczyna w szkole opowiadała nam historię mordercy, który ukrył zwłoki kobiety w motelowym materacu. Ludzie spali na tym łóżku przez dziesięć dni, zanim odkryto trupa.

Wizja, że wszyscy ci ludzie spali na martwej kobiecie, przerażała mnie tak bardzo, że przez tydzień nie mogłam zasnąć. Tamta dziewczyna wiedziała, co nam robi. Trzeba być albo nadczłowiekiem, albo w ogóle nie być człowiekiem, żeby o czymś takim zapomnieć.

Rozwahałam to już wcześniej: historia, która zagnieżdża ci się w głowie, zupełnie nieproszona. Mam cały katalog takich okropieństw, ale nie będę wam o nich opowiadać. A co, gdybym przemyśliła jedną tutaj, w środek akapitu, który akurat czytacie, zostawiła ją niczym minę? Nigdy byście o niej nie zapomnieli; już na zawsze pozostałaby częścią was, jak odłamek pocisku. Wystarczy, że powiedziałam wam o zwłokach w materacu.

Nagle zaczyna mi brakować Marieki.

„Hej mamo. Jesteśmy na tropie. Nie wiadomo tylko, czy właściwym. Nie najlepsi z nas detektywi. Bliżej nam chyba do «Defektywów». Cha, cha. Co u ciebie? Strasznie tęsknię. Uściski. Miła”.

Gil podnosi wzrok znad książki i pyta, dlaczego jeszcze nie śpię. Wzruszam ramionami. Przychodzi wiadomość.

„Dlaczego nie śpisz o tej porze? Moim zdaniem jesteście detektywami pierwsza klasa. Kocham Cię. Całusy. Mama”.

Od razu mi lepiej. Wstaję i pakuję się na chwilę do łóżka Gila. Gil odkłada książkę, żeby pooglądać ze mną film dokumentalny o rybach, które żyją w czeluściach oceanu. Otacza mnie ramieniem. W tym dziwnym pokoju, gdzie jedynym źródłem światła jest ekran telewizora, ogarnia mnie przygnębienie, jakbym zagubiła się w jakichś czeluściach. Wciskam nos w koszulę taty i zamykam oczy. Czuję zapach domu i robi mi się lepiej.

Wiem, że Gil chciałby, żebym więcej czytała, ale ja wolę oglądać telewizję, najlepiej z wyłączonym dźwiękiem. Same obrazy. Gdy leci jakiś kryminał, praktycznie od pierwszej sceny wiem, kto jest winny. A zwłaszcza wtedy, gdy mam wyłączony głos. Od razu można rozpoznać, który aktor gra „tego złego”, po twarzy, po chodzie... Gdybym była reżyserem, aż do ostatniej minuty nie mówiłabym aktorom, kto gra kogo i kto jest czarnym charakterem.

Słyszałam o znanym autorze kryminałów, który nigdy nie wiedział, kto w jego własnych książkach okaże się mordercą, dopóki nie napisał ich do końca. Osobiście nie zostawiałabym tak

istotnej decyzji grupce fikcyjnych postaci.

Po jakimś czasie wracam do swojego pokoju i przyciągam legowisko Honey w pobliże łóżka. Honey kładzie się, a ja mogę dosięgnąć ją z łóżka ręką i pogłaskać. Zamykam oczy, ale myśl o zwłokach w materacu prześladowuje mnie jak brzydki zapach w powietrzu. Piszę do Matthew:

„Nie obchodzi cię, że wszyscy się o ciebie martwią? Odpisz”.

Nawet się nie podpisuję.

Gil jeszcze nie śpi.

– Gil – wołam donośnym szeptem.

– Hmm? – pyta.

– Zadzwońmy do Marieki.

– W Holandii nie ma jeszcze siódmej.

Zapomniałam o różnicy czasu.

– Chwilę temu była już na nogach – rzucam cicho.

– Zostało nam mało minut na koncje – mówi Gil, ale potakuje skinieniem głowy.

Marieka odbiera po pierwszym sygnale.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Mówi, że oddzwoni, i tak też robi.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – sprawia wrażenie zaniepokojonej. – Gdzie Gil?

– Jest obok. Przepraszam, że dzwonię. Nie mogłam się powstrzymać.

– Nie szkodzi, kochanie. Gdzie jesteście?

– W motelu. Koło Lake Placid. Jutro jedziemy do leśniczówki Matthew. A raczej dzisiaj.

– Jak rozumiem, wciąż nie dajesz znaku życia? – pyta Marieka, ale nie czeka na odpowiedź.

Wie, że gdyby wypłynęło cokolwiek nowego, pierwsza by się o tym dowiedziała. – Jak się masz, skarbie? Czujesz się samotna?

– Trochę – odpowiadam, choć gdybym miała być szczerą, to musiałabym powiedzieć, że bardzo, ale to bardzo.

– No cóż... albo go znajdziecie, albo nie.

Takie ujęcie sprawy zawęży możliwości interpretacyjne. Jej głos dodaje mi otuchy.

– Jak koncerty?

– Na razie mamy tylko próby – odpowiada. – Jutro będzie pierwszy. Na razie bez niespodzianek. Jak tata? Dlaczego nie możesz zasnąć?

– Tata ma się dobrze. Ale tęsknimy za tobą. Chcesz z nim porozmawiać?

Przekazuję telefon Gilowi. Bez okularów wygląda jak zupełnie inna osoba.

– Będzie, co będzie – mówi po chwili, a potem dodaje z poważną miną: – Potrafi zadbać sama o siebie. – Kolejna chwila milczenia. – Wiem. Spróbuję to zapamiętać. – Posyła mi buziaka. – To od Marieki. – Ja też cię kocham, skarbie. Graj ładnie. – Rozłącza się.

Krytycznie mierzy mnie wzrokiem.

– Mama mówi, że jesteś jeszcze mała i że potrzebujesz dużo snu.

– A ty jesteś w średnim wieku i też go dużo potrzebujesz.

– Racja. W takim razie okej. Oboje pójdziemy spać. Będziemy jutro musieli mieć wypoczęte głowy.

Mówię dobranoc i wracam do swojego łóżka, ale dręczy mnie zbyt wiele pytań i nie mogę zasnąć. Pod kołdrą wysyłam jeszcze jedną wiadomość:

„Matthew, gdzie jesteś?”.

Nie spodziewam się odpowiedzi, więc nie dziwię się specjalnie, gdy nie przychodzi.

Ale po jakimś czasie budzi mnie sygnał wiadomości:

„Nigdzie mnie nie ma”.  
To od Matthew.

Gil opowiedział mi kiedyś o sztuce, w której mężczyzna zakochał się w kozie.

Parsknęłam śmiechem.

– Zakochał? Jak to zakochał?

Gil przytaknął skinieniem głowy.

– Ale chyba nie w... t a k i sposób – powiedziałam.

Gil znowu się uśmiechnął i potwierdził.

– Człek to najdziwniejsza istota.

Pamiętam, że pomyślałam: „A żebyś wiedział”.

– To kompletnie chore. No, chyba że to jakaś megaprzystojna kózka – skwitowała Catlin, gdy jej to powtórzyłam.

Potem zrobiła głupią minę i poleciała zapalić papierosa oraz zjeść obrzydliwego kurczaka z frytkami w towarzystwie swoich nowych przyjaciół, którzy najwyraźniej mnie nie zauważyli, gdy przechodziłyśmy ulicą. A może byli zbyt zajęci śmianiem się z dowcipów zrozumiałych tylko dla nich.

Gil wytłumaczył mi, że historia o kozie jest metaforą dla niekontrolowanej formy, jaką czasami przybiera namiętność, na przykład wtedy, gdy ktoś molestuje dziecko albo zakochuje się we własnej siostrze. Zagadkowa aura wokół całej sytuacji związanej z Matthew sprawia, że się zastanawiam, czy nie ukrywa on tajemnicy tak szokującej, że cały świat odwróciłby się od niego, gdyby poznał prawdę. A może ta tajemnica wydaje się taka straszna tylko jemu?

Co miał na myśli, pisząc: „Nigdzie mnie nie ma”?

Już mam obudzić Gila i powiedzieć mu o esemesie od Matthew. Gil, patrz, przysłał wiadomość! A więc jednak żyje!

Ale nie robię tego.

A potem jest już rano. Pakuję walizkę, a Gil się goli. I znowu mam mu o tym powiedzieć.

I znowu tego nie robię.

Jestem pewna, że zastaniemy dziś Matthew w leśniczówce. I wiem, że treść tej wiadomości zasmuciłaby Gila.

A jednak...

A jednak to on jest dorosłym, a ja dzieckiem. Choć zmartwił mnie ten esemes, czuję potrzebę obronienia przed nim mojego pięćdziesięcioośmioletniego taty. Czy naprawdę moją rolę jest go chronić?

W ułamku sekundy świat staje na głowie. No chodź, mogłabym teraz powiedzieć do taty, nie ociągaj się. Umyłeś zęby?

Zanim udaje mi się znaleźć kawałek trawnika dla Honey, a Gilowi uregulować rachunek, dochodzi jedenasta. Wracamy do miasta i idziemy na śniadanie do jednej z restauracji przy głównej ulicy. Zamawiam gofry, a tata jajecznicę z dodatkową porcją kielbasek, bo Honey ma już dość psiego żarcia.

Gdy Gil daje jej kielbaski na aluminiowej tacce, Honey pochłania je w kilku kęsach. Otwieram tylne drzwi, Honey wskakuje i rozkłada się, oblizując pysk. Patrzymy po sobie z Gilem, czując lekkie poczucie winy. Ale z nas nieodpowiedzialni psi opiekunowie! Dotychczas jechaliśmy dość szerokimi szosami, ale im bardziej na północ, tym węższe się robią, aż w końcu lądujemy na piaszczystej leśnej drodze. Honey wstaje, opiera przednie łapy na podłokietniku pomiędzy dwoma siedzeniami, nachyla nos ku przedniej szybie i stawia uszy. Czyżby

rozpoznawała to miejsce? Według mapy gdzieś tu powinno być jezioro, ale nie widzę go. Do drzew przybite są żółte tablice zakazujące polowań. Jest w tych lasach coś dzikiego. Mam nadzieję, że niedźwiedzie pozostaną w ukryciu, w razie gdyby jakiemuś szaleńcowi z bronią przyszło do głowy zignorować zakaz.

Co kilka minut kolejna wąska dróżka odbija w bok, czasem oznakowana jest nazwą albo kodem pocztowym, czasem numerem, a czasem niczym. Gil wygląda na zaniepokojonego, mruży oczy nad mapą.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmia. – Dom powinien być na końcu tej drogi.

Obraca kartkę ze wskazówkami Suzanne, jakby spodziewał się znaleźć na odwrocie dodatkowe informacje.

Droga kończy się nieoczekiwanie. Zamienia się w ścieżkę między drzewami, zbyt wąską, by przejechał nią samochód.

W zasięgu wzroku nie ma żadnego domu.

– Chodź – mówi Gil. – To musi być tu.

Wysiadamy z samochodu.

Ranek jest piękny, choć znacznie chłodniejszy niż wczoraj. Przez konary drzew prześwieca słońce. Wieje rześki wiaterek, szeleści liśćmi i poskrzypuje gałęziami. Słyszę tupot jakichś stworzonek w poszyciu. Małych. Wyobrażam sobie, że to szarawe lub brązowe gryzonie z przenikliwymi przestraszonymi oczkami i ostrymi pazurkami, maleńkie, ruchliwe i zaniepokojone naszą obecnością.

Staram się wypatrzeć łosia, ale nie widzę nic prócz drzew. Ziemię pokrywają igły i gałązki; lata rozkładu sprawiły, że miękko się po nich stąpa. Honey staje nieruchomo, z uniesionym nosem. Lekko drży. Czy przypomina sobie, że była tu kiedyś z Matthew? Czy go wyczuwa? Czy on tu jest? Suka zaczyna wachać ziemię i gdy rzuca się pędem naprzód, serce zaczyna mi walić. Musi tam być. Musi.

Idziemy za nią.

Gil przystaje na polance. Chata jest z drewna, pokryta łuszczącą się farbą. Ma okna w każdej ścianie i wszystkie są pozamykane. Drzwi wejściowe pomalowano na zielono. Są zamknięte, ale na zewnątrz są jeszcze drugie, siatkowe, które co chwila otwierają się i zamykają ze skrzypieniem. Honey biega wokół domu, skomlać. Zatrzymuje się, odrzuca łeb do tyłu i wyje, potem znów skacze naprzód – w tę i we w tę, okrążenie za okrążeniem. Jest rozkojarzona i jakby oszalała.

Najprawdopodobniej była tu już kiedyś. Z Matthew. Może wyczuwa jego obecność albo jej wspomnienie. Podobnie jak my liczy na rozwiązanie tej zagadki.

Gil sprawia wrażenie wzburzonego. Bierze głęboki oddech. Nikt nie wygląda na nas zza szyby, nikt nie wychodzi nas powitać. Gdy zbliżamy się do domku, biorę go za rękę. Honey przestała biegać i stoi nieruchomo, węsząc w powietrzu.

– Co my tu mamy? – pyta cicho Gil.

Osobę, która zadekowała się w ruderze w środku lasu i której albo nie ma w środku, albo która udaje, że jej tam nie ma, w nadziei, że odejdziemy. Ot, co tu mamy.

– Spójrz – mówię do Gila. – Kot.

Jedno wiem na pewno: duże utuczone koty nie żyją samotnie w dzicy. Kot jest brązowo-czarno-żółty, przez co w cieniu domu prawie go nie widać. Stoi przyczajony, bez ruchu, jakby szykował się do ataku. Ma żółtawozielone oczy i wie, że go zauważyłam. W świetle zwierząt koty nie należą może do gigantów intelektu, ale są bezbłędnymi obserwatorami. Teraz kot przenosi uwagę na coś, co ma przed sobą. Może tym się właśnie zajmował, zanim się pojawiliśmy, czekał, aż to coś wyjdzie z dziury. Żaden zdrowy na umyśle kot nie siedziałby



przyczajony przez cały dzień w oczekiwaniu na przybycie tłumacza i jego córki, poszukujących kogoś, kto może tu mieszka, a może nie.

Patrzę na kota, jak nieruchomieje, z oczami wbitymi w jeden punkt na ziemi, patrzę, jak macha łapą, a potem wyprostowuje się i pewnym ruchem stawia ją na ziemi. Patrzy w dół jak zahipnotyzowany, potem nurkuje przed siebie, szybki jak myśl, i po chwili wynurza się z myszą w pyszczku. Podrzuca lekko mysz do góry. Obserwuję, jak małe stworzonko walczy o życie, próbując stanąć na nogi, ale jest za późno. Kot ma przewagę. Gdy mysz spada na ziemię, kot już skacze na nią dwiema przednimi łapami, jak dryblujący piłkarz. Z trudem znoszę ten widok, choć nie mam pewności, po czyjej jestem stronie.

Gil podchodzi do domku. Otwiera siatkowe drzwi i głośno puka. Nikt nie odpowiada.

– Halo! Jest tu kto? – woła.

Naciska klamkę, ale drzwi są zamknięte na klucz. Zerka na mnie, składa dłonie nad skroniami i przyciska czoło do szyby w oknie. Przez zasłony nic nie widać.

Kot go nie polubił, widzę to. Nie podoba mu się, że jakiś wrzeszczący facet zepsuł mu całą frajdę. Staje na tylnych łapach. Patrzy w lewo i w prawo jak jakieś kocisko z animowanych bajek szukające myszy, potem siada i zaczyna najzwyczajniej w świecie lizać sobie łapę, jakby w ogóle nie przejmował się tym, że przerwano mu najlepszą zabawę tego dnia.

We wszystkich nerwowych wyobrazeniach tej wielkiej konfrontacji nie rozważyliśmy możliwości, że ktoś tu będzie, a my akurat go nie zastaniemy. Obchodzimy chatę dookoła, ale nic tam nie ma. Ktoś tu mieszka, tyle wiem. I tym kimś nie jest tylko kot. Dom nie wygląda na opuszczony – w doniczkach rosną wypielęgnowane kwiatki, jakby ktoś niedawno je posadził. Na metalowych hakach wiszą ciężkie drewniane okiennice. Sprawia wrażenie, jakby tchnął życiem.

Gil zagląda do środka, tym razem przez drzwi.

– Ktoś tu mieszka – stwierdza.

Oddalam się trochę, by obejrzeć wychodek ukryty za drzewami. Gil idzie za mną. Wygódka jest bardzo prymitywna. Z tyłu znajduje się kompostownik – drewniane kwadratowe drzwiczki przywalone dużym kamieniem. Odsuwam go i znajduję dowody: opakowania po jajkach, gazety, resztki jedzenia. Obierki, skórki bananów, kości. Wszystko świeże, łącznie z prasą.

Skupiam się na odczuciach, jakie budzi we mnie to miejsce. Kobieta. Mieszka tu kobieta. Czuję to wyraźnie. Ale ktoś jeszcze. Czyżby Matthew?

– Jest tu kobieta – mówię.

– Skąd wiesz? – pyta Gil.

Patrzę na niego wymownie, bo już zbyt wiele razy zadawał mi to pytanie.

– Wiem, bo wiem.

Czasami mogę powiedzieć: aha! Pusta butelka po lakierze do paznokci. Stąd wiem. Konserwa mięsna – żadna kobieta nie tknęłaby konserwy. Tuzin puszek po najtańszym piwie, to też pewna wskazówka. Ale zwykle nie chodzi o tak oczywiste rzeczy. Spoglądam na przykład na fotografię i zauważam rzeczy niewidoczne na pierwszy rzut oka. Nie żebym była jakąś mistyczką; po prostu dostrzegam konstelacje drobnych faktów, zbyt mało znaczących, by inni zwrócili na nie uwagę. Nie skupiam się na każdym pojedynczym elemencie, interesuje mnie całościowe wrażenie. Niedźwiedź. Myśliwy. Łabędź.

Znacie historię o Mądrym Hansie?

Mądry Hans to koń, arab, hodowany w Niemczech na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Jego właściciel obwołał go najinteligentniejszym koniem na świecie. Zwierzę potrafiło dodawać, odejmować, obliczać pierwiastki i odczytywać wskazania zegara. Odpowiedzi komunikowało zdumionej publiczności, wystukując wynik kopytem. Nawet gdy

jego pan stał odwrócony plecami albo gdy zadano mu jakieś inne pytania, Mądry Hans był zadziwiająco nieomylny.

W roku 1907 przysłano z Berlina trzynastu niezależnych ekspertów, by zbadali wyjątkowy talent Hansa. Przez dłuższy czas byli bezradni. Wyglądało na to, że koń naprawdę potrafi dokonywać skomplikowanych matematycznych obliczeń.

Zaczęli jednak przeprowadzać eksperymenty. Gdy zawiązali Hansowi opaskę na oczach, koń zaczął się mylić. W końcu wpadli na pomysł, by zadawać pytania, na które sam pytający nie zna odpowiedzi. I to był strzał w dziesiątkę. Hans nie odważył się nawet spróbować. O co więc chodziło? Czyżby koń potrafił czytać w ludzkich umysłach?

Okazało się, że Mądry Hans odczytywał niemal niezauważalne zmiany w pozycji swojego pana, które sygnalizowały mu, kiedy przestać uderzać kopytem. Gdy Hans wystukał odpowiedni wynik, tętno pytającego mogło wzrastać, ramiona mogły mu nieznacznie zeszywnieć lub opaść – możliwe, że nawet sam nie był tego świadomy. Koniowi to jednak wystarczyło. Innymi słowy, okazało się, że biedny Hans wcale nie jest takim świetnym matematykiem, na jakiego wyglądał, ma natomiast zadziwiający talent do interpretowania znaków, których nikt poza nim nie dostrzega.

Mila to bardzo ładne imię i nigdy na nie nie narzekałam, ale gdyby rodzice nazwali mnie na cześć tego konia, czułabym się zaszczycona.

Jeśli osobą, która mieszka w leśniczówce, jest naprawę Matthew, to nasze poszukiwania dobiegły końca. Jeśli ten człowiek to nie Matthew, to może będzie przynajmniej wiedział, gdzie go szukać. Coś mi mówi, że wcale go tu nie ma, ale nie potrafię powiedzieć, skąd bierze się to przecucie. Coś w skowycie Honey, może to, jak jej entuzjazm opadł, pies na znanym sobie szlaku.

Będziemy musieli tu wrócić.

Po trzech kwadransach zatrzymujemy się w Mountain View Motor Inn, by poinformować obsługę motelu, że zostaniemy na jeszcze jedną noc. Potem kierujemy się do miasteczka. Mamy trochę czasu, a Gil chce kupić maszynkę do golenia.

Gdy zastanawia się, czy wybrać niebieską, czy srebrną, proszę go o pięć dolarów i kupuję małego pluszowego łosia.

Tu, na północy, łoś to istny fetysz. Jest tu na przykład kawiarnia Pod Dostojnym Łosiem i są Łosiowe Antyki Martina, przed którymi stoi wielka drewniana rzeźba łosia, niemal naturalnych rozmiarów. W biurze Mountain View Motor Inn wiszą obrazy łosi. Knajpa, w której jemy śniadanie, wprowadzie nie ma łosia w nazwie, ale na menu widnieje jego rysunek.

Chciałabym zobaczyć prawdziwego łosia. Zważywszy, że mieszkam w północnym Londynie, to prawdopodobnie jedyna okazja w moim życiu.

Jesteśmy tutaj niespełna dobę, a już wszystko wydaje się znajome. To małe miasteczko. Z jednego końca na drugi można przejść w dziesięć minut. Dziwnie byłoby tu mieszkać przez dwadzieścia lat, skoro już po kilku godzinach czuję się jak w domu.

Choć lubię przebywać z Gilem i mieć poczucie misji – takiej jak na przykład odnalezienie Matthew – to dotkliwie tęsknię za domem i w dziwnej swojskości tego miejsca znajduję coś kojącego. Wyobrażam sobie, jak by to było, gdybyśmy zostali tu na zawsze. Dołączyłaby do nas Marieka i kupilibyśmy jeden z tych ślicznych drewnianych domów na farmie na skraju miasta. Jeździłabym do szkoły na dużym gospodarskim koniu, a Catlin odwiedzałyby nas w wakacje. Gil pracowałby całą zimę przy kominku opalanym drewnem, a Marieka ćwiczyłaby grę na skrzypcach w przytulnym studiu, urządzonej w dawnej mleczarni.

Nagle przerywam te rojenia. Naprawdę? Jakoś nie widzę tu żadnego z nas.

Gdy tylko sobie przypomnę, piszę do Cat esemesy: „Bez Ciebie to żadna frajda”. „Brakuje mi Ciebie”. „Co tam słyhać?”. Ale nie odpowiada. W przypadku wiadomości tekstowych trudno stwierdzić, czy ktoś nie reaguje, bo ich nie dostaje, czy dlatego, że was nie lubi. Może Cat znowu wróciła do swojej „fajowej” szkolnej paczki i nie chce już być moją przyjaciółką, a może skończyły jej się pieniądze na koncie w telefonie i nie może poprosić rodziców o doładowanie, bo ci właśnie się rozwodzą.

W księgarni znajduję cały stojak pocztówek i kupuję dla Marieki kilka z nurami i sowami. Potem zaglądam do sąsiedniego sklepu, Ammo Depot, gdzie sprzedają wielkie wojskowe ocieplane kurtki w zielono-pomarańczowe ciapki i wełniane czapki w kratkę, które wyglądają jak z kreskówki o Elmerze Fuddzie (mają nawet opuszczane nauszki), a nosi się je na polowaniach na kaczki, i jeszcze inne rzeczy, takie jak: skórzano-gumowe kalosze, noże myśliwskie o trzonkach z kości, menażki, namioty, wodoodporne maty i świstawki na kaczki. Jestem zachwycona tym sklepem. Wszystko w nim jest takie egzotyczne. Młody sprzedawca krząta się przy stoisku z namiotami i wędkami i zanim zdąży spytać, czym może służyć, odwracam wzrok, onieśmielona obecnością nieznanego mężczyzny w sklepie pełnym przedmiotów o nieznanym mi przeznaczeniu.

Sklepiarz staje za ladą, otwiera szafę i zaczyna poprawiać piramidę pudełek z amunicją. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że to sklep z akcesoriami do zabijania. Nagle widzę już tylko noże do obdzierania zwierząt ze skóry i celowniki laserowe. Ze strachu dostaję gęsiej skórki i wychodzę.

Gdy odwracam się w drzwiach, by raz jeszcze spojrzeć na chłopaka, spotykamy się wzrokiem. Z początku myślę, że może zauważył, że nie jestem stąd, i wzbudziło to jego zainteresowanie, ale bardziej prawdopodobne jest to, że wziął mnie za złodziejkę. Kto inny wychodziłby z sklepu w takim pośpiechu?

Obok mieści się antykwariat, który może być pełen skarbów, ale jak się okazuje, nie jest. Znajduję książkę o Laurze Ingalls Wilder z autentycznymi zdjęciami przedstawiającymi jej rodziców i trochę żałuję, że ją otworzyłam. Uwielbiam Laurę Ingalls Wilder, ale na tych fotografiach jej rodzice wyglądają jak religijni fanatycy. Rysunki, na których jej brodaty tata grał na skrzypcach, przedstawiały go jako wesołą i ciepłą postać, a mężczyzna na zdjęciach sprawia wrażenie zimnego i nieczułego. Zdziwaczałego. Mama, która w książkach była piękna i miła, ma kwaśną minę. Gil mówił mi, że w pierwszych latach istnienia fotografii nie uchodziło uśmiechać się do zdjęcia.

Kilka minut później na drugim krańcu sklepu natrafiam na Gila. Jest zafascynowany jakąś książką.

– Spójrz tylko na to – mówi.

Egzemplarz jest stary i trochę zawilgocony, a kartki ma całe w brązowych plamach, ale skoro Gil jest podekscytowany, to ja też. Otwiera okładkę, by zobaczyć cenę. Ołówkiem napisano, że książka kosztuje trzy dolary.

– Skąd to się tu wzięło? – pyta, pokazując mi tytuł. To stare tłumaczenie książki, nad którą właśnie pracuje. – Co za zbieg okoliczności. To nie jest coś, co można kupić ot tak sobie.

Myślę, że to miasto daje nam powitalne prezenty.

Gdy miałam osiem lat, znalazłam w kontenerze na śmieci skrzypce warte dziewięć tysięcy funtów. Zauważyłam je kątem oka, wracając po szkole do domu. Zrobiło mi się ich szkoda i bez względu na to, jak obrzydliwe może to się komuś wydać, wyciągnęłam je spośród odpadków. Choć żadna ze mnie specjalistka, od razu się zorientowałam, że są wyjątkowe. Czulałam to pod palcami. Inaczej dotyka się czegoś, co zostało zrobione z miłością i troską, a inaczej czegoś, co wyszło spod maszyny. Stare rzeczy mają specjalny blask, którego brak nowym. Nie chodzi o jakąś jedną cechę, ale o ich tysiąc – tysiąc maleńkich gwiazdek powoli układających się w konstelację.

Jeszcze raz zerkam na wiadomość od Matthew.

„Nigdzie mnie nie ma”.

Nie odpowiedziałam na nią. Nie wiem, jak w ogóle można na coś takiego odpowiedzieć.

Jemy późny lunch. Zamawiam kanapkę z kurczakiem na białym chlebie tostowym. Przynoszą mi ją przebitą wykałaczkami. Gil chciał grillowaną szynkę, ser i pomidory. Dostajemy też papierowe pudełko z sałatką coleslaw. Jak większość posiłków w Ameryce, moja kanapka jest gigantyczna. Poddaję się mniej więcej w połowie i resztę zawijam w serwetkę dla Honey. Gil mówi, że mam oczy większe niż żołądek i że przez te wszystkie resztki biedny pies się rozchoruje. Tak jakby on sam nie przykładał do tego ręki.

Kelnerce podoba się mój akcent i interesuje ją, skąd pochodzę.

– Z Londynu – mówię.

– Z Londynu? W Anglii? – pyta. – Jesteś szczęściarą, że mieszkasz w takim miejscu.

Chyba ma rację, jestem szczęściarą.

Robi się późno i powinniśmy niedługo ruszać. Sącząc lemoniadę z wysokiej szklanki, wyglądam na zewnątrz i niemal się krztuszę.

– Tato – mówię i pokazuję palcem.

– Chryste Panie – mamrocze Gil. – Jest przecież kwiecień.

Do kelnerki dociera tylko ostatnie zdanie.

– A cóż w tym dziwnego, że w kwietniu pada śnieg – prycha. – Raz na Wielkanoc była taka śnieżycą, że w całym stanie pozamykano wszystko na miesiąc.

Co dużo mówi o tym miejscu. Gdy w kwietniu poproszy, nikt nie mrugnie nawet powieką. W czerwcu to co innego. Jeden z drugim mieliby zdziwione miny. Albo i nie.

– Ale przecież było tak ciepło.

Wzrusza ramionami.

– O święty Jacynty! – rzuca Gil.

Kelnerka nie zauważa tego odstępstwa od przepisowej angielskiej wymowy BBC, ale ja obrzucam go wymownym spojrzeniem.

– Tylko nie zaczynaj zgrywać tubylca – szepczę do niego, gdy dziewczyna odchodzi. – Jesteś ostatnim ogniwem łączącym mnie z normalnością.

– Nie ma czegoś takiego jak normalność – kwituje, unosząc brew.

– Jesteś jej najlepszym dostępnym mi przedstawicielem.

– *Ditto* – odpowiada.

Płacimy za lunch i idziemy po samochód.

„Hej, Cat. Pada śnieg! Przyjeżdżaj tu szybko!”

Odpisuje niemal natychmiast: „Gdybym tylko mogła”, co odczytuję jako wyraz żalu. Jakkolwiek by na to patrzeć, jest to jakaś odpowiedź, więc może już przestała się do mnie nie odzywać.

Śnieg jeszcze się nie lepi, ale jest tak gęsty i miękki, że to tylko kwestia czasu. Jedziemy w ślimaczym tempie, ale tym razem nie mogę winić za to Gila. Nie lubi prowadzić w żadnych warunkach pogodowych, a co dopiero w takich. Prawie przykleił twarz do przedniej szyby, próbując coś dojrzeć. Mam przecucie, że niedługo zagrzebiemy się w śniegu po pas, ale zanim to się stanie, chcę się nim nacieszyć: sypie najpierw pod kątem, potem zupełnie pionowo. Trudno to nazwać „padaniem”. Jak się przymruży oczy, można udawać, że jest się wewnątrz śnieżnej szklanej kuli.

Dojazd do leśniczówki zajmuje nam ponad godzinę. Gdy docieramy na miejsce, dom jest już przykryty białą pierzynką, a nie zanoszą się na koniec śnieżycy.

W miejscu, gdzie zaparkowaliśmy rano, stoi mały czerwony samochód. Patrzymy

z Gilem po sobie. Zatrzymujemy się obok. Wsiadam i oczyszczam jego szyby ze śniegu. Na tylnym siedzeniu dostrzegam parę górskich butów w małym rozmiarze, pudełko z audiobookiem (*Anna Karenina* czytana przez znaną aktorkę) i płytę z hitami Jamesa Taylora. Oraz torbę suszonych jabłek w plasterkach. Gdyby nie granatowa bejsbolówka z logo Metsów, powiedziałabym, że całość ma charakter zdecydowanie kobiecy.

– To chyba nie Matthew – mówię do Gila, a on przytakuje skinieniem głowy.

Honey wyskakuje z samochodu i z gracją ląduje na śniegu. Nie wygląda na szczególnie zdziwioną. Znowu się zastanawiam, jak Matthew mógł ją zostawić. Na pewno zdaje sobie sprawę, jaki Suzanne ma do niej stosunek i że bynajmniej nie będzie obsypywać jej czułościami. Co czyni pozostawienie Honey jeszcze bardziej osobliwym. Kocha ją. To nie ulega wątpliwości, zważywszy na to, jak wielką miłością rewanżuje mu się pies. Czy udał się tam, gdzie nie mógł go ze sobą zabrać? Do samolotu?

– Chodź – mówi Gil, opatulając się kurtką i chowając brodę w kołnierzu.

Znowu idziemy tą samą ścieżką. Tym razem trochę ostrożniej, w razie gdyby tutejsi mieli w zwyczaju najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Z Amerykanami nigdy nie wiadomo.

– Dzień dobry! – woła Gil, gdy wchodzimy na polankę.

Mam nadzieję, że ktoś nam szybko otworzy, bo buty mi przemiękają, a z włosów zaczyna kapać woda. Jeśli śnieg utrzyma się dłużej, będziemy musieli lepiej się wyposażyć.

Drzwi są zamknięte, ale tym razem w środku pali się światło, a z komina wydobywa się smużka szarego dymu. Do drzwi podchodzi kobieta i przygląda nam się przez szybę. Wygląda na zdziwioną i przez chwilę przebiega nam z Gilem przez głowę ta sama myśl: to nie ten dom.

Kobieta ma na sobie drelichowy fartuch narzucony na długą spódnicę i ciężki sweter, granatowy w białe ciapki. Wyciera dłonie.

Honey stoi obok mnie, płatki śniegu lądują na jej futrze, ale się nie topią. Opiera się lekko o moją nogę. Patrzę i patrzę. Choć w rzeczywistości scena trwa zaledwie kilka sekund, czas spowalnia tak, że ciągną się one przez całe wieki.

Nagle kobieta zakrywa usta dłonią, otwiera drzwi i wybiega na dwór, by rzucić się Gilowi na szyję. On także ją przytula.

– Rany boskie! Co ty tu robisz? Zmokniesz – rzuca ze śmiechem. – Nie stój tak, wejdz!

Gdy w końcu uwalnia go z objęć, zwraca się do mnie. Jej oczy są lekko skośne, jak u kota, a więc pies Miła spotyka anonimowego kota. Zastanawiam się, czy zaraz najeżymy się na siebie, a ona napręży grzbiet i zacznie syczeć. Jednak zamiast tego bierze mnie i Gila za ręce i niemal siłą wciąga do środka.

Tam przystaje i patrzy to na Gila, to na mnie.

– Milo – odzywa się Gil. – To Lynda. Nasza, moja i Matthew, przyjaciółka z dawnych lat. Z czasów, gdy jeszcze nie było cię na świecie.

Lynda uśmiecha się.

– Czyli sprzed jakichś stu lat.

Stoimy w jej małym domku, a woda z ubrań ścieka nam na podłogę. Lynda wpatruje się w Gila, jakby nie mogła się nim nacieszyć. W końcu się opamiętuje, pędzi do komody i wyjmuje naręczne ręczników.

– Wysusz sobie włosy – mówi, podając mi niebieski. – Bo się przeziębisz.

W środku jest tak ciepło, że zaczynamy parować. Gil przebiega ręcznikiem po moich włosach, a ja pytam Lyndę, czy mogę osuszyć Honey, która węszy w każdym kącie, jakbyśmy bawili się w „Znajdź króliczka”.

– Nie jest brudna i nie pachnie brzydko – uspokajam Lyndę.

– Oczywiście – odpowiada Lynda. – Co za zwariowany dzień. Śnieg! W Wielkanoc.

A teraz wy zjawiacie się tutaj jak z księżycy. Jakie to – przez chwilę szuka słowa, które oddałoby sprawiedliwość temu wszystkiemu – zdumiewające!

Łapię Honey i gdy kończę ją wycierać, silnie otrzepuje się po psiemu. Patrzę na Lyndę. Jest młodsza od Gila – w jej ciemnych włosach do ramion nie ma śladów siwizny. Wysoka. Przychodzi mi do głowy, że to dziewczyna z fotografii, ta, w której obaj byli zakochani, i że Matthew trzymał ją tu w ukryciu niczym Roszpunkę w więzy.

Gil jest w nią wpatrzony.

– No dobra – odzywa się w końcu. – Lepiej powiedz, co tu robisz.

– Mieszkam tu, od kiedy wróciliśmy ze Szkocji. To już prawie trzy lata. Ale skąd wy, u licha, się tu wzięliście?

– Szukamy Matthew – odpowiada Gil. – Słyszałaś, że zaginął?

– Co takiego? – Lynda mruga ze zdziwienia. – Jak to: „zaginął”? Kto wam o tym powiedział?

– Wyszedł z domu kilka dni temu. Bez pieniędzy, paszportu, ubrań. Wziął tylko samochód. I tyle. Nie wrócił. Myśleliśmy, że może tu go znajdziemy.

– Tutaj go nie ma. Nie widzieliśmy go od miesiący – odpowiada Lynda i rozkłada ręce, jakby chciała powiedzieć: „Proszę bardzo, sprawdźcie sami, pod łóżkiem, w szafach, jeśli mi nie wierzycie”.

Okej... skoro „nie widzieliśmy go od miesiący”, to przed kilkoma miesiącami go widzieliśmy, tak? „My”, czyli konkretnie kto? Może Lynda i jakiś inny mężczyzna, przebywający akurat w lesie? Ponieważ jednak na oparciu krzesła wisi koszulka z nazwą jakiegoś zespołu, a z kosza na śmieci wystaje puste opakowanie po drażetkach M&M’s, domyślam się, że tą drugą osobą jest dziecko.

Gil wzdycha i chyba uświadamia sobie, że zachowuje się trochę nieuprzejmie.

– Mniejsza o to – rzuca. – Choć na brak niespodzianek ostatnio nie narzekamy, nie mógłbym sobie wyobrazić milszej.

– No wiesz! – śmieje się Lynda. – Ale wspaniale cię widzieć. I ciebie, Milo – zwraca się do mnie. – Problem z zerwaniami jest taki, że traci się także wszystkich innych znajomych. Ale z twoim tatą pozostaliśmy w dobrych stosunkach. Zawsze sobie wyrzucałam, że wybrałam nie tego z dwójki przyjaciół, którego powinnam.

Zerwania. Nie ten z dwójki przyjaciół, którego powinna była wybrać. A więc jednak jest dziewczyną z fotografii.

Lynda posyła mi uśmiech i spojrzenie mówiące, że tylko żartowała z tym złym wyborem, choć myślę, że to wcale nie był żart.

Zerkam na Gila, by utwierdzić się w tym odczuciu, i owszem, coś jest na rzeczy. Najwyraźniej ta kobieta, dawna dziewczyna Matthew, podoba się mojemu ojcu. Mrużę oczy, ale żadne z nich na mnie nie patrzy.

– Matt ci nie mówił, że tu mieszkam?

Gil przecząco potrząsa głową.

– Nie utrzymywaliśmy wzorowych kontaktów. Zwłaszcza po śmierci Owena. Od czasu do czasu jakiś mejl. Niewiele ponadto. Suzanne myślała, że może tutaj przyjechał. – Gil waha się przez chwilę. – Słyszałaś, że się ożenił, prawda?

– Oczywiście.

– Suzanne wie o tym waszym układzie?

– Nigdy o to nie pytałam – odpowiada Lynda. – Ale wychodzi na to, że nie.

Choć w mojej wiedzy o świecie są luki, to nawet mnie wydaje się to wyjątkowo złym pomysłem. Czy to w porządku, że Matthew utrzymywał tego rodzaju sekret? I dlaczego ich

znajomość jest tajemnicą, skoro Lynda jest dziewczyną sprzed stu lat?

– Siadajcie, proszę – mówi Lynda. – Przyniosę wam coś ciepłego do picia. Pewnie zmarzliście na kość.

W pomieszczeniu jest ciepło i wcale nie zmarzliśmy na kość, ale siadamy przy drewnianym rozkładanym stole i przyglądamy się, jak Lynda podgrzewa kawę z mlekiem na małej kuchence gazowej.

– Uczę angielskiego w tutejszym liceum – mówi Lynda. – Mało płacą, ale mnie lubią. Matt wpada od czasu do czasu i przysyła nam pieniądze, choć powtarzam mu, by tego nie robił. Od dawna chcę się przeprowadzić w jakieś sensowne miejsce, ale Mattowi nie muszę płacić za wynajęcie domku. Choć są tu dość prymitywne warunki, zawsze to jakiś dach nad głową.

Zerkam na Gila, który zachowuje się, jakby wszystko było w absolutnym porządku. Ot, po prostu znaleźliśmy się w leśniczówce Matthew z jego byłą dziewczyną i kimś jeszcze, którym Matthew przysyła pieniądze i od których nie pobiera opłaty, i nic z tego nie ma znaczenia dla naszej tajemnicy...

Lynda schyla się i wystawia rękę do Honey, która zachowuje dystans i odsuwa się na tyle, na ile to możliwe, bez ruszania łapami. Większość psów powąchałaby rękę.

– To suka Matta – mówi Gil. – Nazywa się Honey.

Lynda kiwa głową.

– Tak myślałam. W zasadzie to już się poznałyśmy.

Gil szeroko otwiera oczy.

– Oczywiście, że tak – rzuca, ale wygląda na zdeorientowanego.

Honey wraca do obwąchiwania kątów. Przy niektórych przedmiotach zatrzymuje się na dłużej. Być może Matthew nie zaglądał tu od dawna, ale Honey ma lepszy zmysł węchu niż ja. Dom go pamięta, szeptem wymawia jego imię, dźwiękiem o częstotliwości słyszalnej tylko dla psów. W końcu Honey przestaje, zgromadziwszy wszystkie dostępne dane.

– Wciąż jest wilgotna – mówi Lynda, przekopując się przez szufladę i wyciągając z niej szary zniszczony koc. Rozkłada go przy piecu. Honey staje na nim ostrożnie, obwąchuje go, chcąc sprawdzić, czy nie kryje się w tym żaden podstęp, potem drepcze w kółko i w końcu się kładzie. Może koc także pachnie Matthew.

– No więc. – Lynda spogląda na Gila, marszcząc czoło. – Dlaczego jest z wami pies Matta?

– To długa historia – odpowiada Gil.

– Zostawił ją? To do niego niepodobne.

Gil kwituje to westchnieniem.

– Chyba że tam, dokąd się wybierał, nie mógł jej wziąć.

– Mieliśmy nadzieję, że zastaniemy go tutaj, ale masz rację.

– Czy to możliwe, że wrócił do Anglii?

– Nie mamy pojęcia – mówi Gil. – Dlaczego miałby tam wracać? Skoro wiedział, że jedziemy do niego z wizytą.

Lynda nic nie odpowiada, stawia przed Gilem kawę, a przede mną gorącą czekoladę.

Staramy się to wszystko powiązać w sensowną całość. Gil spogląda na mnie pytająco. Wzruszam ramionami i zastanawiam się, ile z tego rozumie i czy sądzi, że Matthew tu niedawno był. Mam tyle samo pytań co on. Może Matthew ma romans z Lyndą i wpada od czasu do czasu? Czy to z jej powodu zniknął? A jeśli tak, to gdzie się teraz podziewa?

Rozglądam się. Rondle i patelnie zgromadzone są w jednym kącie, nad maleńką staroświecką kuchenką gazową. Po drugiej stronie leży sterta sztruksowych poduszek, a obok niej kolekcja wabików na kaczkę, dwa stare składane krzesła i stopy książek. Jest tu tylko jeden



prostokątny pokój z wydzielonymi częściami, co potwierdza przypuszczenie, że mieszka tu więcej niż jedna osoba. Za ścianką działową znajduje się pewnie łóżko. Większość pomieszczenia zajmują: rozłożysta szara kanapa, małe biurko przysunięte do ściany i popękany skórzany fotel. Prawie całą podłogę przykrywa stary perski dywan, wyblakły i przetarty. W wazonie na parapecie stoi bukiet konwalii, których słodki zapach roznosi się po całym domu. Lynda musiała je nazbierać, zanim pogoda zwariowała.

Kroi połówkę ciasta marchewkowego na dużym niebiesko-białym talerzu i mówi, że cieszy się, że przyjechaliśmy, bo pomożemy jej to zjeść.

Choć trafiliśmy na pustkowiec północnej części stanu Nowy Jork, trudno byłoby to wywnioskować ze sposobu, w jaki rozmawia nasza trójka, w której znajdują się reprezentanci Londynu i szkockiego Lancashire.

– A więc mówicie, że zniknął – wzdycha Lynda w zamyśleniu. Po chwili podnosi wzrok na Gila i dodaje: – Robił to już wcześniej.

– Co takiego? – Gil marszczy brwi. – Nic nie wiedziałem.

– Po śmierci Owena po prostu wyszedł ze szpitala i przez dwa dni nie dawał znaku życia. Ale w takich okolicznościach można się chyba po ludziach spodziewać szalonych reakcji.

Gil wygląda na zaszokowanego.

– No cóż, chyba tak. Ale nie każdy by się tak zachował. Zwłaszcza że oznaczało to zostawienie Suzanne samej.

Jakie to straszne, mówię sobie w duchu, jakie okrutne.

– Podczas dochodzenia nie potrafił powiedzieć, gdzie był przez te dni ani co robił. Jeszcze w Szkocji czytałam o tym w internecie.

Patrzę na Gila. Zniknął już wcześniej, a Suzanne nic o tym nie wspomniała? Gil ma wciąż ten sam wyraz twarzy.

– To musiało być dla niego straszne – stwierdza Lynda. – Zawsze uważałam go za najszlachetniejszego człowieka na świecie.

„Bo nie jesteś jego żoną, która na dwa dni została zupełnie sama z martwym synem” – ciśnie mi się na usta, ale powstrzymuję się i nie wypowiadam tego na głos.

– Gdy mówisz, że on zniknął, Gil – głos Lyndy znów się zmienia – masz na myśli to, że dokądś uciekł? Z kimś? Skąd wiesz, że nie ma romansu albo że...?

Nie żyje, chce powiedzieć.

– Och, jestem prawie na sto procent pewien, że żyje. Myślę, że po prostu potrzebował trochę czasu dla siebie. Wiesz, jaki on jest.

Lynda najwyraźniej ma wątpliwości.

– No tak, ale wyjść tak bez słowa? Bez listu? – Marszczy czoło. – Żeby wszyscy się martwili. Gdy ściągnął cię tu aż z Londynu?

– Zaplanowaliśmy tę wizytę już jakiś czas temu – odpowiada Gil.

Lynda patrzy na niego i kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Tym gorzej. To nie może być zwykły zbieg okoliczności.

Gil wzrusza ramionami.

– Myślisz, że nie chciał mnie zobaczyć? Po tylu latach? Wydawał się zadowolony, gdy powiedziałem, że przyjeżdżam.

– To nie może być zbieg okoliczności – powtarza Lynda. – Ale dlaczego nie chciał się z tobą spotkać?

Lynda ma chyba rację. Nie wydaje mi się to typowym zachowaniem racjonalnego człowieka, który po prostu potrzebuje trochę przestrzeni, jak chciałby to widzieć Gil. Ludzie, którzy pragną odrobiny samotności, nie rzucają wszystkiego i nie znikają akurat wtedy, gdy ich

długo wyczekiwany przyjaciel pokonuje pięć tysięcy kilometrów, by złożyć mu wizytę.

– Kontaktował się z Oliverem? – pyta Gil.

– Nie sędzę.

– Brat Lyndy, Oliver – Gil zwraca się do mnie łagodnym tonem uprzejmego pedagoga (jakbyśmy cztery sekundy temu nie rozprawiali na temat co najmniej osobliwego zachowania jego najlepszego przyjaciela) – i Matt byli razem na studiach. To dzięki niemu poznali się z Lyndą.

– Mieszkałam z przyjaciółką – informuje mnie Lynda.

Fascynujące, Lyndo. Tylko nie do końca na temat. Co jest nie tak z tą kobietą? Nagle zaczynają rozmawiać z Gilem jak stare małżeństwo, a ja czuję się jak intruz.

– Pamiętasz ją, Gil?

– Oczywiście. – Gil kiwa głową.

Lynda zwraca się do mnie, bym nie czuła się wyłączona z rozmowy, ale tak naprawdę mówi do Gila:

– Była jedną z tych staroświeckich lesbijek, dla których mężczyzna to wróg numer jeden, a seks to gwałt. Ale cóż ja mogłam z tego rozumieć, byłam młoda.

Wbijam w nią wzrok, sygnalizując, że ani trochę nie interesują mnie szczegóły jej życia seksualnego, zarówno przeszłego, jak i obecnego. Wystarczająco dużo rzeczy mam tu do przetrawienia i bez tych rewelacji. A tak przy okazji, Lyndo, czy mogłabyś przestać flirtować z moim tatą?

– Tak czy inaczej – rzuca Lynda ze śmiechem. – Dojście z tym wszystkim do ładu zajęło mi całe dziesięciolecie.

Gil obrzuca ją wzrokiem.

– Ale teraz ci się udało?

– Mam nadzieję. To nauczycielka z mojej szkoły.

– Wspaniałe wieści. Niektórym nigdy nie udaje się ułożyć sobie życia emocjonalnego.

– Tobie się udało.

– Miałem szczęście – rzuca Gil.

Lynda się śmieje.

– Zawsze je miałeś. Tak się cieszę, że mogę cię zobaczyć chociaż przez godzinę czy dwie. I ciebie, Milo. Tęskniłam za wami. Naprawdę.

Posyła nam obojgu promienny uśmiech, ale szczerze wątpię, że tęskniła akurat za mną.

Otwierają się drzwi wejściowe.

Co teraz? Matthew? Kochanka Lyndy? Duch Boba Marleya?

– Jake! Nadal pada? Chodź, przywitaj się z przyjacielem Matthew. I moim. To Gil, a to jego córka Mila. – Wysoki ciemnowłosy na oko piętnastolatek, o piwnych oczach, w niebieskiej puchowej kurtce, szura nogami przy drzwiach. – To mój syn. Weź sobie coś do jedzenia i chodź z nami usiąść.

Chwileczkę, chwileczkę. Dlaczego Matthew miałby przysyłać pieniądze swojej byłej dziewczynie i jej synowi? Chyba że Jake jest też synem Matthew. Czy dlatego ich utrzymuje? Czy po prostu pomaga dawnej przyjaciółce? Czy to normalne, że ludzie wysyłają pieniądze byłym narzeczonym w potrzebie? Zerkam na Gila i zastanawiam się, czy jest na bieżąco z tym, co mówi Lynda, czy może nic do niego nie dociera.

Bycie spostrzegawczym to czasem samotny los.

Lynda mówi i mówi, jakby „bywanie” lesbijką, która jest lub nie jest matką nastoletniego syna najlepszego przyjaciela Gila i flirtowanie z Gilem było najzwyczajszą rzeczą na świecie. Czuję, że kręci mi się w głowie.

– Gdy urodził się Gabriel, Matt przysłał mi kartkę – opowiada, zbierając włosy na karku i robiąc z nich kok. – Cieszyłam się ich szczęściem. Mówił, że Suzanne pragnęła mieć drugie dziecko, jeszcze zanim Owen...

...zanim Owen zginął, ale Lynda nie kończy zdania. A co z Mattem? Czy on też chciał mieć jeszcze jedno dziecko?

Wszyscy milkniemy, choć ja niespecjalnie się rozgadałam – mój wkład w rozmowę polegał głównie na gapieniu się. Honey leży cichutko obok mnie, z łbem na łapach, z otwartymi oczami. Czuwa. Szkoda, że nie da się porównać naszych obserwacji.

– Przykro mi, że nie możemy wam pomóc – mówi Lynda. – Chciałabym, żeby było inaczej.

– Nie martw się – odpowiada Gil. – Nie robiliśmy sobie wielkich nadziei, że go tu znajdziemy.

Obrzucam go spojrzeniem. Niech mówi za siebie.

– Gdzie będziecie dalej szukać?

– Nie mam pojęcia – wzdycha Gil. – Obstawialiśmy właśnie to miejsce.

Lynda spogląda z niepokojem najpierw na Gila, potem na mnie.

Jake zrobił sobie kanapkę i rozłożył się na kanapie, by ją zjeść. Obracam się, by na niego popatrzeć. Nasze oczy się spotykają.

– Cześć – mówi Jake, jakby dopiero zauważył, że tu jestem.

– Cześć.

– To Mila – przedstawia mnie Lynda. – Córka Gila. Gil to przyjaciel Matthew z dawnych lat.

– Już mówiłaś – kwituje Jake.

Patrzę na Jake'a i zastanawiam się, co ten chłopak myśli na temat swojego domniemanego ojca, czy ma mu za złe, że jest żonaty z inną kobietą i że ukrywa jego istnienie przed swoją nową rodziną. Zakładając oczywiście, że Jake jest jego synem.

Chwileczkę. Zaraz, zaraz. Przyjmijmy, że Jake naprawdę jest synem Matthew i że ma około piętnastu lat. Czy wtedy nie byłby w tym samym wieku co Owen? Ja mam dwanaście i pół, a Owen urodził się trzy lata i trzy dni wcześniej.

Tak więc Matthew nie mógłby być jego ojcem. Chyba że... Boże drogi...

– Weź sobie talerz – mówi Lynda do Jake'a i wyjmuję jeden z szafki za stołem.

Biorę go, a Lynda mi dziękuje. Potem zwraca się do Gila:

– Naprawdę żałuję, że nie mogę pomóc. Ale nie mam pojęcia, gdzie on się podziewa. Nie znam nawet jego znajomych.

Podchodzę z talerzem do kanapy i przyglądam się Jake'owi.

– Ile masz lat? – pytam.

Wygląda na zmieszanego. To nieelegancko w ten sposób zaczynać rozmowę, ale muszę się tego dowiedzieć.

– We wrześniu skończył piętnaście – rzuca Lynda z drugiego końca pokoju.

We wrześniu? I ma piętnaście lat? Owen urodził się w październiku. Zatem moja teoria nie trzyma się kupy. Oznaczałoby to, że Lynda zaszła w ciążę mniej więcej w tym samym czasie co Suzanne, i to z tym samym człowiekiem. Czy ludzie w ogóle wyprawiają takie rzeczy?

To na pewno by tłumaczyło, dlaczego Suzanne nie wie, że tu mieszkają. Wpatruję się w Jake'a. Wziął ode mnie talerz, grzecznie się uśmiechnął, włożył do uszu słuchawki, przymknął oczy i... odpłynął w inne przestrzenie.

Gil i Lynda wciąż rozmawiają.

Wracam do stołu i siadam. Gil posyła mi uśmiech. Pewnie uważa się teraz nad swoim

przyjacielem i Lyndą, nad tym, że im się nie ułożyło, i w ogóle nie myśli o sprawie najpilniejszej. Mrugam do niego porozumiewawczo, ale tylko obrzuca mnie zdziwionym spojrzeniem.

Robi się ciemno. Lynda wstaje, żeby zapalić lampki oliwne w szklanych osłonkach.

Jake'owi jakimś cudem udało się w tej ciasnej izbie odgrodzić od wszystkiego – leży rozparty na kanapie, podłączony do iPod'a. Muszę skorzystać z toalety. Gdy informuję o tym Lyndę, podaje mi kurtkę puchową Jake'a i latarkę.

– Pójść z tobą? Bardzo pada – pyta.

Trafię tam bez niej, a poza tym bardzo chcę zostać na kilka minut sama, by poukładać sobie wszystko w głowie. Kurtka jest lekka, ciepła i pachnie chłopcem. Przekopuję się przez świeży śnieg, a Honey idzie za mną w ciszy. Drzwi otwierają się ze skrzypieniem. W środku jest zimno, ale w swoim kokonie czuję się przytulnie, a drewniane siedzenie jest szerokie i gładkie. Honey wciska się na podłogę obok mnie, nie chcąc zostać na śniegu sama. Garnie się do moich nóg, wdzięczna, że wydostała się z domu pełnego niewybrzmiałych dramatów.

Jeszcze raz wykonuję obliczenia, by mieć absolutną pewność. Wynik jest taki sam: wykluczając przedwczesny poród, jeśli Jake jest synem Matthew, to został poczęty w tym samym miesiącu co Owen.

Choć w głowie mam mętlik, siedzenie po ciemku z latarką to całkiem miłe uczucie. Błogie. Włączam latarkę i kreślę nią kółka na ścianie, nie przestając myśleć. W kurtce i z Honey przy nogach jest mi ciepło. Coś w tym grubym ubraniu, mroźnym powietrzu i otaczającym mnie mroku sprawia, że mam ochotę zostać tu na zawsze. Niemal kręci mi się w głowie, gdy wodzę wzrokiem za wirującą smugą światła na ścianie. Staram się oderwać myśli od wszystkich zdumiewających rewelacji ostatniej pół godziny. Zastanawiam się, jak Lyndzie i Jake'owi udaje się tu przeżyć zimą, w tonach śniegu. Czy w ogóle dają wtedy radę przekopać się do toalety, czy grzezną po drodze w zaspię? Wzdrygam się. I kto odśnieża drogę?

Gdy w Londynie pada śnieg, wszystko jest pozamykane. Może Lynda wróciła do Szkocji, by urodzić Jake'a, może chciała znaleźć się tak daleko od Matthew i Suzanne, jak to tylko możliwe. Zważywszy na okoliczności, byłoby to zrozumiałe.

Zastanawiam się, dlaczego w końcu postanowiła zamieszkać tutaj, w tak prymitywnych warunkach.

W końcu marzną mi nogi, więc wstaję i otwieram drzwi, ale po chwili wskakuję z powrotem z łomoczącym sercem, bo obok drzewa, w odległości około trzech metrów, dostrzegam czyjś cień. Już mam wrzasnąć i puścić się w te pędy, gdy uświadamiam sobie, że niedźwiedzie nie noszą wysokich butów i swetrów i że ten cień za bardzo przypomina Jake'a.

– Przyszedłem upewnić się, że nie zgubiłaś się w lesie i nie zamarzałaś na sople – odzywa się Jake.

– Nie, ale o mało nie dostałam zawału serca ze strachu.

– Przepraszam – rzuca. – Co tu robisz tyle czasu, jeśli można spytać? – Rozciera dłonie i chucha w nie, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Sytuacja mnie krępuje, ale jest na tyle ciemno, że Jake mnie nie widzi.

– Rozmyślałam – odpowiadam i mimo ciemności widzę, jak przewraca oczami.

– No chodź – mówi i łapie mnie za poły kurtki. – Mam tu zamarznąć, żebyś mogła sobie pofilozofować?

W jego głosie nie pobrzmiwa irytacja. Jest miły i życzliwy.

Razem z Honey, gęsiego, przebijamy się przez śnieg. Z małego komina wydobywa się biała smużka dymu. W środku Lynda napaliła w kominku. Miejsce jest na tyle przytulne, że pewnie rekompensuje to brak wygod. Pachnie dymem z płonącego drewna. Zastanawiam się, jak im się tu żyje we dwoje. Trudno przecież o własny kąt i odrobinę prywatności.

– Znalazłem ją – mówi Jake i znowu opada na kanapę, wkładając do uszu słuchawki. Ku memu zdziwieniu Honey układa się obok niego. Jake ją głaszcze.

– Starowinka, prawda? – pyta Lynda, patrząc na nich oboje. – Chyba też została porzucona.

Honey zabulgotało w gardle. Spoglądam w jej kierunku.

Jeszcze raz pytam w duchu: jak można zostawić Honey?

– Chyba musimy już iść – stwierdza Gil, zerkając na śnieg za oknem.

Boi się, że przy niemal zerowej widoczności, gdy wszystkie znaki drogowe otulone są śniegiem, nie znajdziemy drogi powrotnej. Zamiast tego powinien się jednak martwić tymi niezliczonymi rewelacjami, którymi uraczyła nas Lynda.

– Przyjedziecie jeszcze? Przygotuję jutro lunch. – Lynda kładzie mi dłoń na ramieniu, choć pewnie wolałaby położyć ją Gilowi.

Choć nie możemy tu siedzieć całą wieczność, drogi są zasypane śniegiem, mamy lot powrotny do Londynu i musimy znaleźć Matthew, wiem, zanim Gil zdąży odpowiedzieć, że przyjedziemy tu jutro na lunch. Ale obiektywnie rzecz biorąc, gdzie indziej mielibyśmy pojechać?

– A co z drogami? – pytam z nieuzasadnionym wyrzutem w głosie.

– Zobaczymy jutro rano, jaka będzie sytuacja – rzuca Gil.

Żegnamy się z Lyndą, która mnie przytula i mówi, byśmy jechali ostrożnie.

– Spróbuję się dziś wieczorem skontaktować z Mattem – obiecuje – ale wątpię, czy odbierze ode mnie telefon, skoro nie odebrał od was.

Jake nie wstaje, choć Lynda ofukuje go, że to niegrzeczne. W końcu macha nam z kanapy na pożegnanie i znów zamyka oczy.

Mimo tych wszystkich sensacji, o których się dowiedziałam, nie czuję niechęci do Jake'a i Lyndy. Po części sprawiają wrażenie wysiedleńców, wyczekujących zbawienia, a po części leśnych ludków, mieszkających tu od zawsze. Lyndzie prawdopodobnie brakuje towarzystwa dawnych znajomych albo kogoś, kto nie wiódłby życia podłączony do iPoda. Być może w zachowaniu Gila nie ma nic ponad zwykłą życzliwość dla osoby, która kiedyś była mu droga.

Widząc ich razem, mam dziwne wrażenie, że Matthew porzucił Lyndę, Jake'a i Honey na drodze swojego życia niczym zbędny bagaż. Znowu zaczynam się zastanawiać, co to za człowiek, skoro odchodzi od tych, którzy go kochają.

Wyjmuję telefon i odpisuję na jego wiadomość.

„Matthew”.

Długo wpatruję się w ekran, zastanawiając się, co więcej można powiedzieć. Nie da się zawrzeć w jednym esemesie wszystkiego, co mnie gnębi. Gdzie jesteś? Dlaczego wyjechałeś? Czy Jake i Lynda mają z tym coś wspólnego? Dlaczego zostawiłeś Honey? I sprawa być może najpilniejsza: co takiego wydarzyło się w twoim życiu?

Zamiast tego piszę:

„Czy Jake jest Twoim synem?”.

Naciskam „Wyślij”. Zaczyna do mnie docierać, że ludzie pozostający w orbicie Matthew są ze sobą powiązani: Suzanne, Gabriel, Owen, Lynda, Honey. Wszyscy biorą udział w jakiejś historii, którą w pełni rozumie tylko on sam.

A ja i Gil? Szukamy Matthew, a znajdujemy innych ludzi.

Mój ojczulek też ma się z czego tłumaczyć.

– Ale – protestuje – nie miałem pojęcia, że zastaniemy tam Lyndę. Nie podejrzewałem, że może mieć coś wspólnego z tą historią. Nie widziałem się z nią, nie miałem od niej wieści, nie myślałem o niej od lat. A Matthew nigdy nie powiedział mi o Jake’u, *jeśli* Jake faktycznie jest jego synem. Jest sto innych powodów, dla których może wysyłać Lyndzie pieniądze.

– Sto? Na przykład jakie?

– No wiesz, co mam na myśli.

– Nie mogłeś jej o to spytać?

Gil wygląda na zmieszanego.

– Chyba nie. Gdyby chciała, sama by nam powiedziała.

– Może myśli, że skoro jesteś najlepszym przyjacielem Matthew, to już wiesz.

– Jeśli to prawda, to jest to oczywiście szokujące. – Gil marszczy brwi. – Ciekaw jestem, czy Suzanne o tym wie. Myślisz, że jej powiedział?

– Czy ja tak myślę? Mam dwanaście lat.

– No tak. – Gil się śmieje. – Ciągłe o tym zapominam.

Uhm. Nic nie mówię, ale wydaje mi się, że Suzanne nic nie wie.

– Cała historia staje się coraz bardziej pogmatwana – rzuca Gil takim tonem, jakby nagle to wszystko zaczęło go męczyć. – I to, że wtedy po wypadku zniknął.

– Dlaczego tak się zachował?

Gil kręci głową.

– Nie mam pojęcia.

Pada gęsty śnieg i Gil koncentruje się na tym, by nie wpaść w poślizg. Tyle się dzieje w mojej głowie, że nie wiem, od czego zacząć. Tak jakby ziemia się rozstąpiła, ukazując rzekę płynącej lawy.

Gill zatrzymuje się przed Mountain View Motor Inn. Motel właśnie zaczął przechodzić ten dziwny rodzaj przemiany, gdy zupełnie obce miejsce staje się czymś na kształt domu. Najpierw mówi się: „Chciałabym już wrócić do domu” albo „Chodźmy do domu” i nagle uświadamia się sobie, że nie ma się na myśli swojego prawdziwego domu w Londynie, tylko Mountain View Motor Inn.

Motel jest ładnie urządzone, ma wielkie i wygodne łóżka. Gil podłącza komputer do przełącznika, który kupiliśmy na lotnisku, i schyla się do kontaktu. Większa część jego łóżka zasłana jest kartkami z tekstem, który właśnie tłumaczy, a książka, którą znalazł w antykwariacie, leży na poduszce niczym szklany pantofelek Kopciuszka.

Dobrze się czułam ze świadomością, że teraz w życiu Gila istnieją tylko ja, ale z wtargnięciem Lyndy i Jake’a oraz duchów Matthew i Owena zrobiło się trochę tłoczno i moja iluzja prysła. To dziwne uczucie obserwować, jak własny ojciec patrzy na obcą kobietę jak na kobietę, nawet jeśli nie ma w tym nic niewłaściwego. Równie osobliwie jest odkryć, że najlepszy przyjaciel waszego taty zdradzał swoją żonę mniej więcej w tym samym czasie, w którym zrobił jej dziecko.

Gil z pewnym rozdrażnieniem stwierdza, że prawie nie posunął się w pracy, co, zważywszy na okoliczności, mnie nie dziwi.

– Nie przejmuj się – mówię. – To tylko kilka dni. Staraj się cieszyć towarzystwem.

– A jak mógłbym się nim nie cieszyć? – odpowiada, całując mnie w czoło.

– Miła ta Lynda – rzucam ostrożnie.

– To prawda. Ale jej życie to jeden wielki chaos.

Zastanawiają mnie jego słowa.

– Co masz na myśli?

– No cóż... Jak nie to, to coś innego. Dwóch mężczyzn. Kobieta i mężczyzna. Zawsze jakiś układ, który nie miał szans zadziałać. Przed laty wydawało mi się to intrygujące, teraz mnie po prostu męczy.

– Myślisz, że Matthew wie, że była z nim w ciąży?

– Miła, to tylko przypuszczenie.

– A jeśli mam rację?

Gil wzrusza ramionami.

– Któż to może wiedzieć? Ale fakt, wysłała im pieniądze. Czyli, zakładając, że masz rację, jakoś się o tym dowiedział

Przyglądam mu się.

– Powiedz – pytam – czy to jakiś wielki światowy spisek dorosłych, wiodących niewyobrażalnie pogmatwane życia i udających, że wszystko to jest normalne?

– Nie ma czegoś takiego jak...

– Nie kończ – przerywam mu.

Gil wzdycha.

– Nie rozumiesz? Człowiek popełnia jeden błąd, który prowadzi do innych, jeszcze większych błędów, tak że w końcu nie może już zawrócić z tej drogi. I wciąga się w to innych ludzi. Komplikacje się jeszcze bardziej nawarstwiają. Życie bardzo szybko może zamienić się w chaos. A Matt zawsze był wielkim indywidualistą.

– To znaczy?

– Najlepiej się czuł sam ze sobą. Na skalnym zboczu, z dala od ludzi. Nie jest typem domatora jak ja – odpowiada Gil. – A teraz do łóżka. – Posyła mi surowe spojrzenie, daje mi buziaka i wraca do pracy.

Pod kołdrą wysłałam jeszcze jedną wiadomość:

„Proszę, powiedz, dlaczego wyjechałeś”.

Brak odpowiedzi. Zasypiam, a przez noc śnieg próbuje pogrzebać nas żywcem.

Nazajutrz rano przy śniadaniu nie ma już tamtej miłej kelnerki.

– Oczywiście, że nie – kwituje Gil. – Dziś sobota.

Nowa kelnerka, z włosami związanymi w kucyk, też jest sympatyczna. Sprawia wrażenie nietutejszej. Przypuszczam, że przyjechała tu za swoim chłopakiem, który potem ją rzucił. Tak tylko zgaduję.

Mam już dość muffinów, naleśników, gofrów, omletów ze szpinakiem, mrożonych koktajli owocowych i bajgli z wędzonym łososiem, więc zamawiam tosta i sok pomarańczowy. Nieograniczony wybór zaczyna mnie męczyć.

Od razu po śniadaniu ruszamy do Lyndy. Drogi są przejezdne, posypane piaskiem i solą, a śnieg zebrano w olbrzymie pryzmy po bokach. Wygląda na to, że miejscowi byli przygotowani na śnieżycę.

Nadal pada, ale śnieg jest już drobny, lekki i suchy. Świeci słońce, a niebo jest niemożliwie błękitne. Świat tak łśni, że aż trudno na niego patrzeć.

Odsnieżono nawet wąską dróżkę prowadzącą do domu Lyndy. Parkujemy tam gdzie wczoraj. Samochód Lyndy jest całkowicie przykryty śniegiem. Rysuję palcem na jego przedniej szybie uśmiechniętą buźkę. Lynda usłyszała, że przyjechaliliśmy, i wychodzi na dwór nas powitać.

Choć w środku jest ciepło i przytulnie, a z kominka bucha żar, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Lynda i Jake czują się tu samotni.

Jak się okazuje, Jake wyszedł odsnieżać podjazdy do posesji. Ma wrócić na lunch. Ale po kilku minutach wpada cały obsypany śniegiem, z promiennym uśmiechem na twarzy, niczym Tom, który właśnie skonsumował Jerry'ego.

– Jestem bogaty! – woła, wyjmując plik banknotów i wyrzucając w powietrze czapkę Metsów. – Mam nadzieję, że śnieg utrzyma się aż do sierpnia.

Zrzuca rękawiczki, a przemoczoną kurtkę wiesza na krześle przy kominku. Lynda nalewa mu gorącej czekolady.

– To ciężka robota. I jest lodowato. Muszę się wzmocnić. – Jake opada na krzesło. Gdy Honey znowu podchodzi i kładzie się przy jego nogach, Jake poklepuje ją w zamyśleniu. – A jak tam poszukiwania zaginionego? Dla nas to oczywiście nie jest jakaś szczególnie porywająca historia detektywistyczna. Bo w naszym życiu jest nieobecny od... niech policzę... od zawsze.

Lynda i Gil o czymś rozmawiają, więc spoglądam na Jake'a, biorę głęboki oddech i pytam po cichu:

– Matthew jest twoim ojcem?

– Nie owijasz w bawełnę, co? – odpowiada, uśmiechając się półgębkiem. – Matthew niespecjalnie przejął się tą rolą, ale technicznie rzecz biorąc, tak, jest moim ojcem. Nie wiedziałas?

Przecząco potrząsam głową. Jake stwierdził to tak beznamiętnym tonem, że trudno stwierdzić, jaki ma stosunek do całej sprawy. Czy jest mu obojętne, że Matthew jest jego ojcem i że zaginął? Czy w ogóle czymkolwiek się przejmuje? Mógłby zbić fortunę w pokerze. Jake, nie Matthew.

Po kilku minutach wstaje, by sprawdzić, czy jego rzeczy wyschły. Wkłada z powrotem czapkę.

– Spadam – rzuca. – Idziesz ze mną? Zarobiłabyś kupę szmalu. Prawdziwe amerykańskie zielonko. – Rozciera dłonie.

– Kuszące – odpowiadam.

– Weź mój płaszcz i buty – mówi Lynda.

Nie czeka na odpowiedź, tylko mi je przynosi. Razem z czapką i rękawiczkami. Zastanawiam się, czy przypadkiem dorośli nie chcą zostać sami.

Zanim zdążę się zorientować, mam już na sobie parę trochę za dużych, obszytych futrem kozaków, długi płaszcz, wełnianą czapkę i rękawiczki i przerzucam z Jakiem góry śniegu.

– Czuję się jak hobbit – mówię. – Czy także wyglądam jak hobbit?

– Nie, ale przyznam, że dość intrygująco – odpowiada Jake.

Muszę kawalek opuścić, by nie zostać w tyle.

– Nie boicie się mieszkać tak z dala od wszystkich? – pytam. – Chodzi mi o to, co zrobicie, gdy coś się stanie? Nie zrozum mnie źle, tu jest pięknie i w ogóle, ale gdyby pojawił się morderca z siekierą albo zaatakowali was zombi?

Dla mnie, wychowanej w mieście, wieś kojarzy się głównie ze scenerią horroru – w zaroślach zawsze czai się jakiś psychopata.

Jake zerka na mnie z ukosa.

– Zombi nie pojawiają się od kilku tygodni – mówi. – Morderca z siekierą też nie. Tak naprawdę jest tu mnóstwo ludzi. Chowają się w domkach na krańcach małych drózek w lesie, więc ich nie widać. Gdyby kogoś na przykład przywaliło drzewo i połamało mu obie nogi, zawsze znajdzie się ktoś, kto zapakuje go do pikapa i zawiezie do szpitala. Oczywiście potem rozpowie wszystkim, jakim biedaczysko jest kretynem.

Nie za bardzo wiem, co odpowiedzieć.

– A tak przy okazji, fajny masz akcent – dodaje, gdy brniemy przez śnieg.



Parskam śmiechem.

– Co jest takie zabawne? – Przerzuca łopatę na drugie ramię.

– Nic. Tylko to, że każdy mi to tutaj mówi. Nie wydaje mi się, żebym w ogóle miała akcent. To ty masz akcent.

– Ja? – prycha Jake. – Wychowałem się w Szkocji, ale sądziłem, że mówię teraz po amerykańsku.

– Bo mówisz. Prawie.

– Prawie? – pyta z udawanym oburzeniem. – Za mój amerykański akcent dostawałem nagrody.

– Poważnie? – przystaję i przyglądam mu się. – Nagrody?

– No, niezupełnie. Nie takie prawdziwe nagrody.

– Ja bym ci dała nagrodę – mówię. – Podoba mi się, jak mówisz.

– Dzięki. To bardzo uprzejme z twojej strony.

Maszerujemy jeszcze przez kilka minut.

– No więc robimy tak, że pukamy do drzwi obcych ludzi i pytamy o pracę?

– Dokładnie tak – odpowiada Jake. – Oprócz tego posługujemy się też metodologią naukową, by oszacować, kto nas zatrudni, a kto nie.

– Na przykład patrzymy, czy podjazd jest zasypany?

– Aha.

Tak właśnie robimy. Szkopuł w tym, że aby się dowiedzieć, czy jesteśmy komuś potrzebni, musimy dojść do końca wszystkich tych małych drózek. Wiele razy zawracamy, zanim wreszcie udaje nam się znaleźć nieodśnieżony podjazd. Dzwonimy do drzwi. Jake postanowił, że ze względu na mój „fajny” akcent to ja będę mówić. Otwiera kobieta. Proponuje nam mniej, niż wynosi nasza standardowa stawka, ale Jake mówi, że to starsza pani i że zrobimy dobry uczynek. Wyprowadzamy też na spacer jej pieska. Staruszka płaci nam, wyglądając na szczerze zadowoloną. To jednak ciężka robota i już po pierwszej rundzie bolą mnie ręce.

– O tej porze nieodśnieżone będą mieli tylko starsi ludzie i samotne kobiety – stwierdza Jake.

I okazuje się, że ma rację, bo otwierają nam tylko ludzie po siedemdziesiątce albo paniusie, które trudno sobie wyobrazić w śniegowcach i z łopatą w ręku. Przez trzy godziny udaje nam się znaleźć tylko dwie fuchy.

Podczas pracy niewiele rozmawiamy, bo przerzucanie śniegu kosztuje mnie za dużo energii.

– Nie jest specjalnie ciężki – mówi Jake. – To dobrze, bo za mokry i ciężki śnieg, przy którym padłabyś z wycieńczenia, nie płacą więcej.

Jako tako wdrażam się w rytm machania szuflą, choć ramiona bolą mnie niemiłosiernie. Nabrać, odrzucić. Nabrać, odrzucić. Gdy zmęczę się przerzucaniem, próbuję kopać w łychę łopaty, żeby nabrać śnieg, ale Jake mówi, że to nie ma sensu, bo w ten sposób tylko go ubijam, więc trudniej go będzie potem usunąć. Wysła mnie na ścieżkę przed domem, lecz gdy kończę odśnieżać, znowu zaczyna prószyć, więc dróżka jest cała biała.

Wszyscy mają piasek i sól, więc najpierw rozsypujemy sól, potem piasek, odbieramy zapłatę i idziemy dalej.

– Nadajesz się do pracy – stwierdza Jake. – Wcale mnie to zresztą nie dziwi.

– Wyglądam jak ciężarowiec czy co?

Demonstracyjnie zginam i naprężam ramię, ale z powodu dziesięciocentymetrowej warstwy ocieplanego płaszcza efekt nie jest spektakularny.

Jake uśmiecha się szeroko.

– Gdzie tam! Nie chodzi o to, że wyglądasz potężnie, tylko o to, że nie marudzisz.  
– Bzdura – odparowuję. – Marudzenie to moja specjalność. Na przykład teraz umieram z głodu, jest mi zimno, a na widok śniegu robi mi się niedobrze.

– Mnie też. Wracajmy.

Po drodze Jake dzieli zarobione pieniądze i daje mi połowę.

– Normalnie fortuna.

– No, no... Myślisz, że wystarczy na kupno domku w okolicy?

Jake kiwa głową.

– Jednego na pewno.

Przez chwilę maszerujemy w milczeniu.

– Co myślisz o zniknięciu Matthew? – pytam w końcu i od razu tego żałuję. I tak już uważa moje pytania za obcesowe.

Ale Jake odpowiada.

– Od kiedy tu zamieszkaliśmy, widziałem go kilka razy – mówi – ale nie mogę powiedzieć, że znam go dobrze. Przedtem widywaliśmy go raz na rok albo co dwa lata. Nawet go lubię, ale zawsze jest wobec mnie taki oficjalny. Chcesz wiedzieć, jaką mam teorię? Żadnej. Może ma dwunastu synów takich jak ja, poukrywanych w różnych częściach kraju, i nie może znieść poczucia winy. – Przystaje i spogląda na mnie. – A ty masz jakąś?

Nie jest to łatwe pytanie.

– Mam za mało danych, by zaproponować teorię – odpowiadam. – Tak naprawdę to nie wiem o nim nic. – Milknę na chwilę. – A gdy pojawiłeś się ty, ta historia stała się jeszcze bardziej zagmatwana. Myślisz, że jego żona wie o tobie i o twojej mamie?

– Wątpię. To dziwne uczucie być czyjąś mroczną tajemnicą. Ta część układu najmniej mi się podoba. – Wzrusza ramionami. – Ale przywykłem.

Naprawdę? Nic nie mówię, ale wierzę mu, że to musi być bardzo nieprzyjemne. Wręcz straszne. Z każdą nową rzeczą, jakiej dowiaduję się o Matthew, coraz bardziej tracę do niego sympatię. Dlaczego w ogóle go szukamy? Dlaczego mój tata się z nim przyjaźni?

– To nie fair – mówię.

Spogląda na mnie.

– Gdy będę pełnoletni, sam wybiorę swoją przyszłość. Już zdecydowałem. Wrócę do Szkocji, gdy tylko będę mógł. Podobało mi się tam. Oprócz zimy, kiedy prawie cały czas było ciemno.

– Jak długo tam mieszkałeś?

– Do dwunastego roku życia. Mama przez jakiś pracowała w Nowym Jorku, gdzie była w związku z Matthew. Gdy zorientowała się, że jest w ciąży, postanowiła zamieszkać bliżej swojej siostry w Aberdeen. Ale nigdy tak naprawdę nie miała z ciotką dobrych relacji. Zabawne, prawda? Tak czy siak, zdobyła kwalifikacje nauczycielskie i postanowiła się tu przeprowadzić. Chyba tutaj bardziej jej się podoba.

– A tobie?

– W Szkocji mieszkaliśmy na dużym osiedlu domów komunalnych. Było w porządku. Mieliśmy przyzwoity park do jeżdżenia na desce. W okolicy były tysiące dzieciaków. Dobrze się tam czułem. Tutaj życie towarzyskie nie jest szczególnie bujne.

– Nagle mówisz jak totalny Szkot.

– No nie.

– Właśnie że tak.

Jake odwraca wzrok, ale widzę, że jest zadowolony. Na razie nie wydarzyło się między nami nic nadzwyczajnego, ale gdy nadaje się z kimś na tej samej fali, rozmowa jest frajdą.

Zauważyłam, że w tym, iż jest nam dobrze z inną osobą, nie ma nic magicznego. Jeśli rozłoży się to na czynniki pierwsze, wszystko staje się jasne. Mówisz coś od czapy i obserwujesz, jak druga strona zareaguje. Jeśli załapie i pójdzie o krok dalej, to znowu twoja kolej. A potem jej. I tak dalej, aż zaczynacie się przekomarzać i żartować. Są żarty, jest przyjaźń.

Otwieramy drzwi. Gil rozmawia z jakąś szczupłą rudowłosą kobietą koło czterdziestki, o regularnych rysach, ubraną w elegancki kostium. Wygląda zadziwiająco stylowo jak na kogoś zabłąkanego w śnieżycy na krańcach świata.

– To moja przyjaciółka Joy – informuje nas Lynda.

I to tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia. Lynda zajmuje się krzątaniem wokół naszych mokrych ubrań i ciepłych napojów.

– Narzeczona – rzuca po cichu Gil.

– Ach.

Lynda podaje nam kakao i wraca do opowiadania Gilowi o nowej szkole, w której pracują z Joy, i o tym, ile nauczyciele mają papierkowej roboty. W tym momencie się wyłączam.

Ponieważ nagle w domku zrobiło się dość ciasno, kanapa Jake'a jawi się niczym cicha przystań. Jake najwyraźniej też tak uważa, bo podciąga kolana, żeby zrobić dla mnie miejsce, a po chwili podaje mi jedną słuchawkę.

– Fajna piosenka – mówię.

Jake potakuje skinieniem głowy.

– Jeszcze nie jest popularna, ale któregoś dnia będziesz mogła powiedzieć znajomym, że usłyszałaś ją po raz pierwszy właśnie tutaj, na mojej kanapie. To będzie wiekopomna chwila, jak ta, w której twoi rodzice po raz pierwszy usłyszeli Beatlesów.

Trudno mi sobie wyobrazić, by Gil pamiętał, gdzie po raz pierwszy usłyszał Beatlesów. Niewykluczone, że nawet nie wie, kim są Beatlesi. Jego znajomość kultury masowej jest, ujmijmy to delikatnie, szczątkowa.

– Kto śpiewa? – pytam.

Jake wygląda na urażonego.

– O rany! – wołam, gdy do mnie dociera. – Jesteś niesamowity! Masz świetny głos.

(To akurat prawda).

– Piszemy piosenki z moim kumplem Chrisem.

Muszę się do niego przybliżyć, skoro mamy słuchać na jednych słuchawkach. Jake robi dla mnie miejsce i po chwili siedzimy już obok siebie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Jake jest sympatyczny, ale trochę zdystansowany. Myślę, że Honey lubi go z tych samych powodów co ja.

Lynda pokazuje na nas ruchem głowy, jakby chciała powiedzieć: zobacz, jak ładnie się ze sobą dogadują, ale Gil myśli, że chodzi jej o obraz przedstawiający martwą naturę na półce nad nami – jak się okazuje, pędzla Joy – więc rozmowa schodzi na boczny tor. Tłumię śmiech.

– Co teraz zrobicie? – Lynda pyta Gila i od razu nadstawiam uszu, zdając sobie sprawę, że pod moją nieobecność wiele zostało powiedziane. Mam tylko jedną słuchawkę, co umożliwia mi podsłuchiwanie.

Gil wzrusza ramionami.

– Nie mamy planu awaryjnego. Chyba wrócimy do Suzanne. Niewiele więcej możemy zrobić, no chyba że Matthew się odezwie.

Gil kroi ogórek na sałatkę, Lynda nakrywa do stołu, a Joy otwiera dla Gila piwo.

– Wiecie – podejmuje Gil – zastanawiałem się, dlaczego Matthew zniknął po tym wypadku.

Po raz pierwszy w swoim długim i pełnym wydarzeń życiu mój ojciec zadał właściwe pytanie. Spowodowało ono wyraźną zmianę nastroju. A więc jednak nie poruszali dzisiaj tematu Matthew. Obserwuję Joy, która nie powiedziała jeszcze słowa, ale najwyraźniej nosi się z takim zamiarem.

Lynda zerka na nią niepewnym wzrokiem, potem wraca spojrzeniem do Gila.

– Zniknął – odzywa się Joy z przesadnym spokojem w głosie – dlatego, że jest skończonym łajzą, który nie wie, co to odpowiedzialność i zobowiązania.

Lynda odwraca wzrok, ale Joy się dopiero rozkręca.

– To kompletny dzikus. Ma w nosie wszystkich oprócz siebie.

– Wiesz, że to nieprawda. – Lynda obrzuca Jake'a zaniepokojonym spojrzeniem, ale Jake najwyraźniej ma zdolność pozostawiania obojętnym na wszystko, co dzieje się poza granicami jego osobistej przestrzeni.

Gil przenosi wzrok z Joy na Lyndę.

– Znam go od dawna... – zaczyna, ale Joy mu przerywa.

– Spójrz tylko na jego dokonania – prychna. – Jeden syn w grobie, drugiego ukrywa. Zostawił dziewczynę, zdradzał żonę, a teraz porzucił i ją, i dziecko...

– Starczy już – rzuca cicho Lynda. Najwyraźniej Joy nie po raz pierwszy dzieli się swoimi przemyśleniami.

– Właśnie, że nie starczy – Joy nie daje za wygraną. – Oczywiście, nigdy nie poznałam tego człowieka, nigdy nie miał okazji omamić mnie na tyle, bym dostrzegła w nim jakiegoś bohatera, zupełnie niechcący niszczącego życie wszystkim, którzy staną na jego drodze. Co ja więc mogę wiedzieć...

Gil obrzuca mnie spojrzeniem, ale udaję, że jestem zajęta słuchaniem muzyki.

– Ale się nakręciła – szepcze mi Jake do ucha.

Przytakuję skinieniem głowy. Po tamtej stronie domu jest dość nieprzyjemnie, bo Joy się naburmuszyła, a Lynda nie szczędzi wysiłków, żeby wszyscy byli dla siebie mili. Ale po naszej stronie jest całkiem przytulnie. W Jake'u podoba mi się to, że dużo obserwuje i niewiele z tego, co widzi, potrafi go zdenerwować. Jakby uznał, że świat dorosłych jest nieco zabawny i dość mało istotny.

Poklepuje mnie po kolanie, a ja zerkam na niego z ukosa.

– Tak czy inaczej... – rzuca szeptem, nawiązując do pytania o to, dlaczego Matthew zniknął po wypadku, układa dłoń w kształt szklanki i przechyla ją do ust, a potem zamyka oczy i wraca do słuchania muzyki.

– Matthew pił?

Myśli kotłują mi się w głowie. *Pił?* Dużo? Czy związek Lyndy i Matthew nie przetrwał dlatego, że Matthew pił? Czy związek Matthew i Suzanne też z tego powodu ucierpiał? Ale chwileczkę... Jeśli pił w dniu wypadku, to oczywiście, że przepadł zaraz po nim. Musiał odczekać, aż wyparują wszystkie ślady alkoholu, by nie trafić za kratki za spowodowanie śmierci syna. Czegóż więcej trzeba, by człowiek zachowywał się jak wariat? Albo uciekł? Czy nawet się zabił? Czy może Jake'owi chodzi o to, że Matthew zaczął pić *po* wypadku? Poszedł w cug? Wbijam wzrok w Jake'a, próbując zadać moje pytanie drogą telepatyczną, ale ma zamknięte oczy i błogi wyraz twarzy.

Joy szamocze się ze swoim płaszczem.

– Miło było cię poznać – rzuca do Gila, otwierając drzwi. – Mam nadzieję, że znajdziesz zgubę.

Wychodzi, a drzwi zamykają się za nią z trzaskiem.

Lynda spogląda na Gila.

– Przepraszam za nią – mówi. – Nie przepada za Mattem. Chyba wydaje się jej, że mnie w ten sposób chroni. Choć wolałabym, żeby tego nie robiła.

Gil ze zrezygnowaniem macha ręką.

– Tak, oczywiście, oczywiście.

Ale widzę, że tyrada Joy poruszyła go do żywego. Być może nigdy nie patrzył na Matthew w sposób obiektywny. Może nie ma już tego Matthew, którego pamięta.

Lynda wzdycha.

– Może powinniście zgłosić to na policję.

Jestem niepokieszona, aż uświadamiam sobie, że mój umysł sam sobie ułożył historię. Lynda mówi o zaginionej osobie, a ja stworzyłam już sobie obraz uzależnionego od alkoholu mordercy dzieci.

– Policji to nie interesuje – kwituje Gil. – W świetle prawa dorosłych uznaje się za zaginionych tylko wtedy, gdy zostaje list pożegnalny lub ślady krwi. W pozostałych sytuacjach przyjmuje się, że po prostu woleli znaleźć się gdzieś indziej. Co w tym przypadku pewnie odpowiada rzeczywistości.

– Odszedł do innego dziecka – Lynda rzuca cicho, jakby nagle nawiązała kontakt z rzeczywistością.

– To już dwójka – mówi Gil.

– Trójka – poprawia go niemal szeptem.

– Nie są to jakieś imponujące dokonania.

– No nie. W sumie to całkiem gówniane. – Po raz pierwszy jej głos nie jest łagodny i tolerancyjny i zastanawiam się, gdzie się podział ten najszlachetniejszy człowiek na świecie.

Patrząc na Lyndę, widzę, że dawne związki zostawiają po sobie błysk, nierówną smugę światła, które nie gaśnie, gdy ludzie się rozstają.

Wyjmuję słuchawkę, by lepiej słyszeć, a Jake przysiada się bliżej.

– Nie podsłuchuj – szepcze. – To niegrzeczne.

Szturчам go, a on odszturčuje. Już po chwili naporzamy się ze sobą na sofie, pół żartem, pół serio. Śmieję się tak bardzo, że z trudem łapię oddech.

– Wygrałeś – rzucam zdyszana i wkładam słuchawkę z powrotem do ucha.

– Dzieci, lunch – obwieszcza Lynda.

Wstajemy z Jakiem, trochę zakłopotani, i człapiemy razem do stołu, nie wyjmując słuchawek z uszu.

– Wyłącz. – Lynda wymownie wskazuje na iPod, a ja oddaję Jake'owi słuchawkę.

Lunch wygląda zachęcająco: gulasz wołowy z fasolą i sałata.

Nie spodziewałam się, że znajdę tutaj, na końcu świata, kogoś takiego jak Jake, ale wyjąwszy jego osobę, cała ta historia zaczyna mnie złościć. Wszyscy ci ludzie zostali porzuceni i są zdezorientowani, bo jeden facet nieustannie generuje problemy i ucieka. A przynajmniej tak to wygląda z mojego punktu widzenia.

Gdy Lynda sprząta ze stołu, narzucam wielką puchową kurtkę Jake'a i wychodzę na dwór, by w spokoju napisać kolejną wiadomość.

„Co się stało w dniu śmierci Owena?”

Wpatruję się w telefon i naciskam „Wyślij”. Nie śmiałabym zadać mu tego pytania osobiście. Ale skoro nikt inny nie jest zainteresowany odkryciem prawdy, zaczynam popadać w lekką desperację.

Dźwięk wysyłanej wiadomości uspokaja mnie. Gdy wracam do środka, Jake obrzuca mnie pytającym spojrzeniem. Tata strzepuje płaszcz, szykując się do wyjścia. Nagle robi mi się smutno.

Jake zapisuje moje oba numery telefonu oraz adres mejlowy. Mówi, że będzie musiał utrzymywać ze mną kontakt, bo w przeciwnym razie, siedząc w tym swoim smutnym badziwnym angielskim miasteczku, nie będę miała pojęcia, jakie rewelacyjne zespoły powstają na świecie.

– Przyjedźcie kiedyś – mówi Gil. – Londyn nie jest taki zły.

– No, przyjedźcie – wtóruję.

– Może latem – odpowiada Lynda.

Wszyscy się przytulamy i całujemy, nawet Jake, szczęśliwi, że się spotkaliśmy, i smutni, że musimy się rozstać.

Lynda i Jake odprowadzają nas do samochodu. W ostatniej chwili Jake łapie mnie za ramię i wkłada mi na głowę swoją czapkę Metsów. Próbuję ją zdjąć, ale mi nie pozwala, więc wsiadam do samochodu i macham przez okno do chwili, aż znikają za zakrętem.

Odkładaliśmy to tak długo, jak się dało, ale Gil musi w końcu powiedzieć Suzanne, że nie zastaliśmy Matthew tam, gdzie się spodziewaliśmy.

Wpatruje się w mój telefon, zbierając się na odwagę, ale w końcu wyjmuje laptop i pisze do niej mejla. Rzuca mi przepraszające spojrzenie.

– Myślisz, że jestem tchórzem? – pyta.

– Tylko trochę – odpowiadam po chwili zastanowienia.

Ja też nie potrafiłabym powiedzieć tego Suzanne osobiście. Zakładam, że Gil nie wspomina w mejlu ani o Lyndzie, ani o Jake’u. Suzanne nie należy do kobiet, którym by nie przeszkadzało, że była dziewczyna Matthew i jego syn, o którego istnieniu nie miała pojęcia, mieszkają w domu jej męża.

Zastanawiam się, czy Matthew kiedykolwiek zamierzał wyjawić prawdę o Jake’u. Bo to oczywiste, że Suzanne któregoś dnia się dowie. Jak jej to wytłumaczy? Życie Matthew usiane jest minami. Mogą zostać zdetonowane każdego dnia. To musi być piekło na ziemi. Może Matthew do tego przywykł. A może właśnie dlatego opuścił dom.

Uświadamiam sobie, że Jake jest przyrodnim bratem Gabriela. Czy się kiedykolwiek poznają? Czy będą podobni do ojca, gdy dorosną? Do kogo ja będę podobna?

Zastanawiam się, w którym momencie dziecko staje się osobą. Czy dzieje się to z chwili na chwilę, czy powoli i stopniowo? Czy jest określony wiek, tydzień, moment, w którym objawiają się nam wszystkie tajemnice wszechświata i dojrzałość zstępuje z nieba na chmurze, na zawsze odmieńając nasz umysł? Czy „ja” dziecko odejdzie ode mnie i nigdy nie wróci? Czy bezpowrotnie zniknie?

Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będę dorosła. Wydaje się to taką nieprawdopodobną transformacją. Któregoś dnia będę czyjaś żoną, czyjaś matką albo lekarzem sądowym. Któregoś dnia wypiję za dużo albo będę miała dziecko, o którym nikomu nie powiem. Któregoś dnia ucieknę od wszystkiego, z powodów znanych tylko mnie samej.

Tamta „ja” jest nie do pojęcia dla obecnej „ja”.

Nie mogę sobie wyobrazić, że jestem dorosła. Inna niż teraz. Stara, zameżna lub martwa.

Przykucam obok Honey i przyciskam policzek do jej pyska. Pachnie ciepłem i lasem, jak to pies. Jej myśli dotyczą chwili obecnej, nie przyszłości, nie przeszłości. Tęskni za czymś, czego nie potrafi zdefiniować, za stanem równowagi. Gdyby Matthew miał teraz stanąć w drzwiach, czułaby się spełniona, opuściłaby ją ta okropna tęsknota. Nie da się jej powiedzieć, że być może niedługo go zobaczymy, może w przyszłym tygodniu, a być może nie zobaczymy go nigdy. Ma tylko dwa sposoby, by odnieść się do tej sytuacji: tęsknota i brak tęsknoty. Włącz – wyłącz.

Proste.

Zastanawiam się, czy powinniśmy powiedzieć Suzanne, że tylko marnujemy czas, próbując okazać się jakoś użyteczni. Ale byłoby to równoznaczne z przyznaniem: „Tak naprawdę wykonujemy rozpaczliwe gesty, próbując natrafić na jakikolwiek trop twojego męża, który uciekł od ciebie i Gabriela, nie zostawivszy żadnych śladów, bo prawdopodobnie nie chce, by go znaleziono. A przynajmniej nie chce, byś ty go znalazła”. Wydaje się to tak bliskie prawdy – wyjąwszy nieoczekiwane morderstwo/samobójstwo/uprowadzenie – że aż nie mogę o tym myśleć, przebywając w tym samym pokoju, w którym Gil wysyła do niej mejla, bo boję się, że Suzanne usłyszy słowa, które wypowiadam w duchu.

Rozlega się dźwięk wysyłanej wiadomości. Przez chwilę siedzimy zupełnie nieruchomo.

– No i... co teraz?

– Doskonałe pytanie – mówi Gil. – Chyba wrócimy do Suzanne, skoro nic innego nie przychodzi nam już do głowy.

Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłoby przyjść nam do głowy, ale nie mówię tego na głos.

Nie udało nam się. Przebyliśmy całą drogę z Anglii tylko po to, by ponieść porażkę. Zerkam na Gila. Zamknął laptop i wpatruje się w niego, sprawiając wrażenie tak samo zagubionego jak ja.

– No cóż, perguntadorko. Zdaje się, że nie najlepszy z nas detektywi.

– Dewiza detektywów – odparowuję – to przede wszystkim „nie szkodzić”, a my nikomu nie szkudzimy, prawda?

– Ta zasada tyczy się lekarzy, Milo, nie detektywów. Dewizą detektywów jest „znaleźć faceta”. A to nam się nie udaje.

Zapada długa cisza i każde z nas na swój sposób przeżywa rozczarowanie. Coś w tyle głowy nie daje mi spokoju, ale nie potrafię tego uchwycić.

– Bardzo lubisz tę Lyndę?

Gil marszczy brwi.

– Dlaczego o to pytasz?

Patrzę na niego w milczeniu.

– Lubię, tak jak się lubi ludzi. Od czasów, gdy byliśmy sobie bliscy, minęło wiele lat – odpowiada. – Co ci chodzi po głowie?

Baczenie mi się przygląda. Nie odpowiadam.

– Nie myślisz chyba, że się w niej zakochałem? – dodaje po chwili. Zdejmuje okulary, pociera ręką oczy i z powrotem wkłada okulary na nos. – Bo tak nie jest. To niedorzeczne. – Wzdycha. – Perguntadorko... – ścisza głos – przeszłość roi się od ludzi, których kochaliśmy albo moglibyśmy pokochać. Z czasem to zrozumiesz.

Przez chwilę milczę.

– Zatem cała naprzód! – rzucam w końcu.

– Okej – odpowiada Gil nieco zmęczonym głosem.

– Przyniosę moje wykresy i może wyczytamy coś między liniami.

– Albo pozwolimy myślom płynąć, jak chcą.

– Jak popadnie. Przypadkowo.

– Nie można tracić wiary.

– Nie można – potwierdzam i biorę go za rękę, myśląc o wszystkich tych ludziach, których mógł w przeszłości pokochać.

Pakujemy się. Kończę pierwsza i przyciskam nos do szyby. Śnieg nie przestaje padać.

– Skąd się go tyle bierze?

– Zadajesz za dużo pytań – odpowiada Gil. – Coś jest na rzeczy z tymi kryształkami łączącymi się ze sobą po sześć. To dość osobliwa sprawa, jeśli się nad tym zastanowić.

– I nie ma dwóch takich samych.

– Racja. Prawie chce się uwierzyć w Boga.

– Skłania cię to do wiary w Boga?

Przecząco potrząsa głową.

– Nie. Powiedziałem „prawie”. A ciebie?

– Nie. Ale to, że nie ma dwóch takich samych, jest naprawdę dziwne. Ciekawe, skąd są tacy pewni.

– Jacy znowu „oni”? – śmieje się Gil. – Naukowcy od płatków śniegu? Całe uniwersyteckie katedry łapią i badają miliardy płatków śniegu, tak na wszelki wypadek...

– A co, jeśli znajdą jeden, który wydaje się podobny do innego, ale ten pierwszy brat



bliźniak zdążył już się roztopić?

– Robiliby zdjęcia, tak przynajmniej sądzę. Miej do nich trochę zaufania, Milo. To naukowcy. Stosowaliby metody naukowe.

– Czy od myślenia o płatkach śniegu boli cię głowa?

– Tak – odpowiada Gil.

– A ja czuję się strasznie mała.

– Ach – mówi Gil – wszystko jest względne. Gdy coś znajduje się na pierwszym planie, jest ogromne. Na przykład dla mnie jesteś większa niż Big Ben i Galaktyka Andromedy. Dużo większa.

– Niż Galaktyka Andromedy? Poważnie?

– Dużo większa. A teraz wymeldujmy się i kupmy jakieś ubranie na śnieg. Nie zapowiada się na poprawę pogody.

Gil reguluje rachunek. Nie pobierają od nas dodatkowej opłaty za to, że nie wynieśliśmy się do południa.

– Wątpię, byśmy mieli dziś zatrząsienie gości – mówi recepcjonistka. – Mało kto wybiera się w podróż przy takiej pogodzie.

Wracamy do miasteczka. Gil wysadza mnie naprzeciw miejscowego supermarketu, a sam jedzie dalej w poszukiwaniu wodoodpornych kurtek i śniegowców, rękawiczek i czapek. Ja mam za zadanie uzupełnić zapasy: banany, jabłka, chleb, dżem, szynka w plasterkach, ser. Po zapłaceniu za to wszystko plus duży baniak wody okazuje się, że zostało mi jeszcze na zakup czekoladowych pianek w specjalnej promocji. „Zakręcone Kółeczka, szokująco niska cena, oferta ograniczona czasowo!”. Leżą przy kasie, ułożone w wysoką piramidę. Patrząc na nie, myślę sobie, że „ograniczoność czasowa” może w tym wypadku oznaczać wieczność.

Taszcę zakupy w stronę, w którą oddalił się Gil, i niemal natychmiast dostrzegam nasz samochód. Tata w oczekiwaniu na mnie studiuje mapę.

– Powinienem zadzwonić do Lyndy i się pożegnać – stwierdza.

Podaję mu telefon.

Przez kilka minut rozmawiają o Matthew. Gil obiecuje, że powiadomi ją o biegu wydarzeń.

– Do widzenia, Lyndo – mówi w końcu. – Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się wcześniej niż za dwadzieścia lat. Rozłącza się. Zerka, co kupiłam.

– Doskonale – kwituje. – A teraz w drogę. Podobno od wschodu nadciąga zamieć. Jeśli będziemy mieć szczęście, ominie nas najgorsze.

Oddaje mi telefon. Po kilku sekundach rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości.

Boże... A jeśli to Matthew?

Ale to nie Matthew. Czytam: „Pa, Młoda! Do zobaczenia w Londynie”.

Podpisano: „Jake”.

Ostrożnie chowam telefon do kieszeni.

Wyjeżdżając z miasta, zatrzymujemy się raz jeszcze i pędzę do sklepu ze sprzętem biwakowym, gdzie mają w promocji tanie koce w staroświeckie wzorki stylizowane na wełniane pledy Indian Nawaho, ale zrobione z przetworzonych plastikowych butelek. Za ladą stoi ten sam facet co poprzednio. Rozpoznaje mnie.

– Idzie zamieć, co? – rzuca.

– W Londynie takich nie ma.

– W Londynie? To stamtąd jesteś.

– Aha. Z Londynu. W Anglii.

– A co cię tu sprowadza? – pyta, czekając, aż kasa wypluje rachunek.

– Szukamy zaginionej osoby.

Po jego minie orientuję się, że to osobliwa i nieoczekiwana odpowiedź na uprzejme i czysto kurtuazyjne pytanie.

– Ktoś zaginał w zamieci? – Otwiera szeroko oczy.

– Nie. Jeszcze zanim zaczęło padać. Może nawet wcale nie zaginał. Chyba doskonale wie, gdzie się znajduje.

Zdaję sobie sprawę, że sprzedawca wpatruje się we mnie, nic nie rozumiejąc.

Wzdycham.

– To skomplikowane.

– Na to wygląda – odpowiada mężczyzna i podaje mi torbę z dwoma kocami i resztę. – Mam nadzieję, że go znajdziecie.

– Dzięki.

– To znaczy, jeśli chcecie go znaleźć.

Przy drzwiach odwracam się i obrzucam go spojrzeniem.

– Tak, chcę go znaleźć. Chcę się dowiedzieć, dlaczego odszedł.

Potem wychodzę.

– Dobra robota – mówi Gil na widok koców. – Mam nadzieję, że nie będziemy ich potrzebować, ale lepiej się zabezpieczyć.

Prawdę mówiąc, wcale mnie nie martwi myśl, że nam się przydadzą – wyobrażam sobie siebie, Gila i Honey opatulonych i zahibernowanych w naszym samochodzie niczym niedźwiadki, jedzących czekoladowe Zakręcone Kółeczka w oczekiwaniu na roztopy.

Ruszamy. Ściemnia się. Dzieciaki w miasteczku rzucają w siebie śnieżkami pośród karcących krzyków matek. Świat zamienił się w głęboką, senną biel i chciałabym mieć to przed oczami całą wieczność. Myślę o Jake’u ze skrytymżywieniem, które bierze górę nad mdłościami, dopadającymi mnie na wspomnienie Matthew.

Oczy mi się zamykają i wirujące płatki śniegi przenoszą mnie w sen o leśniczówce, kominku i muzyce.

Wycieraczka zgarnia śnieg w tę i we w tę, radio mamrocze coś na temat stanu dróg, a Gil niemal przykleja twarz do przedniej szyby, co jest teraz jego zwykłą pozycją. W światłach reflektorów widzimy tylko śnieg.

Ilekcroć otwieram oczy – śnieg. Samochody wloką się jeden za drugim. Choć sytuacja zagraża życiu, podoba mi się, że jestem w tym dziwnym, ciepłym, pomrukującym miejscu, a natura obsypuje nas miliardami kryształków, z których każdy jest inny.

Zerkam na Gila. Nie znosi prowadzić nawet w Londynie, a co dopiero w śnieżnej zamieci w stanie Nowy Jork, bez żadnego konkretnego celu podróży.

Wysłałam do Matthew kolejnego esemesa:

„Jeśli zginiemy w tym śniegu, to z Twojej winy”.

A potem do Jake’a:

„Do zobaczenia w Londynie. XXX Mila”.

To trochę ryzykowne dodawać na końcu całusne XXX, skoro on ich nie dodał, ale być może jest to ostatnia wiadomość, którą mam okazję wysłać w życiu, więc pal to lichu. Gdy naciskam „Wyślij”, czuję, jakby coś między nami zostało przypieczętowane.

Gil znajduje autostradę. Jest cała zakorkowana. Samochody suną powoli, bo śnieg zaczyna z jeszcze większą siłą. Od czasu do czasu, niczym policzek wymierzony w bok samochodu, uderza nas podmuch wiatru i spycha z pasa. Widzę, jak samochody z przodu się ślizgają. Chyba powinnam się denerwować, ale czuję dziwny spokój. Jedyne, co mogę robić, to nie przeszkadzać Gilowi. Przesiadam się do tyłu, zapinam pas i przytulam głowę do grzbietu Honey. Jest bardziej

kościasta, niż można by sądzić, ale bije od niej ciepło. Oddycha ze świszaniem, powoli. Płatki śniegu tańczą i wirują. Gil przełącza radio na stację z muzyką klasyczną. Myślę o Jake'u i dźwięk wiolonczeli kołysze mnie do snu.

Gdy się budzę, śnieg nadal pada, ale posuwamy się naprzód w dość przyzwoitym tempie. W radiu kobiecy głos podaje warunki pogodowo-drogowe. Mijamy duży pług z migającymi światłami, toczący się z naprzeciwka niczym wielka żółta bestia.

Nachylam się do przodu.

– Ile nam jeszcze zostało?

– Jak tylko nadarzy się okazja, zjedziemy z autostrady i przenocujemy, perguntadorko. Nie jesteśmy daleko. Gdyby nie ta pogoda, byłibyśmy już na miejscu.

Zastanawiam się, jak by to wyglądało, gdyby nie było pogody. Białe niebo, niewyczuwalna temperatura. Wygodnie, nieważko. Wcale mi się nie śpieszy do Suzanne.

Samochód przed nami miga tylnymi światłami i Gil gwałtownie hamuje. Wpadamy w lekki poślizg.

– Co jest? – bąka Gil.

Żółwym tempem posuwamy się naprzód, aż jakieś półtora kilometra dalej samochody zatrzymują się.

– Chryste – wzdycha Gil. – Pewnie wypadek.

I faktycznie po dziesięciu minutach tkwienia w śniegu, z włączonymi wycieraczkami, przy radiowym głośniku o hulającym wietrze i śniegu (jakbyśmy sami się jeszcze nie zorientowali), owiewani ciepłym powietrzem dmuchającym ze wszystkich nawiewników, widzimy przejeżdżający wóz policyjny, potem jeszcze jeden, a na końcu karetkę.

– No proszę – rzuca Gil. – Szczęście, że to nie my.

Czekamy całe wieki. W końcu Gil gasi silnik.

– Dochodzi ósma – mówi. – Czas na kolację.

Przygotowuję więc dla nas kanapki z szynką i serem, a na deser jabłka i Zakręcone Kółeczka. Dla Honey też robię kanapkę zamiast psiej karmy.

– Awaryjne racje pokarmowe – mówię.

Honey przyjmuje swoją kanapkę z godnością, nie wrywa mi jej z ręki, ale potem pożera ją w trzech kęsach. Nagle sprawia wrażenie niespokojnej, więc wyprowadzam ją na śnieg.

– Uważaj – mówi Gil.

Po co, skoro wszystko i tak stoi w miejscu? Jedyne, co nam grozi, to to, że zgubimy samochód – w śniegu wszystkie wyglądają tak samo. Ale za nami stoi duża niebieska furgonetka, więc trafimy. Honey ma problemy żołądkowe, prawdopodobnie z powodu jedzenia, którym ją karmimy. Jest za stara, by przejść na inną dietę, nawet jeśli nowy pokarm bardziej jej smakuje.

Nie spacerujemy długo, ale temperatura w samochodzie zdążyła spaść. Usadawiamy się z tyłu i przykrywamy kocem. Gil mówi, że też zmarzł, więc rozpinam plastikową torbę i podaję mu drugi. Choć z ust wydobywa mi się para, czuję się całkiem dobrze. Słuchamy lokalnych wiadomości, w których aresztowanie urzędnika państwowego zyskuje tyle samo uwagi co śnieżnica. W Londynie byłaby to największa wiadomość stulecia.

Piszę do Jake'a:

„Utknęliśmy na szosie, w śniegu. Mam nadzieję, że przeżyjemy. X Mila”.

Śnieg zbiera się na szybach i nic już nie widać. Mija godzina, półtorej.

Dobrze, że chociaż Jake odpisuje:

„Mówimy na to «autostrada». Nie zamrażajcie na śmierć, zanim Was odwiedzę”.

Uśmiecham się.

Czekamy. Ucinam sobie drzemkę. Gil słucha radia.

Wydaje się, że minęły całe wieki, gdy z mroku wyłania się policjant w olbrzymiej pomarańczowej kurtce. Puka do okien samochodów, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nie ma w środku zamarzających staruszków albo kobiet w ciąży, które właśnie dostały skurczów porodowych.

– Sorry, ludziska – mówi – ruszymy to najszybciej, jak się da. A tymczasem ciepło się opatulcie i oszczędzajcie baterię w telefonie. O, dobra robota – rzuca na widok naszych koców. – Wygląda na to, że tylko para Brytoli przyjechała przygotowana.

Z jego krótkofalówki dobiegają szmery.

– Świetnie, zrozumiałem – odpowiada i rozłącza się.

Tata posyła mu pytające spojrzenie.

– Jedziemy. Dwa pasy są czyste. Włączcie silnik, niech się rozgrzeje. Do zobaczenia, ludziska. Miłego pobytu w naszym stanie.

Słyszę, jak wali w szybę furgonetki z tyłu.

Szkoda, że nie odważyłam się zapytać, co się stało. Zresztą i tak pewnie by mi nie powiedział. Mam nadzieję, że nie zginęła cała rodzina.

Samochód przed nami włącza światła stopu, a z zimnych silników buchają obłoki pary. Czuję falę podniecenia, że znów ruszymy. W samochodzie błyska niebieskie światło stroboskopowe. Wyglądam przez tylną szybę i widzę jeszcze jeden wóz policyjny.

Gil uruchamia wycieraczki.

– Hejże, przygodo! Ale się dzieje w tym Nowym Świecie!

Nie da się zaprzeczyć.

Ruszyliśmy. Jedziemy powoli, z lekkim poślizgiem, ale nabieramy prędkości. Na miejscu wypadku stoi szary minivan, a obok mniejszy samochód, całkowicie zgnieciony. Dookoła zebrało się kilku funkcjonariuszy i jeszcze kilku policjantów z drogówki. Krzyczą do kierowców, by się nie zatrzymywali i nie tamowali ruchu.

– Jedziemy, jedziemy!

Karetki już odjechały.

Gil dziwnie mruga.

– O co chodzi?

– O nic. Myślałem o Owenie. Autostrada, zimowa noc. – Gil kręci głową. – Obludzona droga.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak to mogło być tamtej nocy. Dla dziecka, które zginęło na tamtej szosie. Dla ojca, który przeżył.

– „Gumowe szyje” – mówi Gil, ruchem głowy wskazując na gapiów z samochodów przed nami, przejeżdżających obok wypadku. – Teraz rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Ludzie wychylający się, by nie przegapić widoku masakry. „Gumowe szyje”.

Robi mi się wstyd, że też nie chciałam tego przegapić.

– Ile lat minęło od śmierci Owena?

Gil zastanawia się.

– Trzy – odpowiada w końcu i mówiąc to, uświadamia sobie coś jeszcze. – Musiał być w twoim wieku.

Z jakiegoś powodu reaguję na tę informację skurczem w żołądku. Pamiętam telefon późno w nocy, wiadomość, że zginął syn Matthew. Wtedy niewiele to dla mnie znaczyło. Ledwo ich znałam.

Po tym, jak spotkałam Jake’a, Owen stał się bardziej realny. Świadomość, że umarł ktoś, kto miał dokładnie tyle lat co ja, sprawia, że myśl o śmierci staje się jeszcze bardziej

przerażająca. Duch Owena zawsze będzie w tym samym wieku co Jake. Czy to możliwe, by Matthew kiedykolwiek o tym zapomniał?

Stukam Gila w ramię.

– Dlaczego przestaliście się z Matthew spotykać?

Zerka na moje odbicie w lusterku. Musi w tym celu odwrócić na chwilę wzrok od drogi.

– To nie do końca tak, że przestaliśmy się spotykać – mówi. – Gdy przeprowadzili się z Suzanne na północ, stało się to po prostu trudniejsze. Nie mogłem już do nich wpadać, ilekroć byłem w Nowym Jorku. No i miałem dużo na głowie. Nie podróżowałem tak często jak kiedyś. – Marszczy brwi. – Nie wiem, kochanie. Czas płynie, ludzkie relacje dryfują.

– A Lynda?

– Nie miałem pojęcia o tym jego drugim życiu. Nie zwierzał mi się z takich rzeczy.

– Bo tobie też się podobała?

Przewraca oczami.

– Dawno temu. Raczej dlatego, że ludzie wolą o takich pogmatwanych sprawach nie mówić.

– Nawet przyjacielowi z dawnych lat?

– Zwłaszcza przyjacielowi z dawnych lat.

– Dlaczego nie?

– Ludzie nie chcą opowiadać o tym, co im w życiu nie wyszło. O porażkach. Błędach.

– Myślisz, że czuł się winny?

– Nie wiem. Pewnie tak.

– Ty też robiłeś rzeczy, o których wolałbyś nie mówić?

– Chyba tak. Ale nie ostatnio. Nie mam też innych dzieci poza tobą. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Tak że jedno zmartwienie masz z głowy.

– Wcale się o to nie martwiłam – odparowuję.

Ale chyba jednak trochę tak. Skąd mogę wiedzieć, do czego są zdolni dorośli?

Gil nie przepada za Suzanne, co rozumiałe, bo według mnie nie jest szczególnie sympatyczna. Ale im więcej dowiaduję się o Matthew, tym bardziej wydaje mi się, że sprawa nie jest taka prosta. Może zanim się z nim zaadała, Suzanne była zupełnie innym człowiekiem,

Zostawiliśmy w tyle policję, furgonetkę i gapiów i posuwamy się naprzód z przyzwoitą prędkością. Wydaje się późno, choć dopiero wpół do dziesiątej.

– Rozglądaj się za miejscem na nocleg – mówi Gil.

Potrzebuję skorzystać z toalety, więc zatrzymujemy się na najbliższej stacji benzynowej. Po tak długim czasie spędzonym w samochodzie jej światła wydają się oślepiająco jasne. Gil bierze Honey na spacer.

– Miałaś rację z jej żołądkiem – mówi. – Suzanne powinna zrobić jej detoks od fast foodów.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że będziemy musieli zostawić Honey samą z Suzanne. To znaczy, jeśli Matthew się nie pojawi. Strasznie przygnębiająca myśl. Znowu nachodzi mnie to dokuczliwe uczucie, ale jestem zbyt zmęczona, by to roztrząsać.

Gdy znajdujemy motel, jest już po dziesiątej. Parking został odśnieżony, ale chodniki nie, za co pan w recepcji szczerze nas przeprosza. Pokonawszy krótki odcinek między samochodem a pokojem, jesteśmy cali w śniegu. Biorę z łazienki największy ręcznik i osuszam Honey, a Gil idzie z powrotem do samochodu po resztę naszych rzeczy. Honey pije długo, a potem zwija się w kłębek na swoim posłaniu. Gil sadowi się na łóżku i nalewa sobie dużą szklankę whisky.

W pokoju jest ciepło, a łóżka są wygodne, choć zasłane szkaradną fioletowo-czerwono-niebieską pościelą. Móc przebrać się w piżamę i rozprostować kości po tyłu

godzinach spędzonych w samochodzie to cudowne uczucie. Jutro będziemy już u Suzanne, a potem w domu.

Piszę do Catlin:

„Co słyhać? Jak się masz? Co nowego?”.

Nie odpowiada.

Gil otwiera laptop i słyszę sygnał wysyłanej wiadomości. Już prawie śpię; jestem zbyt zmęczona, by się interesować, do kogo o tej porze napisał list.

Słyszę jeszcze, jak mówi coś cicho do mojego telefonu, po czym zapadam w sen.

– Śpi – mówi, choć przez następne pół minuty nie będzie to jeszcze zgodne z prawdą. –

Do zobaczenia.

Do zobaczenia z kim? Marieką? Suzanne? O tej porze?

Pytanie to przewija się przez moje sny.

Śnię o Matthew i Gilu. W moim śnie mają tyle samo lat co teraz, ale zachowują się jak dzieci – siedzą na drzewie i rzucają kamieniami do sadzawki. Nagle Matthew traci równowagę i zsuwa się z gałęzi. Gil nawet nie próbuje go złapać, tylko patrzy, jak jego przyjaciel wpada do wody i jak w miejscu, gdzie zniknął pod jej powierzchnią, ukazują się bąbelki powietrza. Przyglądam się temu, wpadając w coraz większe przerażenie. Ponieważ Matthew się nie wynurza, chwytam Gila za ramię i krzyczę, że musimy go ratować. On jednak tylko marszczy brwi i rzuca: „Nic mu nie będzie”. „Ale on nie umie pływać!” – wrzeszczę. Gil odpowiada ze spokojem: „Nie szkodzi. Potrafi oddychać pod wodą”.

Budzę się przerażona, z łomotem serca i poczuciem ulgi, że koszmar się skończył. Gil właśnie wszedł z kawą, torebką bajgli i kartonem soku pomarańczowego.

– Dziś na śniadanie wyjątkowo nie będzie Zakreconych Kółeczek – mówi z uśmiechem. – Chodź, zobacz, jak pięknie jest na zewnątrz.

– Miałam okropny sen – mówię, próbując się z niego otrząsnąć.

– Biedactwo.

Gil przysiadła na skraju mojego łóżka, czekając, aż zdradzę mu szczegóły. Nagle obraz, który majaczył mi w głowie przez ostatnie dni, nabiera wyraźnych konturów. Zaczynam się dziwić, czemu wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

Chodzi o to, że Gil nie wydaje się niepokoić o swojego przyjaciela. Podczas całej naszej wyprawy ani razu nie wyglądał na prawdziwie zmartwionego czy przygnębionego. Ani razu. Na zafrasowanego? Owszem. Zdezorientowanego? Jak najbardziej. Ale prawdziwie, szczerze przestraszonego? Nie. A przecież go znam. Wiem, że martwi się o Mariekę, gdy ta nie zadzwoni po koncercie albo gdy leci samolotem podczas burzy. Martwi się, gdy wracam ze szkoły później niż zwykle, nawet jeśli mówię mu rano, że wybieram się po lekcjach do koleżanki. Gdy coś go gnębi, źle sypia, a przez cały ten tydzień spał jak suseł. Nawet udało mu się trochę popracować.

Czy naprawdę jest mu obojętne, że jego przyjaciel się topi? A może Matthew potrafi oddychać pod wodą? Może tak naprawdę nic mu nie grozi.

Siedzę na brzegu łóżka bez ruchu. Na szczęście Gil jest zajęty przeglądaniem swoich papierów i nie zauważa, co się ze mną dzieje.

Nagle to ja tracę umiejętność oddychania. Gil wie, gdzie jest Matthew. Wie. Jestem jak Mądry Hans. Dzięki wyostrzonej zdolności postrzegania potrafię dodać dwa do dwóch. Byłam tak pochłonięta rysowaniem diagramów i tym wszystkim, co się wokół nas rozgrywało, że nie zwracałam uwagi na własnego ojca. Postanawiam potraktować komunikat ze snu tak poważnie, jakby był to oficjalny list, informujący mnie o tym, że coś tu zgrzyta.

Spoglądam na Gila. Odwzajemnia moje spojrzenie i twarz mu minimalnie drga. Odwraca wzrok.

Znamy się zbyt dobrze.

– No więc... – mówię.

– No więc co?

– No więc opowiem ci, co mi się przyśniło.

Mój tata nie jest nawet w części tak spostrzegawczy jak ja, ale nawet on zauważa, że coś wisi w powietrzu.

– Dobrze – mówi.

– Śniło mi się – zaczynam – że siedzicie z Matthew na drzewie, nad sadzawką.

Gil zamiera.

– Niby dorośli, ale dzieci. Wiesz, jak to bywa w snach, prawda?

Przytakuje skinieniem głowy.

– I nagle Matthew spada z drzewa albo może z niego skacze. Do wody. Stoję obok ciebie, krzyczę, cała spanikowana: „Zrób coś! Zrób coś! Matthew się topi!”. I wiesz co?

– Co? – pyta Gil i spuszcza wzrok.

– Nie reagujesz. Mówisz, że potrafi oddychać pod wodą.

Zapada milczenie. Żadne z nas się nie odzywa.

– No więc... jak rozumiesz ten sen?

Gil nadal milczy.

– Wcale się nie martwisz, prawda?

– Martwię – odpowiada.

– Ale nie o to, czy Matthew żyje, czy nie. Nie o to, czy się zabił, że zaginął, nie o to.

Wbijam w niego wzrok.

Wzdycha.

– Nie.

– Wiesz, gdzie jest, prawda?

Moje słowa zawisły w powietrzu.

– Tak. Wiem.

– *Rozmawiałeś z nim?*

– Kontaktowaliśmy się głównie mejlowo.

Nie wierzę! Ogarnia mnie wściekłość i po raz pierwszy w życiu krzyczę na własnego ojca:

– Nie wierzę! Ta wyprawa to mistyfikacja? Jedna wielka kupa kłamstw!

Gil jedną dłonią pociera czoło, a drugą wyciąga ku mnie, ale odpycham ją i przesuwam się na kraniec łóżka, gdzie nie może mnie dosięgnąć.

Jestem zbyt rozzłoszczona, by rozmawiać. Dwa głębokie oddechy. Cztery?

– Od kiedy znasz prawdę?

– Milo – odpowiada – utrzymujemy kontakt od czasu naszej rozmowy telefonicznej w Londynie. Powiedział, że odszedł z domu, ale nie wyjaśnił dlaczego. Ani dokąd. Odparłem, że i tak przyjadę, jak zaplanowane, i że porozmawiam z nim, gdy będzie na to gotów. Mówił, że to jakaś ważna sprawa, że potrzebuje czasu na osobności, że musi coś przemyśleć. Nie podoba mi się jego zachowanie, ale nie pytał mnie o zgodę. Co miałem zrobić? – Milknie i patrzy mi w oczy. – To mój najlepszy przyjaciel.

– A ja jestem twoją *córką*.

– Owszem, jesteś. I przepraszam, że wpłatałem cię w to wszystko. Naprawdę, kochanie. Nie wiedziałem, w co się pakujemy. Ale, Milo, nie rozumiesz? Nie mogłem ci powiedzieć, że mam z nim kontakt, bo wtedy musiałybyś okłamywać Suzanne, a to tylko pogorszyłoby sytuację. Tak czy inaczej, problemy małżeńskie są...

Czekam, cała drżąc.

– No cóż. Po prostu się zdarzają. To nie koniec świata. Zwłaszcza po tym wszystkim, przez co przeszli. – Milknie na chwilę. – Zawsze żałowałem, że nie odwiedziłem go od razu po śmierci Owena – podejmuje. – Zawiodłem go. Oczywiście, proponowałem, ale... to był taki trudny czas dla wszystkich. A potem, gdy dowiedziałem się, że Suzanne jest w ciąży, pomyślałem, że może im się jakoś ułożyć, że ich życie wróci do...

Chwileczkę, chwileczkę...

– A Marięka?

Wzdycha.



– Mama wie.

Przypominam sobie, jak pisała, że jesteśmy świetnymi detektywami. Teraz okazuje się, że cały czas znała prawdę. Mam ochotę z całej siły rzucić czymś o ścianę.

– A więc to jeden wielki zasrany spisek, tak? Wszystkich oprócz mnie? Wiesz w końcu, gdzie on jest, czy nie?

– Nie wiedziałem aż do wczoraj wieczorem – odpowiada cicho Gil. – Napisałem do niego mejla i zadzwoniłem. Chce się ze mną spotkać. Nareszcie.

Wbijam w niego oniemiały wzrok.

– Myślisz, że kiedykolwiek jeszcze ci zaufam?

Delikatnie bierze mnie za dłonie i przyciąga do siebie. Patrzy na mnie, zarazem stanowczo i łagodnie. Oddycha głęboko i mówi:

– Przepraszam, że musiałem cię okłamać. Nie zrobiłbym tego, gdyby to nie była ważna sprawa. Ale tu nie chodzi o ciebie, kochanie.

– Dlaczego nie? – Gwałtownie zabieram dłoń. – Dlaczego nie może chociaż trochę chodzić o mnie, a w pozostałej części o Matthew? Dlaczego wszystko musi się toczyć wyłącznie wokół niego?

Gil nie odpowiada i z jakiegoś powodu ogarnia mnie jeszcze większy gniew.

– Jaki miałeś plan, co? Zamierzałeś mi w ogóle powiedzieć? Czy mieliśmy po prostu stanąć któregoś dnia w drzwiach Matthew i powiedzieć na jego widok: „O proszę, kogo my tu mamy! Co za zbieg okoliczności!”?

Patrzy na mnie smutnym wzrokiem.

– To nie do końca tak, że cię okłamałem. Naprawdę nie wiedziałem, gdzie on jest. Prawdę mówiąc, myślałem, że będzie w tej leśniczówce; wydawało mi się, że warto sprawdzić. I oczywiście, że zamierzałem ci powiedzieć.

– Ale skoro miałeś kontakt z Matthew, to przecież... wiedział, że jedziemy do leśniczówki?

Gil potakuje skinieniem głowy.

– Więc zdawałeś sobie sprawę, że go tam nie ma.

– Nie miałem pewności – odpowiada Gil, odwracając wzrok.

– Ale on wiedział, co tam zastaniemy.

Gil wzdycha.

– Chyba chciał, żebym się o wszystkim dowiedział.

– Mógł ci wysłać cholerną kartkę pocztową. To psychopata. Joy ma co do niego rację. To potwór!

– Milo...

Gil znowu wyciąga ku mnie ręce, ale wymykam mu się. Jestem zbyt wzburzona, by uznać, że zasypywanie mnie kłamstwami to jedyny sposób, bym poznała prawdę. Wychodzę z pokoju, trzaskając drzwiami. Chcę sobie postać trochę na śniegu. Robię śniegową kulkę i odgryzam kawałek. Śnieg jest mokry i zbity jak gumowa woda. Resztą z całej siły rzucam o szybę naszego pokoju.

– Oszust! – krzyczę, ciskając jeszcze jedną i jeszcze jedną. – Oszust! Oszust! Oszust!

Ale Gil nie wychodzi.

Jest mi zimno i jedyne, co potrafię zrobić, to rozplakać się. Łzy, które płyną mi z oczu, są gorące, ale zanim dopłyną do brody, stają się zimne.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że z wściekłości rzucam śnieżkami w motelowe okno? Że gardzę własnym ojcem?

Jest lodowato. Wałę w drzwi, a gdy tata je otwiera, nieruchomieję. Przytula mnie, nie

odwzajemniam uścisku. Łzy płyną mi z oczu strumieniami.

– O co chodzi? – pytam, podnosząc w końcu wzrok. – Dlaczego uciekł? Rozwiodą się z Suzanne?

– Nie wiem, perguntadorko. Naprawdę nie wiem. – Całuje mnie w czubek głowy i głaszcze po włosach.

Robię krok w tył.

– Sam się o to nieustannie zapytuję – dopowiada Gil – i wciąż nie znam odpowiedzi. Musiało się na to złożyć wiele rzeczy. Nasz przyjazd. Poczucie winy z powodu Owena. I Jake’a. To, że znowu został ojcem. Nie wiem, czy przeżyłbym, gdyby coś ci się stało, Milo. Może on też nie umie już żyć. Może sam nam powie, gdy się spotkamy.

– A jeśli chodzi o coś innego?

Przypominam sobie gest ze szklanką, który wykonał Jake.

– Coś więcej? – Gil marszczy brwi. – A to, co mu się przydarzyło, nie wystarczy? Wiesz, to wcale nie musi być jakiś wielki dramat. Ludzie czasem dochodzą do momentu, w którym szala przechyla się na jedną ze stron i...

– Uciekają? Po prostu uciekają?

– Nie wiem, Milo.

– Ale to może być coś jeszcze innego, prawda?

– Chyba tak. Niewykluczone. – Mierzy mnie wzrokiem. – A co masz na myśli?

– Jake mówi, że Matthew pije.

– Kiedy ci o tym powiedział? – Gil wygląda na zaszokowanego. – Co jeszcze mówił?

– Nic. Nawet tego w sumie nie powiedział. Po prostu pokazał. – Powtarzam gest Jake’a.

– Boże drogi – mówi Gil. – Boże... Czy to możliwe, że tamtej nocy był pijany? Czy to właśnie Jake miał na myśli?

Mam ochotę odparować: „A skąd mam wiedzieć?”. Coś się wtedy wydarzyło. To pewne. Coś, po czym Matthew nie był w stanie spojrzeć Gilowi w oczy. Coś, po czym musiał odejść od żony i dziecka. Mnie samej trudno było rozstać się z Gabrielem, choć znałam go tylko przez dziesięć sekund.

W końcu dociera do mnie słowo, które Gil wypowiedział przed minutą.

– Czy powiedziałaś „kiedy się spotkamy”? A kiedy, konkretnie, się z nim spotkamy?

– Dziś rano – odpowiada Gil.

– Aha.

Gdy miałyśmy z Catlin po jedenaście lat, w końcu naprawdę uciekłyśmy z domu.

To był pomysł Cat, ale ja, jak zwykle, z chęcią na niego przystałam. Cat sprawiała wrażenie, jakby dopracowała sprawę od strony technicznej. Skąd wiedziała, co należy zrobić, nie mam pojęcia. Miała po prostu życiowe obycie, przejawiające się na przykład tym, że jako pierwsza poznała wszystkie tajniki seksu.

Plan był taki: żeby nie zwracać niczyjej uwagi, udamy, że wychodzimy z plecakami do szkoły, tylko że zamiast stroju na WF zapakujemy wszystkie rzeczy niezbędne do ucieczki.

Zdaniem Cat największym niebezpieczeństwem związanym z ucieczką jest śmierć głodowa, więc zapakowałyśmy całe jedzenie, jakie znalazłyśmy – herbatniki, chleb, dżem, colę, pudełko miętowych czekoladek – i ruszyłyśmy na dworzec Eurostaru. Cat kazała mi zabrać paszport, więc go wzięłam.

Gdy dotarłyśmy na stację St Pancras, rozłożyłyśmy się pod ścianą sklepu z zegarkami i biżuterią. Wkoło było mnóstwo uczniów czekających na pociąg, więc nikt nie zwrócił na nas uwagi. W razie gdyby ktoś nas zaczepił, miałyśmy powiedzieć, że nasi rodzice kupują lunch, ale nikt do nas nie zagadał.

Cat kazała mi pilnować rzeczy, a sama poszła zrobić zdjęcie rozkładu jazdy. Po powrocie starannie przepisała godziny odjazdu pociągów do notesu.

– Powinnyśmy dziś dojechać do Brukseli – oznajmiła – dostać się do Parlamentu Europejskiego, skontaktować się z tamtejszym agentem i przekazać mu kody komputerowe.

Plan był ambitny. Zastanawiałam się, jakiego mamy agenta w Brukseli, ale wolałam nie pytać.

– Nie możemy im po prostu napisać mejla? – zasugerowałam. – Albo esemesa?

Cat spojrzała na mnie, jakbym postradala zmysły.

– Względy bezpieczeństwa – wysyczała. – Każdy nasz krok jest pod obserwacją.

Westchnęłam. Nie sądziłam, że dwóm jedenastolatkom uda się dojechać pociągiem do Brukseli, ale z Cat nic nigdy nie było wiadomo. Nie miałam problemu z tym, żeby na jeden dzień urwać się ze szkoły, ale samowolna podróż międzynarodowa napawała mnie lekkim niepokojem.

Cat długo wpatrywała się w swój telefon, a ja w nią. W końcu podniosła wzrok i wytłumaczyła, że czeka, aż nasz człowiek się z nią skontaktuje. Pomyślałam, że może to trochę potrwać.

Zabijałyśmy czas, ćwicząc szyfrowanie, czyli przekazując sobie esemesami kody o nieco nieprzyzwoitej treści. Gdy zaczęło nam się naprawdę dłużyć, Cat posłała mnie, bym sprawdziła, czy nie ma w okolicy wrogich agentów, a potem poszła ukraść czekoladki.

Już przed południem miałam dość.

– Możemy wracać do domu? – spytałam.

– Jeszcze nie – odparła.

Spowite obłokiem milczenia, wśród gwaru wielkiego dworca, wróciłyśmy do doskonalenia szyfrów, skrupulatnie tłumacząc esemesy.

W porze lunchu zajrzałyśmy do barów ulokowanych w długim dworcowym pasażu. Wypatrzyłyśmy młode zagraniczne małżeństwo, które zamówiło mnóstwo jedzenia i nie dało rady go zjeść. Dojadłyśmy ich wykwintne sandwicze, a Cat zwinęła napiwek, który zostawili. Potem oddaliła się, by sprawdzić, czy nie ma szpiegów, a ja musiałam zmierzyć się ze spojrzeniem kelnera.

Gdy przyszło do jazdy pociągiem na gapę, właściwie poległyśmy w przedbiegach.

– Szlag by ich trafił – warknęła Catlin, z wściekłością poklepując się po kieszeniach. Gdy spytałam, kogo ma trafić szlag, odparła, że tych, którzy ukradli jej paszport.

Paszport i tak na nic by się nam nie przydał, bo nie miałyśmy biletów ani pieniędzy, a poza tym tak się składa, że wiedziałam, iż Catlin w ogóle nie ma paszportu, więc nikt nie musiał go jej kraść.

– Znam kogoś, kto załatwi mi nowy – powiedziała. – Oczywiście, nie za friko.

I znowu ruszyła w obchód, pograżając się w swych fantazjach.

Gapiłam się na przechodniów, potem oglądałam wystawę w księgarni po drugiej stronie ulicy, w końcu wróciłam na nasze miejsce. Napisałam do Cat: „Mam dość”. Po chwili wróciła i usiadła obok. Jakies dziesięć minut później (tyle mniej więcej zajmowało napisanie trzywyrazowego kodu) dostałam wiadomość, a Cat odwróciła wzrok, udając, że coś przykuło jej uwagę.

„Kocham cię”. Przetłumaczyłam to dwa razy, by upewnić się, że poprawnie odczytuję szyfr, a potem po prostu siedziałam, nie wiedząc, co to znaczy, jak na to odpowiedzieć ani co robić dalej.

Siedziałyśmy tak obie, cicha dwuosobowa wysepka w rzece nieprzerwanie płynącego tłumy podróżnych.

– Chodźmy – zarządziła w końcu Catlin.

I nie patrząc w moją stronę, zapięła klapę plecaka, wstała i podreptała w kierunku stacji metra, a ja sunęłam za nią jak jakieś sanie w arktycznym zaprzęgu.

Przy swoim domu Cat pobiegła alejką, nawet się nie odwracając. Wróciłam do domu mniej więcej o tej samej porze co zwykle po lekcjach. Poszłam prosto do swojego pokoju, usiadłam na łóżku i pograżyłam się w myślach.

Nigdy nikt nie dowiedział się o naszych wagarach. Cat sfałszowała dla nas obu usprawiedliwienie (wiedziała, że mi to wypadnie z głowy), a nasza nauczycielka przyjęła je bez mrugnięcia okiem. Brak podejrzeń był rozczarowujący, ale Cat jakoś zniosła to upokorzenie.

Nigdy nie zdobyłam się na odwagę, by porozmawiać z nią o tamtym dniu, kiedy to prawie dojechałyśmy do Brukseli, ani zapytać o tego esemesa. Z upływem czasu zaczęło mi się wydawać, że wszystko to sobie wymyśliłam.

Przekonałam się dzisiaj, że mój ojciec jest zdolny do kłamstwa i że będę musiała zagłuszyć wszystkie swoje instynkty, by uwierzyć mu, że zrobił to wbrew własnej woli. Wprawdzie to nie to samo, co dowiedzieć się, że twój ojciec jest mordercą albo że ukrywa syna, jak Matthew, a jednak... Bardzo dużo zależy od tego, czy ludzie sobie ufają. Jeśli ktoś potrafi okłamać cię w jednej sprawie, może to zrobić i w innej.

Oczywiście, ja też go okłamywałam, w pewnym sensie, ale to nie to samo. Esemes od Matthew skierowany był przecież do mnie. Tylko chroniłam Gila. Ale czy na pewno? Może po prostu wydawało mi się, że poradzę sobie z czymś, co Gila by przerosło.

Kolejne kłamstwo.

Zaczynam rozmyślać o istocie prawdy. Nie kłamię z zasady. Nigdy nie sądziłam, że kłamstwem można coś zyskać. Moi rodzice nie zastraszają mnie ani nie stawiają mi niebotycznych wymagań, więc nie muszę nic zmyślać.

To chyba z powodu ich łagodności udało mi się zachować niewinność. Chociaż nie jest tak, bym nigdy nie spotkała się z ludzką nieuczciwością. Ma się z nią do czynienia już w najwcześniejszych latach życia, gdy koleżanki ze szkoły mówią, że mogą zaprosić na noc tylko osiem dziewczynek, a ty byłabyś dziewiątą. Albo gdy opowiadają, czego to nie robiły z chłopakami, a ty doskonale wiesz, że zmyślają. Na niektóre kłamstwa w ogóle szkoda słów.

Teoretycznie chciałabym, żeby moje życie było absolutnie przejrzyste. Tak czyste jak nowa szyba, bez wstydliwych rys, ciemnych smug. Jeśli jednak mam być zupełnie szczerą, muszę powiedzieć, że mam sekrety zbyt bolesne, by wyznać je nawet sama przed sobą. Rzeczy, o których myślę w mroku nocy, ukryte lęki. Dlaczego ukryte? Nie miałabym problemu, by powiedzieć rodzicom o tym, jak się czuję, ale cóż oni mogliby mi obiecać? Nie martw się, kochanie, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by nie umrzeć? Nigdy cię nie opuścimy, nigdy nie zachorujemy na raka, nigdy nie wpadniemy pod autobus, nigdy nie zniedołężniejemy? Nigdy, przenigdy nie zostawimy cię samej, żebyś musiała na własną rękę szukać drogi w zgiełku świata?

Opuszczą mnie. To pierwsza z rzeczy, których świadomość sprawia, że przestajesz być dzieckiem. I ja kiedyś umrę, ale napawa mnie to mniejszym lękiem niż to, że zostanę sama. To moja ciemność. Nic i nikt nie może mnie pocieszyć.

– Matthew tu przyjedzie? – pytam.

Gil przecząco potrząsa głową.

– Nie, my pojedziemy do niego. Zatrzymał się niedaleko.

Nie chciałabym mieć rodziców, którzy zawsze zaglądaliby mi przez ramię, czytali mój pamiętnik, kontrolowali moje myśli. Nie pozwoliłabym, by mnie obnażono. Niewykluczone zatem, że mówiąc, iż chciałabym być ze szkła, kłamię. Jednocześnie tęsknię za częściową nieprzejrzystością i pragnę, by wszyscy widzieli, jaka jestem.

Matthew zatrzymał się dwadzieścia kilometrów od nas. Jego zniknięcie, jeśli się nad tym zastanowić, nie zostało zaplanowane ze szczególnym rozmachem. Przejechaliśmy z Gilem wszerz i wzdłuż prawie cały stan, a on – niesiony zrywem wolności – zadekował się niecałe dziewięćdziesiąt minut drogi od domu.

Przeliczam ponownie wszystkie znane dotąd elementy, ale nadal jestem bezradna. Wyjmuję telefon i piszę do Jake'a.

„Spotkamy się dzisiaj z Matthew”.

Chcę mu powiedzieć więcej, ale nie wiem jak. Niemal natychmiast rozlega się sygnał esemesa.

„Ze co????”.

Odpisuję:

„To długa historia”.

Chwila przerwy. Zastanawiam się, czy gdzieś wyszedł, ale potem znowu rozlega się „piip”.

„OK”. I sekundę później: „Czekam na raport”.

„Przedstawię. Obiecuję. Życz nam powodzenia”.

„Powodzenia”.

Jedziemy przez olśniewająco biały krajobraz, każde załamanie, każda ostrość złagodzona jest śniegiem. Sople zwisające z krawędzi dachów i rynien wyglądają niczym wielkie, magiczne stalaktyty. Nigdy wcześniej nie dotykałam sopla i mam straszną ochotę to zrobić. Wyglądają jak drogocenne klejnoty z baśni. Gdybym odłamała jeden, mogłabym nim wymachiwać niczym berłem.

Siedzę z tyłu, z Honey. Gil od czasu do czasu odwraca się, by bez słowa na nas popatrzeć. Na kolanach trzyma rozłożoną mapę. Mogłabym mu pomagać, ale tego nie robię.

Wyjechaliśmy z miasta i jedziemy przez pagórkowaty krajobraz, cały biały, jak okiem sięgnąć. Płoty i mury zamieniły się w puszyste pochylnie, a domy przykryte są wielkimi śniegowymi czapami. Wszystko wygląda czysto i świeżo. Podoba mi się ten nieskazitelny krajobraz, choć wiem, że pod spodem usłany jest drutem kolczastym i butwiejącymi szczątkami. Szosa jest odśnieżona i czarna, co odróżnia ją od dróg w Anglii. Tam po prostu czekano by, aż śnieg zamieni się w lód, a potem stopnieje. W tym czasie nie chodziłoby się do pracy i narzekało, że służby drogowe sobie nie radzą.

Podoba mi się, jak śnieg nagromadził się na wierzchołkach słupów telegraficznych i na drutach wysokiego napięcia, tworząc długie białe linie. W miejscach, gdzie przysiadły ptaki, są przerwy i całość przypomina wiadomość nadaną alfabetem Morse'a. Kropka, kropka, kropka. Kreska, kreska, kreska. Kropka, kropka, kropka.

Zjeżdżamy z drogi przy czymś, co przypomina tanie centrum handlowe, i dostrzegamy szyld motelu. Jedziemy powoli i nawet gdy koła tracą przyczepność, w dużym samochodzie Suzanne czuję się bezpiecznie.

Gil zostawia mnie i Honey w aucie, a sam wysiada. Alejka zasypana jest śniegiem. Rynny lśnią od lodu. Gil wraca, ślizgając się, i przestawia samochód w pobliże tej części motelu, w której jest Matthew.

– Zobaczmy, co nas tu czeka – mówi.

Wysiadając z samochodu, stawiam nogę prosto w kałużę przykrytą warstewką lodu. Lodowata woda wlewa mi się do buta i czuję się z tym okropnie. Honey zgrabnie omija kałużę.

Wydaje się bardziej czujna niż zwykle, łeb trzyma wysoko.

Idę za Gilem alejką, utykając i obwiniając go za moją przemoczoną nogę. Ignoruje mnie, co jest mi obojętne. Jestem wściekła i nie mam ochoty, żeby się do mnie przymilano.

Dziewczyna z recepcji zdalnie otwiera nam drzwi. Idziemy korytarzem i pukamy do pokoju Matthew. Słyszę kroki. Gil wyciąga do mnie rękę, ale jestem taka okropna, że jej nie przyjmuję. Na twarzy Gila maluje się niepokój.

Nie rozpoznaję mężczyzny, który otwiera nam drzwi, ale Honey owszem. RzUCA się ku niemu jednym susem, przesywając powietrze niczym pocisk.

– Kochana Honey.

Słyszę go, śmieje się, emocje dławia mu głos.

– Kochana psina.

Honey nie posiada się z radości, jest w euforii, a to niestety zaraźliwe. Gdybym miała ogon, też bym nim zamachała.

Nareszcie.

Matthew chowa głowę w jej gęstej białej sierści. Chwyta w dłonie jej pysk i jego zmęczona twarz się rozpromienia. W końcu Matthew wstaje i bierze w ramiona mojego ojca. Ich twarze znikają i dwaj mężczyźni zdają się zlewać w jedno. Mogliby być bliźniakami, są prawie jednakowego wzrostu, mają niemal identyczne sylwetki. Wyobrażam ich sobie jako dzieci albo na górskim stoku, połączonych więzią bliską braterstwu. Honey patrzy na swojego pana, wyczulona na każdą zmianę w wyrazie jego twarzy, każdy centymetr jej ciała naelektryzowany jest miłością. Z jej oczu zniknęła melancholia ostatnich kilku dni. Matthew znowu przyklęka i daje jej do polizania twarz i szyję, w końcu łapie ją oburącz za głowę i delikatnie odsuwa. Honey nie chce się cofnąć, tylko obraca się bokiem i ociera się ciałem o jego pierś, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Gdyby mogła go zjeść, zrobiłaby to.

Matthew ma ostre rysy i nienaturalnie poważne oczy; włosy gęste i siwe. Nawet ja dostrzegam, że mimo dojrzałego wieku nadal jest przystojny. Nie próbuje mnie przytulać ani całować, po prostu patrzy na mnie z lekko przechyloną głową.

Trudno zwalczyć niechęć, która zagnieździła mi się w głowie, ale Matthew jest inny, niż się spodziewałam. Prezentuje się niejednoznacznie – ma sportową sylwetkę, ale ramiona usztywnione, jakby cierpiał. Żałuję teraz, że wysyłałam mu te wiadomości.

Gdy mówi do Gila, bacznie przyglądam się jego twarzy. Pod oczami ma fioletowe cienie. Pachnie mydłem i jest świeżo ogolony; ma na sobie spraną zieloną flanelową koszulę. Spodziewałam się człowieka zdesperowanego, a on jest spokojny i zdystansowany. Nie da się nie zauważyć, że na twarzy maluje mu się niewymowny smutek.

Siadamy, ja na łóżku, Matthew i Gil na krzesłach. Matthew pyta, czy Gil się czegoś napije, i nie czekając na odpowiedź, nalewa wino do dwóch kieliszków. Nie muszę zerkać na zegarek. Nie ma jeszcze dziesiątej. Gil sprawia wrażenie udręczonego. Gdy staram się wejść w jego skórę, zapalają mi się wszystkie lampki kontrolne. Czy to dlatego, że tak dobrze go znam, czy dlatego, że nie ma nic do ukrycia?

Od Matthew nie odbieram jasnego sygnału. Docierają do mnie tylko jakieś gryzmoły i szmery. Nieczytelna informacja to nie to samo co brak informacji – po drodze musiały być jakieś zakłócenia. Sygnały płynące od Matthew są przyblokowane, jakby kilka centymetrów pod skórą miał szklaną szybę. Jest przyzwyczajony do ukrywania się.

To dość oczywiste, że woleliby porozmawiać beze mnie, ale nie jestem w nastroju, by iść im na rękę. Siedzę zupełnie nieruchomo w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie. Matthew w skupieniu opróżnia kieliszek i ponownie go napełnia. Zamieniają z Gilem kilka zdań na temat naszej podróży. Gil opowiada mu o Lyndzie i Jake’u. Matthew słucha spokojnie, zadając pytania, które

mogą maskować głębię emocjonalnego zaangażowania, ale wcale nie muszą. W pokoju panuje osobliwa atmosfera. Honey szuka wzrokiem twarzy Matthew. Ja też. Nagle przychodzi mi do głowy, że być może przyczyniam się do jego nieszczęścia, i robi mi się głupio.

Właśnie wtedy, gdy próbuję znaleźć jakąś wymówkę i wyjść, Matthew pyta, czy mogłabym przez chwilę posiedzieć w holu, bo chcieliby porozmawiać. Prosi mnie o to grzecznie, jak osobę o równym poziomie społecznym i intelektualnym. Doceniam to. Ludzie rzadko w ten sposób zwracają się do dzieci. Gil wyprowadza mnie do holu, który urządzone w stylu gabinetu. Są tu: biurko, brzydka czerwona skórzana sofa, lampa, mała biblioteczka pełna książek w miękkich okładkach, dwa krzesła oraz telewizor. Śnieg rzuca do środka dziwną poświatę. W recepcji, połączonej z małym biurem, nie ma żywego ducha. Być może ten, kto tu dzisiaj dyżuruje, chowa się z tyłu, gdy nie jest potrzebny.

Gil całuje mnie w głowę i przeprasza za... no cóż, mówi, za wszystko. Odchodzi. Szukam wzrokiem Honey i zdaję sobie sprawę, że została z Matthew.

Z głośników leci okropna muzyka.

Wstaję z fotela i idę pozwiedzać.

Tęsknię za Honey. Choć to pies Matthew, myśl, że jej zabraknie, napawa mnie żalem. Przywieźliśmy ją tutaj z Gilem. Powinna być nam wdzięczna. Matthew zostawił ją z Suzanne. Tak samo jak Gabriela. I Jake'a. Ale psy nie chowają urazy. A przynajmniej nie ten.

Nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko wrócić do tego pseudogabinetu.

Znowu piszę do Jake'a:

„Znaleźliśmy go”.

„I jak wrażenia?”.

„Jest inny, niż się spodziewałam”.

Następuje długa przerwa i niemal słyszę myśli Jake'a na drugim końcu linii. Czekam i czekam, ale odpowiedź nie nadchodzi. Może nie wie, co odpisać.

Podnoszę wzrok. Gil mówi coś po cichu do recepcjonistki. Kobieta wręcza mu klucz.

– Wynająłem pokój – oznajmia Gil. – Tylko na dzisiejszą noc. Chciałbym trochę dłużej porozmawiać z Matthew.

Matthew nigdzie nie widać. Wychodzimy do samochodu po bagaże. Ciekawe, co jeszcze Gil ma mi do powiedzenia.

– Perguntadorko...

Jestem zajęta zbieraniem swoich rzeczy, więc odwracam się dopiero po minucie.

– Tak?

– Wybacz mi – mówi. – Staram się robić to, co najlepsze dla nas wszystkich.

Spoglądam mu w oczy.

– Nie musiałeś mnie okłamywać.

– Wiem – odpowiada.

– Nie jestem idiotką.

– Bynajmniej. Ale każdy ma jakieś tajemnice – mówi. – Okropnie być ich powiernikiem.

To chyba jeszcze gorsze niż nic o nich nie wiedzieć.

Nie reaguję.

– Milo, musisz mi pomóc.

Też mi nowość! Nasze oczy znowu się spotykają. Czuję się podle. Odmawiam mu swojego wsparcia, bo to jedyna władza, jaką nad nim mam – poza tą, jaką daje bycie miłą.

Biorę go za rękę i napięcie między nami opada.

Kto wie? Może któregoś dnia będę potrzebowała, by dla mnie skłamał?



Nie liczymy już na to, że nasza wyprawa zakończy się szczęśliwie. Rozłokowaliśmy się w pokoju motelowym. Czuję się zmęczona i mała. Za mała, by zrobić to, o co prosiła mnie Marieka. Za mała, by opiekować się tatą.

Poza tym tęsknię za Honey. Dlaczego jest tak lojalna wobec Matthew, a nie wobec mnie?

Gil wrócił po kolejnej rozmowie z Matthew. Czuć od niego wino.

– I czego się dowiedziałeś?

– Nie najlepszy ze mnie śledczy – odpowiada.

– Mogłeś go zapytać, co tak naprawdę jest grane.

– Próbowałem. Ale on sam chyba tego nie wie. Mówi, że nie chciał, bym widział go w takim stanie.

– W jakim stanie?

– No nie wiem. – Gil wzrusza ramionami. – Wszystko razem. Zapędził się w ślepią uliczkę. Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć.

Zastanawiam się nad jego słowami. A potem myślę o Catlin.

– Może nie jest w stanie znieść tego, że nie wie, gdzie mu się lepiej niż tobie.

Widzę, jak w umyśle Gila obracają się trybiki. Coś takiego nie przyszło mu do głowy. Ja też bym o tym nie pomyślała, gdyby nie Catlin.

– Może przypominasz mu, że był kiedyś młody i pełen nadziei. Zanim wszystko poszło w złym kierunku.

– Nie musiało aż tak się pogmatwać – mówi Gil. – Gdyby to tylko...

Ale gryzie się w język. Uświadamia sobie, że powiedzenie „tylko Owen” jest niedopuszczalne. Ale wiem, co ma na myśli. Można stracić dziecko i żyć dalej. Ale stracić dziecko i (być może) być winnym jego śmierci? I ukrywać drugie? A potem porzucić trzecie? Choć moja wiedza o świecie jest niepełna, nawet ja rozumiem, że trochę tego za dużo. Człowiek zaczyna się paczyć niczym deska podłogowa przecięta w poprzek słoików. Wykrzywia się coraz bardziej, aż już nigdy nie da się naprostować.

I w takim momencie oczekiwać wizyty przyjaciela? Tego, któremu uratowało się życie? Słabszego?

Gil wychodzi po coś do jedzenia, a ja dzwonię do Marieki. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Witaj, kochanie. Jak się masz?

– Znaleźliśmy Matthew – mówię. – Gil cały czas był z nim w kontakcie.

Moje słowa zawisły w powietrzu.

– Wiem – odpowiada.

– Wiem, że wiesz.

– Och, skarbie – mówi cicho.

Zapada cisza. Słychać tylko trzaski na linii.

– Mam się dobrze – prawie wykrzykuję. – Ale jeśli chcesz znać prawdę, to niezbyt dobrze.

– Córeczko kochana, Milo, proszę, nie płacz – mówi tak cicho, że prawie jej nie słyszę. – Proszę, skarbie. Matthew wydawał się taki...

– Zrozpaczony?

Mama sprawia wrażenie zdziwionej i mówi:

– Nie. Stanowczy. Chcesz już wrócić do domu?

Oczywiście, że chcę wrócić do domu. Chcę tego bardziej, niż czegokolwiek dotąd w życiu chciałam. Ale chcę też zostać z Gilem i spróbować to wszystko zrozumieć. Może teraz, gdy Matthew się odnalazł, nasza misja dobiegnie końca i będziemy mogli razem wrócić do domu. Może teraz, gdy Matthew się odnalazł, wróci do Gabriela i Suzanne i będą żyć długo i szczęśliwie. Może wszystko da się jeszcze jakoś ułożyć.

Głos Marieki wrywa mnie z zamyślenia.

– Powiedz mi, jak go widzisz – mówi. – Jaki jest Matthew?

– Wygląda jak tata.

– Tak. Pamiętam.

– Jest bardzo napięty.

– I co jeszcze?

Ale nie potrafię wytłumaczyć tego, co widzę – zamazanych sygnałów, inteligentnej twarzy, usztywnionych ramion, osobliwego spokoju, spowijającej go mrocznej aury. Poczucia winy.

– Dużo pije.

– Och. Żałuję, że pozwoliliśmy ci na tę podróż. Nie powinnam była się zgodzić.

– Niedługo wrócimy do domu – mówię. – Już prawie po wszystkim.

Wchodzi Gil z chińszczyzną na wynos, więc przesyłam Mariece buziaki i podaję mu telefon. Rozmawiają cicho przez kilka minut. Słyszę, jak Gil mówi: „Tak. Nie, nie rozmawialiśmy o tym”. A potem: „Wiem, wiem. Niedługo. Mam tego dosyć”. Ma zmęczony głos. Pociera czoło, jakby chciał odgonić myśli.

Gdy się rozłącza, rozmawiamy o Mariece.

– Chyba się martwi – rzuca Gil.

Przytakuję skinieniem głowy.

– No to witamy w klubie.

– O tak – mówi Gil. – Wracajmy do domu, perguntadorko. Już czas. Wyjedziemy jutro.

Ale tak się składa, że tego nie robimy.

Gdy Matthew schodzi na śniadanie, w jadalni nie ma już nikogo oprócz nas. Pije tylko kawę i wiem dlaczego. Jedzenie jest paskudne, nawet tost. Sztuczny dżem, sztuczny sok, sztuczny chleb. Dobrze, że chociaż Honey wygląda na zadowoloną z wyniku naszych poszukiwań. Nie oddala się od nogi swojego pana na więcej niż kilkanaście centymetrów. Gdy Matthew wstaje, ona też wstaje. Gdy Matthew przemierza krokami pokój, ona drepcze za nim.

Dla psów świat jest pełen informacji. Matthew mieszka w samym centrum świata Honey, rzucając cień na wszystko inne, jak Big Ben czy Galaktyka Andromedy. Honey boi się rozstania, wyczuwa je i dlatego nie odstępuje Matthew na krok. Jeśli odejdzie, nie zostanie jej nic. Życie bez niego jest niemożliwe.

Jak mógł ją zostawić?

Wchodzi recepcjonistka i prosi, by Matthew przestawił samochód, bo trzeba zrobić miejsce dla odśnieżarki. Patrę przez okno, jak Matthew otwiera drzwi dla Honey, a ona wskakuje do środka i usadawia się obok niego.

Matthew wraca z dodatkową porcją kawy dla siebie i Gila. Nie podoba mi się wyraz jego oczu – są tak dziwnie skupione. Miesza sztuczne mleko ze sztuczną kawą, ale nie wypija jej. Zamiast tego nalewa do kieliszka zawartość flaszki, którą wyjmuję w kieszeni. Gil patrzy z kamienną twarzą.

Dziwne... Matthew nie wygląda na pijanego. Wydaje się taki sam jak wczoraj. Nie bełkocze ani nie obija się o meble.

Biorę swoją książkę i odchodzę do stolika obok, żeby mogli sobie porozmawiać, ale na tyle blisko, by słyszeć większość tego, co mówią.

– Słuchaj. – Gil nachyla się w stronę przyjaciela. – Nie jest jeszcze za późno. Możesz zacząć od nowa.

Matthew podnosi wzrok i przecząco potrząsa głową.

– Musisz tylko chcieć. Nie chcesz?

Na głośny huk aż podskakuję. Matthew uderzył ręką w stół.

– Oczywiście, że chcę – odpowiada. – Ale. Jest. Za. Późno.

Zapada długa cisza. Przerywa ją okropny dźwięk. Matthew wybucha płaczem.

– Nie ma jakiejś innej kobiety na horyzoncie? – Gil pyta cicho.

Matthew w odpowiedzi parska śmiechem.

– Nie. Nie ma.

– Słuchaj – mówi Gil. – Zawsze jest jakieś wyjście.

Tym razem Matthew patrzy na niego z zainteresowaniem i rozbawieniem.

– Wiem – odpowiada.

Dwaj mężczyźni siedzą nieruchomo, każdy zdaje sobie sprawę, że źle zrozumiał drugiego. Popiół dawnej przyjaźni opada i układa się w łagodny kopczyk pod jadalnianym stołem.

– Proszę – mówi Gil, a jego głos aż drży od emocji.

Jego „proszę” oznacza: „Proszę, skończ już to”. „Proszę, rozwiążmy to i wróćmy do swoich domów”.

Matthew uśmiecha się do niego.

– Dam sobie radę – kwituje.

– Chciałbym ci jakoś pomóc – Gil nie daje za wygraną.

– Ech, nie można mi pomóc – odpowiada Matthew ze spokojem.

Zerkam w ich stronę i widzę, jak patrzą sobie w oczy, skoncentrowani niczym szachiści.

– Nieprawda – rzuca Gil.

– Nie?

Na twarzy Matthew wykwita cień uśmiechu, jakby pod tęnym bólem kryło się coś zabawnego.

– Doceniam twój optymizm – kwituje.

Nagle zaczynam się bać. Wiara, którą mój ojciec pokłada w Matthew, tylko dopinguje jego przyjaciela do autodestrukcji. Przypomina mu to, kim był. Ile stracił.

– Matt, wracaj z nami. Wracaj do domu. Proszę. Gabriel za tobą tęskni.

Matthew przytakuje skinieniem głowy. Wygląda na wykończonego.

– Zostanę tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował – proponuje Gil.

– Nie – mówi Matthew. – Wracaj do Londynu. Nic więcej nie możesz zrobić.

– Jesteś pewien?

W głosie Gila wyczuwam ulgę. Matthew na pewno też.

Matthew przytakuje. Zastanawiam się, czy jest pijany, notorycznie pijany, w sposób, który nie rzuca się w oczy.

Co się stało? Gil, spytaj go, co się stało tamtego dnia, spytaj go wprost, na miłość boską. Przesuwam się na brzeg krzesła, wsysana przez mroczny wir niedopowiedzeń.

Gil mówi i mówi, nieskładnie, nie to, co trzeba.

– Jestem pewny, że uda ci się jakoś porozumieć z Suzanne. Dla dobra Gabriela.

Ale Matthew już nie słucha. Powietrze wokół niego zastygło. Zerkam na Gila. „Słuchaj! – mam ochotę wykrzyknąć. – Coś się wydarzyło tamtego dnia. Coś się dzieje *teraz*”.

Robię, co mogę, starając się odczytać historię zapisaną językiem, którego nie znam. Dlaczego Gil nie może mi jej przetłumaczyć?

Może Matt specjalnie wybrał sobie na brata człowieka, który nigdy nie zrozumie jego duszy.

Fragmety układanki tańczą mi w głowie, nieokiełznane. Obracam się w stronę Matthew i koncentruję z całej siły.

Gil mówi o powrocie do normalności. Matthew gapi się nieprzeniknionym wzrokiem. Siedzi nieruchomo, ale dłoń, w której trzyma szklankę, drży.

Gil wstaje od stołu, jakby się poddał. Wychodzi do recepcji, zostawiając nas samych.

Skupiam się jeszcze bardziej. Gil mówił mi kiedyś, że gdy się tłumaczy, trzeba być jak kameleon, trzeba umieć wejść w skórę drugiej osoby, wdrzeć się w jego głowę. Widziałam, jak ta transformacja dokonuje się w nim samym – z każdą postacią literacką, z każdą książką zmieniają mu się rysy twarzy, czasem osobowość.

I wtedy fragmenty układają się w spójny obraz. Wracam do dnia wypadku, dnia, w którym zginął Owen.

Zmierzcha.

Boli mnie głowa, skórę mam napiętą. Czy Matthew pił? Trudno powiedzieć. Owen siedzi z tyłu samochodu.

Przypominam sobie, jak Matthew otworzył drzwi dla Honey... no oczywiście! Z przodu siedziała Honey. Matthew wszędzie ją przecież ze sobą zabierał, tak mówiła Suzanne. Uwielbiała jazdę samochodem. Owen siedział z tyłu, bo przedni fotel zajmował pies jego ojca. Gdyby zamienili się miejscami, dziecko by przeżyło, a zwierzę zginęło.

Skoro Honey siedziała z przodu, Matthew musiał się odwracać, rozmawiając z Owenem. O tej godzinie, zimą, na oblodzonej drodze, gdy wszyscy jadą za szybko? Czego więcej trzeba? Jedno spojrzenie za siebie. Może dwa. Z tyłu rozpędzona ciężarówka.

Obraz zaczyna nabierać wyraźnych kształtów. To dlatego Suzanne nienawidzi Honey. Za to, że pies przeżył, a jej syn nie. I to kolejny powód, by mieć żal do Matthew. Za to, że posadził Owena z tyłu. Wiedziała, że Honey jechała z przodu.

Przychodzi mi do głowy coś jeszcze.

A jeśli Suzanne wiedziała o *wszystkim*? Nie tylko o tym, co wydarzyło się tamtej nocy, ale o wszystkim wszystkim? O Lyndzie i o Jake'u. O piciu. Może sama kazała mu zniknąć po śmierci Owena. Straciła syna i nie była gotowa, by tego samego dnia stracić męża, który zostałby oskarżony o spowodowanie śmierci. A jeśli uratowała go przed aresztem w dniu, w którym wezwano ją do szpitala, by zidentyfikowała swojego syna?

W głowie mi się od tego wszystkiego kręci. Matthew wbija we mnie wzrok.

Kombinuj, mówi mi głos w głowie, kombinuj na wszystkie sposoby.

Myślałam, że Suzanne to osoba pełna złości, czepialska i antypatyczna. A co, jeśli to ona jest prawdziwą bohaterką tej historii, powierniczką wszystkich tajemnic Matthew? Może dlatego sprawia wrażenie, że nigdy nie mówi prawdy, bo ukrywa *jego* kłamstwa? Może dlatego cały czas wygląda na zagniewaną?

Ale teraz uznała, że nie jest w stanie dłużej kłamać, może się odkochała, a może wyczerpały się jej pokłady współczucia. Może wygasł impuls, który kazał jej chronić Matthew. Może zakochała się w kimś innym.

Napotykam wzrok Matthew. Wydaje mi się, że patrzymy sobie w oczy całą wieczność. Zasysa mnie w rozwścieczoną czarną mgłę, w bulgoczące piekło. Walczę w mdłej ciemności. Wydostańcie mnie stąd, wydostańcie mnie!

Nagle wszystko staje się jasne i aż drzę na widok tego, co mi się objawiło.

Matthew wcale nie potrzebuje „czasu dla siebie”. Chce wieczności. Chce umrzeć. Czuję to tak wyraźnie, że aż się krztuszę. Zostawił Honey, bo nie zamierzał wrócić.

Wzrok ma poważny i wytężony. Sprawia wrażenie zdziwionego i – czy to możliwe? – lekko rozbawionego tym, co się tu między nami rozgrywa.

Unoszę się pod sufitem i obserwuję całą tę scenę z góry. Nie mogę wydusić z siebie słowa.

Gil wraca z kluczem do pokoju i potwierdzeniem zapłaty. Na nasz widok uśmiech mu gaśnie. Patrzy to na jedno, to na drugie. Ale Matt jest mistrzem kreowania nastrojów i zasypuje Gila pytaniami, które mają rozluźnić atmosferę:

– Kiedy wracacie do Londynu? Jak Marieka? Zajrzycie do Suzanne?

Gdy wstaję, moje krzesło odchyła się do tyłu bardziej gwałtownie, niż chciałam, i z hukiem się przewraca.

Honey zrywa się na równe nogi, jest w pełnej gotowości, z jej piersi dobywa się ciche warczenie. Zastanawiam się, jak daleko byłaby się w stanie posunąć, by bronić swego pana. Czy skoczyłaby mi do gardła?

– Chodź – mówi Gil. – Spakujmy się. Muszę jeszcze zadzwonić do kogoś – zwraca się do Matthew. – Wyjeżdżamy za godzinę. Dogonisz nas, jeśli będziesz chciał.

Piszę do Jake'a:

„Okropnie tu jest”.

Jake odpisuje w ciągu zaledwie kilku sekund:

„Niedługo koniec”.

Co, jakkolwiek by na to patrzeć, jest prawdą.

Gil dzwoni do Suzanne. Długo rozmawiają. Cieszę się, że nie biorę w tym udziału. Chcę znowu być tylko dzieckiem.

W amerykańskiej telewizji jest jakaś setka kanałów; przebiegam po nich, nie zwracając uwagi na to, co pojawia się na ekranie. A pojawiają się głównie reklamy. Na jednej z nich kobieta pociera sobie nagie piersi i pyta, czy chcę ją lepiej poznać. Zatrzymuję się na programie przyrodniczym, w którym mężczyzna zachwyca się pięknym jeleniem pasącym się na polance. „Czyż to nie cudowne stworzenie?” – pyta, a potem podnosi strzelbę i mierzy mu prosto w serce. Zwierzę robi kilka chwiejnych kroków i pada na ziemię. Chce mi się wymiotować.

Tydzień temu Ameryka jawiła mi się jako najmiłsze miejsce na świecie, a teraz, gdziekolwiek spojrzę, dostrzegam mrok. Najgorsze jest to, że chyba wcale nie chodzi o Amerykę. Myślę, że chodzi o mnie.

Gil dzwoni do Marieki. Większości z tego, co mówi, nie słyszę. Dociera do mnie tylko: „W porządku, zanim się zorientujesz, będziemy w domu”.

Jest zbyt przybity, by kłamać. Martwi się o Matthew, co jest zupełnie zrozumiałe – próbując wejść w skórę jego przyjaciela, czułam się, jakbym tonęła. Pewnie niepokoi się też o mnie.

Wciskam mu się pod ramię, tak że nie ma wyjścia, tylko musi mnie przytulić. Szkoda, że nie może mnie ścisnąć tak mocno, by wydusić ze mnie te straszne obrazy, które mam w głowie. Choć to tylko zwidy, są bardziej wyraziste niż wszystko, co dotąd widziałam. Nie muszę nawet zamykać oczu.

– Gil – mówię – myślisz, że z Matthew wszystko będzie dobrze? A co, jeśli zrobi coś strasznego?

Wbijam w niego wzrok w błagalnym milczeniu. Popatrz na swojego przyjaciela. Odczytaj jego zamiary.

Gil otacza mnie mocniej ramieniem.

– Nie martw się, córeczko. Matthew jakoś się pozbiera. Zawsze mu się to udaje.

Chcę powiedzieć tacie: „A jeśli tym razem się nie pozbiera?”. Ale przecież mam tylko dwanaście lat, co ja mogę wiedzieć...

– Niech ci obieca, że wróci z nami do domu. Proszę. – Gil sprawia wrażenie zdumionego.  
– Niech ci obieca.

– Okej. Każę mu obiecać.

Dzwoni mój telefon. Gil sięga, by go odebrać. Gmera przy przyciskach i w końcu udaje mu się znaleźć właściwy. Mówi: „Cześć” i przekazuje mi aparat.

– Cat!!!

– Tata przeprowadził się do Leeds – mówi Cat – bez żadnej zapowiedzi, nawet bez „Pa!”.

– Nie! Do Leeds?

– Ze swoją dziewczyną.

– Z k i m? Żartujesz?

– Cha, cha, cha – rzuca ponuro. – Taa, jasne, jestem w nastroju do żartów.

– To straszne. Poznałaś ją?

Pomimo dzielącej nas odległości widzę, co maluje się na jej twarzy.

– No... poznałam.

– Chyba nie jest za fajna, co?

– Żmija i sucz z piekła rodem.

– Och, Cat, tak mi przykro.  
– Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Mama też go nienawidzi.  
Mówi, że prędzej szlag ją trafi, niż zapłaci za moje przejazdy do Leeds. Jesteś tam jeszcze?  
– Tak, ale niedługo wracamy. Zrobimy laleczkę wudu.  
– Ekstra – rzuca. – Jak tam moja pisanka?  
Chryste! Pisanka!  
– Ma się dobrze – odparowuję. – A moja?  
– Jestem zbyt przejęta rozpadem mojego świata, by myśleć o czekoladzie – odpowiada swoim najbardziej przemądrzałym tonem.  
Obie przez chwilę milczymy.  
– Dobrze się bawisz w tej Ameryce? – pyta nadaśana.  
– Dobrze się bawię? – Z jakiegoś powodu wydaje mi się to śmieszne. – Bawię? – powtarzam i parskam śmiechem. – Nie bardzo, Cat. Trudno to nazwać zabawą. Raczej jej przeciwieństwem, antyzabawą.  
– Brawo – kwituje Cat. – To tyle. Spadam.  
– Jak to brawo? – Z trudem wypowiadam słowa, przerywane salwami śmiechu. – Co z ciebie za przyjaciółka?  
– Najlepsza – odpowiada. Sili się na poważny ton, ale też wybucha śmiechem. – Nie zniosłabym, gdybyś świetnie się bawiła, a ja w tym czasie miałabym cierpieć męki piekielne – wypowiadając ostatnie słowo, zanosi się rżeniem, które jest zaraźliwe.  
Łzy spływają mi po policzkach i już mam odpowiedzieć, że jej męki piekielne to mały pikuś w porównaniu z moimi, ale Cat się rozłącza.  
Gil wraca do pokoju i obrzuca mnie pytającym spojrzeniem, ale tylko wydaję z siebie jęk i ocieram oczy rękawem.  
Od śmiechu boli mnie brzuch i przez dobrą minutę nie mogę się ruszać.  
„Ja też cię kocham, Cat” – chciałabym jej powiedzieć, choć nie ma jej już po drugiej stronie linii, a moja odpowiedź jest spóźniona o rok.

W drodze powrotnej do Suzanne jedziemy w milczeniu. Żadnemu z nas nie śpieszy się do tej konfrontacji.

Nie wiem, co Gil mu powiedział, ale Matthew przyjechał godzinę po nas i Suzanne wychodzi mu na powitanie. Przytulają się, a Suzanne składa głowę na ramieniu męża. Przez chwilę przepływ uczuć między nimi jest elektryzujący, prawdziwy. Ale Suzanne nagle się odsuwa, wydyma usta. Matthew szuka wzrokiem jej twarzy, ale Suzanne się odwraca.

Gabriel na mój widok macha rączkami w górę i w dół jak pingwin. Śmieje się i popiskuje: „Mi mi mi”, co być może jest jego wersją mojego imienia. Biorę go na ręce i całuję głośno w tłuściutką szyję, przez co śmieje się jeszcze bardziej. Podrzucam go do góry. Gabriel Bi-Bi-Bi-Billington! Bon-ton-Billington!

Ale gdy zjawia się Matthew, radość Gabriela nabiera innego odcienia. Wyfrunąłby z moich ramion, gdyby mógł.

Matthew chwyta go w ramiona. Wirują obaj, gaworząc w jakimś swoim prywatnym języku. Honey przygląda się w ciszy. Gdy w końcu się zatrzymują, Gabriel, trochę skołowany, sięga rączką i łapie mnie za włosy. Mocno się przytrzymuje, by świat przestał się kręcić. Nagle następuje zmiana: buzia mu poważnieje, chłopczyk przymyka oczy i składa główkę na piersi Matthew. Działa według prostego mechanizmu, jak zabawkowy samolot na skręcaną gumkę. Gdy gumka całkiem się odkręca, samolot spada na ziemię. Zdejmuję jego dłoń z włosów, delikatnie rozwierając każdy paluszek. Mały już prawie zasypia.

Suzanne przychodzi z kuchni i mówi, że czas do łóżka i że przygotowała dla nas kanapki. Zabiera Gabriela, a po chwili słychać wodę nalewaną do wanny.

Zerkam na kanapki – ser i pomidor na ciemnym chlebie – i nagle czuję przypływ wilczego głodu. Siadamy na wysokich stołkach przy czymś, co Suzanne nazywa barkiem śniadaniowym, i zjadamy kolację. Gil otwiera piwo i podaje Matthew, ale ten odmawia.

Nikt nic nie mówi. Minutę lub dwie później Matthew wstaje i wychodzi z pokoju. Słyszymy jego kroki po schodach i odgłos zamykanych drzwi.

Czego się spodziewaliśmy, wyruszając w tę podróż? Miłych wrażeń? Sądziliśmy, że Matthew uciekł, by dołączyć do trupy cyrkowej? Że szukamy zaginionego kota, który wszedł na drzewo i będzie się do nas łąsił z wdzięczności, że go uratowaliśmy? Przestraszone koty potrafią rzucić się z pazurami na ratującego je człowieka. Zerkam na Gila. Czy to w ogóle przemyślał?

Wyrosła między nami przepaść i złości mnie to. Jestem dzieckiem. Mam ochotę wykrzyknąć: „Powinieneś mnie chronić!”.

Boli mnie głowa. Choć mam ponadprzeciętną spostrzegawczość, dałam się zapędzić w kozi róg. Ludzie, którzy mieli się mną opiekować – mądrzy i doświadczeni życiowo – popełnili błąd.

Wracam do swojego pokoju (czyli do pokoju Owena), kładę się w ubraniu pod kołdrą i naciągam sobie na głowę wełniany koc niczym namiot. Towarzystwo pogubionych ludzi zaczęło mnie nudzić. Po tych wszystkich godzinach i dniach spędzonych w samochodzie i motelowych pokojach czuję palącą potrzebę, by pobyć sama, ukryć się przed napięciem panującym w domu i zapomnieć o porażce naszej misji. (Czy to rzeczywiście porażka? Czy może smutny sukces?).

Śnieg już prawie się roztopił, ale dzikie wietrzyko smaga drzewa. Pod poduszką mam książkę Suzanne (albo Matthew) o karawanserajach. Wyciągam ją i podświetlam telefonem narysowany na okładce dziwny łeb wielbłąda. Uzdę ma wysadzaną kółeczkami z kutego srebra



i ozdobioną długimi, złotymi i czerwonymi pomponami. W tle widnieje niski budynek z drzwiami w kształcie łzy. Przewracam strony. Są tu piękne fotografie przedstawiające namioty, kobierce i mężczyzn o ognistym spojrzeniu. Wyobrażam sobie podróże odbywane na wielbłądzim grzbiecie, a nie w samochodzie, z daktylami na lunch zamiast kanapek; po pustyni powolnym wężykiem suną posłańcy, niosąc wieści o życiu i śmierci.

Karawanseraj.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie chłodne wnętrze oazy, bielejące słońce. Po niekończącym się kołysaniu na wielbłądzim grzbiecie ziemia wydaje się ruszać pod stopami. Zwierzęta piją, z pyskami w kamiennych stągwiach. Osiemdziesiąt litrów. Sto pięćdziesiąt litrów. Dwieście litrów.

Podróżując Jedwabnym Szlakiem, przemierzałabym Persję, Chiny, Arabię. Przez krótką chwilę mogłabym być szczęśliwa, odkrywając niezamieszkane tereny, wiodąc zupełnie inne życie.

Zamykam oczy i myślę o Jake'u.

Matthew i Suzanne rozmawiają ze sobą uprzejmie, ale ich twarze nie wyrażają żadnych uczuć.

Suzanne wyprowadziła się z domu, wpada z Gabrielem, by chłopczyk widywał ojca. Matthew ożywia się tylko wtedy, gdy są razem. Wzrusza mnie ta synowsko-ojcowska więź. Nie trzeba być geniuszem, by dostrzec, że darzą się wielką miłością. Honey leży obok, dopełniając świętej trójcy. Nie spuszcza oczu z Matthew, a on przez cały czas trzyma dłoń na jej grzbiecie albo głowie. Suzanne, jak nas poinformowała, mieszka u przyjaciela. Podejrzewam, że to ktoś więcej niż przyjaciel, ale mam już dość zabawy w detektywa.

Na drugim końcu linii telefonicznej Marieka bierze głęboki oddech.

– Co to za przyjaciel? Kim on jest?

Nie potrafię jej odpowiedzieć. Wiek, wzrost, kolor oczu? Czy ja jestem z KGB?

Od powrotu zamieniłam z Matthew tylko kilka zdań.

Ostatniego dnia naszego pobytu świeci słońce. Gil i Matthew przekopują ogródek, by jakoś zabić czas. Pracują na dwóch różnych jego końcach, pogrążeni we własnych myślach. Albo tych samych, tylko pojawiających się w dwóch różnych umysłach. Honey leży w pobliżu, z łbem opartym na łapach, zawsze czujna. Nie mam pojęcia, co chodzi jej po głowie.

Jutro wylatujemy. W Niedzielę Wielkanocną.

Siedzę z Gabrielem i jaskrawymi kredkami koloruję pisanki. Gabriel tryumfalnie uderza w nie rączką i krzyczy: „Ajo!”. Nabrawszy animuszu, porywam się na kaczki i króliczki, ale nie wychodzą mi ładnie. Gabriel rozpoznaje jednak w moich bohomasach kształty zwierząt znanych mu z zoo i z parku. Trzy wymiary sprowadzone do dwóch, pióra i futro narysowane niebieską i żółtą kredką. Cud na małą, codzienną skalę.

– Kaka! – mówi z dumą, wskazując na rysunek, a potem: – Ajo!

Czy malował już wcześniej pisanki? Prawdopodobnie jedyne jajka, jakie widział, to te, z których niania robi mu na śniadanie jajecznicę. Ale ona używa przecież brązowych, które w niczym nie przypominają tych tutaj. Jak to możliwe, że małe dziecko z taką wprawą dekoduje świat?

To nasz ostatni wspólny wieczór. Gabriel ma na sobie śpioszki. Suzanne przygotowuje kolację, jakby to nadal był jej dom, tylko że nikt nie daje się na to nabrać. Jest niczym koń wyścigowy, który ma wzrok skupiony na kolejnej przeszkodzie.

Matthew nalewa żonie i Gilowi wino, ale sam nie pije. Rozmowy są wymuszone, a Matthew i Suzanne nie zwracają się do siebie bezpośrednio. Gdy proponuję, że nakryję do stołu, Suzanne spogląda na mnie z wdzięcznością, a potem, zamiast zwyczajnie podać mi sztućce, ostrożnie kładzie mi je na otwartej dłoni i zamyka ją od góry swoją. Patrzę jej w oczy.

– Przepraszam – mówi cicho, tak żebym słyszała to tylko ja. – Przepraszam za to, że zepsuliśmy ci wakacje... i za całą resztę. – Wzrusza ramionami i mocniej ściska mi rękę, a potem ją puszcza. – To wszystko to jeden wielki bałagan – mówi. – Cholerny, zaszany bałagan.

Oczy wypełniają jej się łzami.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – To nie twoja wina.

– Nie? – pyta, odgarniając włosy z twarzy i niemal się uśmiechając. – Nie jestem już taka pewna. Może jednak moja.

Odchodzi.

Nakrywam do stołu. Suzanne woła wszystkich na kolację. Odbywamy krótką pogawędkę, której żadne z nas nie zapamięta, i od razu po kolacji Suzanne zabiera Gabriela, a mnie i Gila

całuje na dobranoc.

Już ma wyjść, gdy Matthew ją zatrzymuje i bierze na ręce Gabriela. Mały jest śpiący, ale mocno łapie tatę za szyję. Matthew daje mu buziaka i przytula twarz do jego policzka. Potem delikatnie uwalnia się z jego objęć i oddaje małego zniecierpliwionej Suzanne.

Gil odprowadza ją do samochodu, zostawiając mnie samą z Matthew. Mam ochotę uciec, przerażona myślą o kolejnej konfrontacji. Chcę pobiec za Gilem, ale Matthew mnie zatrzymuje.

– Nie martw się, Mila – mówi. – Wszystko będzie dobrze.

Potrząsam głową.

– Wcale nie będzie.

Matthew z zaciekawieniem przechyla głowę.

– Co z ciebie za człowiek? – Dławi mnie gniew. – Czy w ogóle pomyślałeś, jak Gabriel będzie się czuł? Albo Honey? Nie chodzi tylko o ciebie i o twoje życie.

– Wiem – odpowiada.

– Skoro wiesz, to jak w ogóle możesz *to* rozważać?

Słowo „samobójstwo” nie przechodzi mi przez gardło.

– To skomplikowane. Któregoś dnia zrozumiesz.

– Rozumiem już teraz! – wykrzykuję. – Rozumiem, że twoje życie jest w rozsypce. Ale nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to, co zamierzasz zrobić, poprawi czyjąkolwiek sytuację poza twoją własną.

– Wyjątkowe z ciebie dziecko – stwierdza Matthew.

– A to, co mówiłeś Gilowi? – podejmuję, ignorując jego uwagę. – O tym, że nie wolno położyć się na śniegu? Gil to pamięta. Ale ty zapomniałeś.

– Nie zapomniałem.

– No to *nie rób tego*.

Stoimy naprzeciwko siebie jak napastnicy szykujący się do walki. Oddycham ciężko. Przez chwilę Matthew jest obecny, ale zaraz potem zapada się w sobie, jakby nie było mnie w pokoju.

Wychodzę za Gilem do samochodu.

Suzanne układa Gabriela w foteliku i zapina mu pas bezpieczeństwa, który zwisa nad nim niczym pokrywa odrzutowca bojowego. Przechodzi na miejsce kierowcy w małym niebieskim samochodzie (czyim?), a potem rozmawiają z Gilem o lotnisku i godzinie odlotu. Nachylam się w ciemności, żeby pocałować policzek Gabriela. Łzy ściekają mi po policzku i spadają mu na twarz. Chłopczyk śpi twardo, z dłońmi zwiniętymi w pięści, z zaciśniętymi powiekami, jakby walczył z jakimś niewidzialnym wrogiem. Na chwilę otwiera oczy, mruga i uśmiecha się, ale tak naprawdę wcale się nie budzi, bo po sekundzie znowu zapada w sen. Całuję wilgotną piąstkę z nadzieją, że jego snów nie nawiedzają cienie, a potem najciszej jak potrafię, zamykam drzwi auta.

Matthew i Honey patrzą na nas z progu domu, otoczeni aureolą światła, zawieszeni między tym i innym światem.

Nazajutrz rano Matthew i Gil zanoszą nasze bagaże na podjazd, gdzie czekamy na Suzanne. Dwaj mężczyźni padają sobie w ramiona. Nikt nie wygłasza pożegnalnych mów.

Matthew robi krok w tył i spogląda na mnie uważnie.

– Dbaj o Honey – mówię, na co przytakuje skinieniem głowy. – I o Gabriela. I o siebie.

– Ty też o siebie dbaj, Milo – odpowiada.

Chowa się do domu, zanim przyjeżdża Suzanne. Bez Gabriela, który jest na placu zabaw. Ładujemy torby do samochodu i ruszamy. Nikt nic nie mówi. Przed terminalem lotów międzynarodowych można zatrzymać się tylko na krótką chwilę, więc nasze pożegnanie nie jest wylewne. Szybki uścisk i Suzanne odjeżdża.

Gdy sprawdzamy paszporty, Gil podaje mi dodatkową torbę, dużą, z rączkami.

Zaglądam do środka i co widzę? Kowbojska pisanka, w wielkim, nieporęcznym i podniszczonym pudełku! Podnoszę zdumiony wzrok.

– Nie od razu go przekonałem – mówi Gil. – Trochę trzeba było w to włożyć pracy. Galopuj, mustangu!

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Co mu powiedziałeś?

Gil potrząsa głową.

– Nie powinienem ci tego mówić. Powiedziałem mu, że pracuję dla Frommer's. Uzupełniam informacje w przewodnikach na rynek europejski.

– Żartujesz?

– Nie żartuję. Sam mi to podsunął. Nie chciał ani pensa.

Kocham mojego ojca do szaleństwa!

– Jesteś geniuszem. Tak się cieszę. Cat się w niej zakocha.

Ale tak naprawdę to ja się w niej zakochałam. I w Gilu za to, że spreparował tę niezwykle przemyślną, niezwykle ryzykowną historyjkę. A w zasadzie to kłamstwo.

– Jak nam się uda zabrać to do samolotu? – pytam. – W tej pisance zmieściłaby się cała czteroosobowa rodzina. Zaaresztują nas za przemyt.

– To już twój problem – kwituje Gil. – Ja odwalilem swoją robotę.

Podnosi bagaże i rusza naprzód.

Odmawiam oddania pisanki razem z bagażem, więc przyklejają na nią dużą czerwoną naklejkę z napisem „Uwaga, delikatne” i taszcze ją przez bramkę do samolotu. Udaje mi się jakoś ją wcisnąć do schowka bagażowego. Zajmuje prawie cały.

– Powinienem był wykupić jej osobne miejsce – stwierdza Gil.

Układamy torby i zapinamy pasy. Kapitan informuje nas o półgodzinnym opóźnieniu. Gil otwiera książkę i od tej chwili jest już dla mnie stracony. Nie zaczepiam go, wiedząc, że będzie milczał, aż wszystko ułoży sobie w głowie. Może mu to zająć kilka minut, kilka godzin lub kilka dni.

Dostaję esemesa. Mam nadzieję, że to Jake, ale wiadomość brzmi:

„Do widzenia, Milo”.

Cieszę się, że Gil nie zwraca na mnie uwagi.

„Do widzenia, Matthew”, odpisuję, chcąc dodać coś jeszcze, coś staroświeckiego w stylu: „Niech Bóg ma Cię w opiece”. Ale pod wpływem impulsu kopiuję mu dane kontaktowe Jake'a. Wysyłam wiadomość.

Patrzę, jak samoloty za oknem skręcają na pas startowy, przyspieszają, wznoszą się

w powietrze i znikają. Zaczynam strząsać z siebie smutki tej podróży, jeden po drugim. Obserwując startujące samoloty, znowu czuję się jak dziecko, jak Gabriel mam ochotę krzyknąć: „Jeszcze! Jeszcze!”. Jesteśmy na dwudziestym ósmym miejscu w kolejce; powtarzalność tego magicznego momentu działa na mnie kojąco.

W końcu nasz samolot skręca na pas startowy. Silnik zaczyna warczeć. Już mam wyłączyć telefon, gdy przychodzi ostatnia wiadomość.

„Do zobaczenia wkrótce”. Podpisano „Jake XXX”.

Wyłączam pośpiesznie telefon i odkładam na siedzenie. Przez chwilę nie interesuje mnie nic innego.

Gil mi kiedyś opowiadał, że duża część procesu tłumaczenia odbywa się w wyimaginowanej przestrzeni, gdzie spotykają się pisarz i tłumacz. Nie trzeba czuć do pisarza sympatii, nie trzeba zgadzać się z tym, co napisał. Ale trzeba iść obok niego i dotrzymać mu kroku. Nie jest to łatwe, gdy ta druga osoba kuleje albo co chwila przystaje, albo ma nieskoordynowane ruchy. Najgorzej jest wtedy, gdy historia rozgrywa się w miejscu, do którego tłumacz nie ma wstępu.

Po dwóch godzinach lotu Gil odwraca się w moją stronę. Bardzo delikatnie ujmuje mnie za rękę.

– Że też musiałaś przez to wszystko przejść – mówi, potrząsając głową. – Tak mi przykro. Nie powinienem był cię zabierać ze sobą. Myślałem... Sam nie wiem, co myślałem. Myślałem, że wszystko się ułoży.

– Może się ułoży.

Potakuje skinieniem głowy.

– To zależy od Matthew.

Patrzę tacie w oczy.

– Myślisz, że był wtedy pijany? Tamtej nocy, gdy zginął Owen?

Gil wzrusza ramionami.

– Czy to ważne? Jego dziecko nie żyje, z wszystkimi tego konsekwencjami.

Przez chwilę nic nie mówię.

– No cóż – odzywam się w końcu. – Przynajmniej ma Honey.

– Tak... – Gil przeciąga sylabę. – Ale Honey to pies.

Powiedział to tak, jakby ten fakt umknął mojej uwadze. Wiem, co ma na myśli – pies to nie wszystko.

I myślę sobie: okej, może i pies to nie wszystko. Ale taki pies jak Honey kocha człowieka całym swym jestestwem, niezachwianie, z doskonałą ufnością. Taki pies to bardzo dużo.

– I Gabriela. Ma też Gabriela.

Gil nie komentuje, ale znam odpowiedź. Gabriel nie może uratować Matthew, tak samo jak nie mogą tego zrobić Gil, Honey i Jake. Ale wszyscy jesteśmy ze sobą spleceni jak włókna tkaniny. Wspieramy się na dobre i na złe. Gabriel jest tylko dzieckiem, ale któregoś dnia zobaczy świat i swego ojca takimi, jakimi naprawdę są – niedoskonałymi, niebezpiecznymi, zdolnymi zarówno do zdrady, jak i miłości.

Nie mam siły już o tym myśleć. Wtulam się w Gila, wdychając jego znajomy zapach, a on otacza mnie ramieniem i mówi, żebym ucięła sobie drzemkę i o nic się nie martwiła.

– Świat będzie się toczył swoim torem – rzuca i całuje mnie w głowę. – Choć nam się może wydawać, że się zawali. Ale widział gorsze rzeczy niż nas, perguntadorko. Nie tak łatwo go zaszokować.

Opieram się o tatę, świadoma, jak silna łączy nas więź, na dobre i na złe. Na chwilę przestaję myśleć o dniach, gdy nie będziemy mogli być razem. Marieka miała rację, każąc mi się

nim opiekować. On i ja będziemy się o siebie troszczyć do końca naszych dni, a mama będzie czuwać nad nami obojgiem, na tyle, na ile każdego z nas stać. Nie zawsze będę szczęśliwa, ale mam nadzieję, że przy odrobinie łaskawości ze strony losu nie dołożę temu światu cierpienia.

Zamykam oczy i odpływam w sen, kołysana cichym szumem silnika, fantazjując o przyszłości, o której nie wiem nic.

MEG ROSOFF

A GDYBYM  
ZNIKNEŁA?

YAH